

Od Petersburga do Leningrada

Zdziechowski, Marian (1861-1938)

Adres URL obiektu

<https://polona.pl/preview/aa0c9c1c-0318-4ad3-a0c6-d59013cf788c>

Data wygenerowania dokumentu pdf

30.12.2024

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednoczony

Od Petersburga do Leningrada

Autor

Zdziechowski, Marian (1861-1938)

Adres wydawniczy

Wilno : [s.n.], 1934 (Wilno : J. Bajewski).

Data powstania dokumentu

1934-01-01

Język

polski

Sygnatura

582.116

Prawa do utworu

Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.

Źródło

Biblioteka Narodowa

Obiekt zdigitalizowany w ramach projektu:

Patrimonium

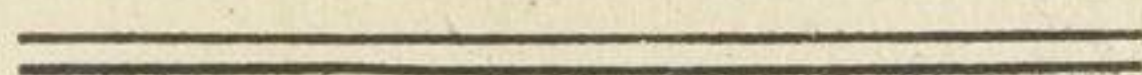
MARJAN ZDZIECHOWSKI

OD PETERSBURGA
DO LENINGRADA



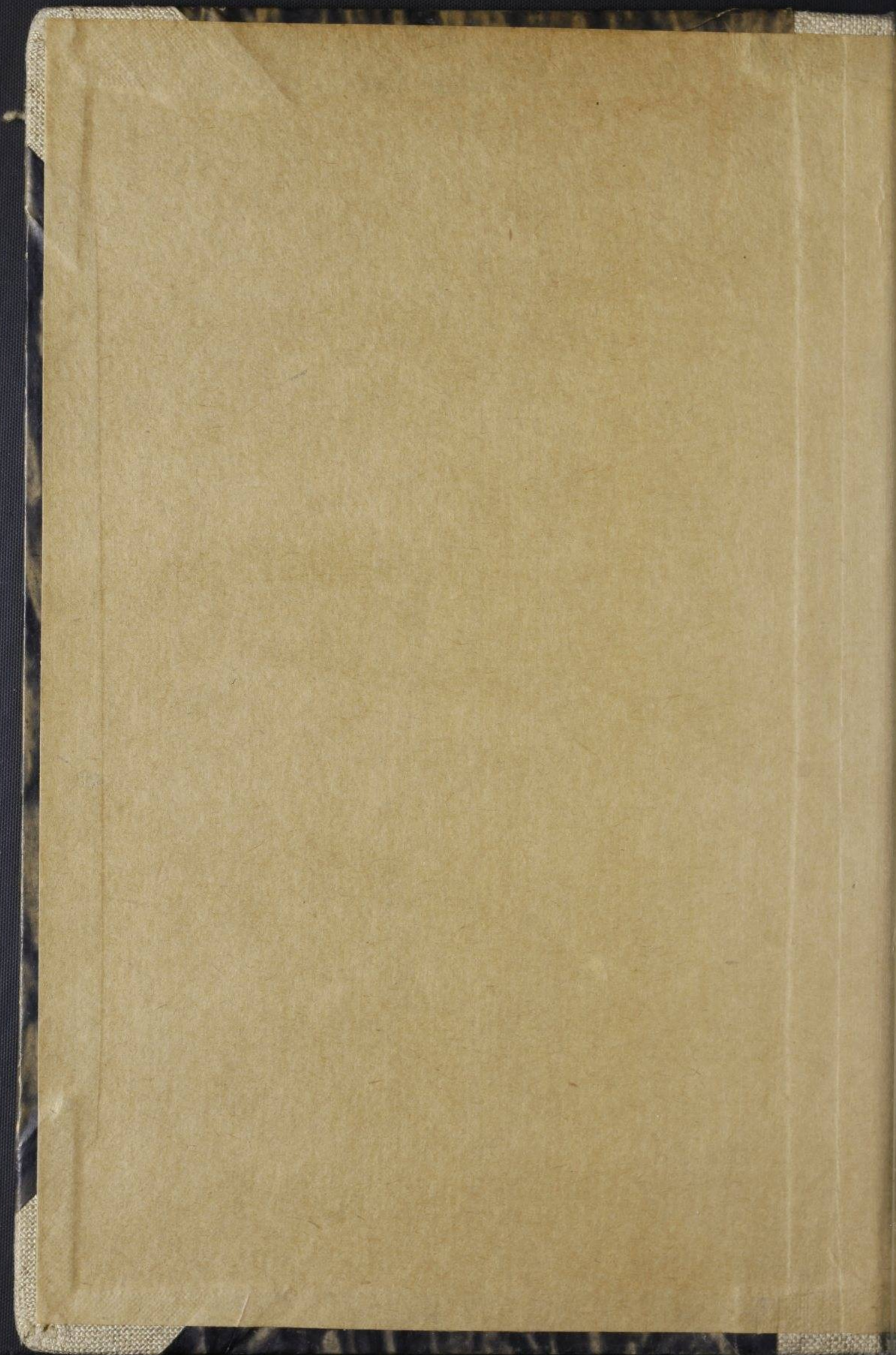
B.N. 11676

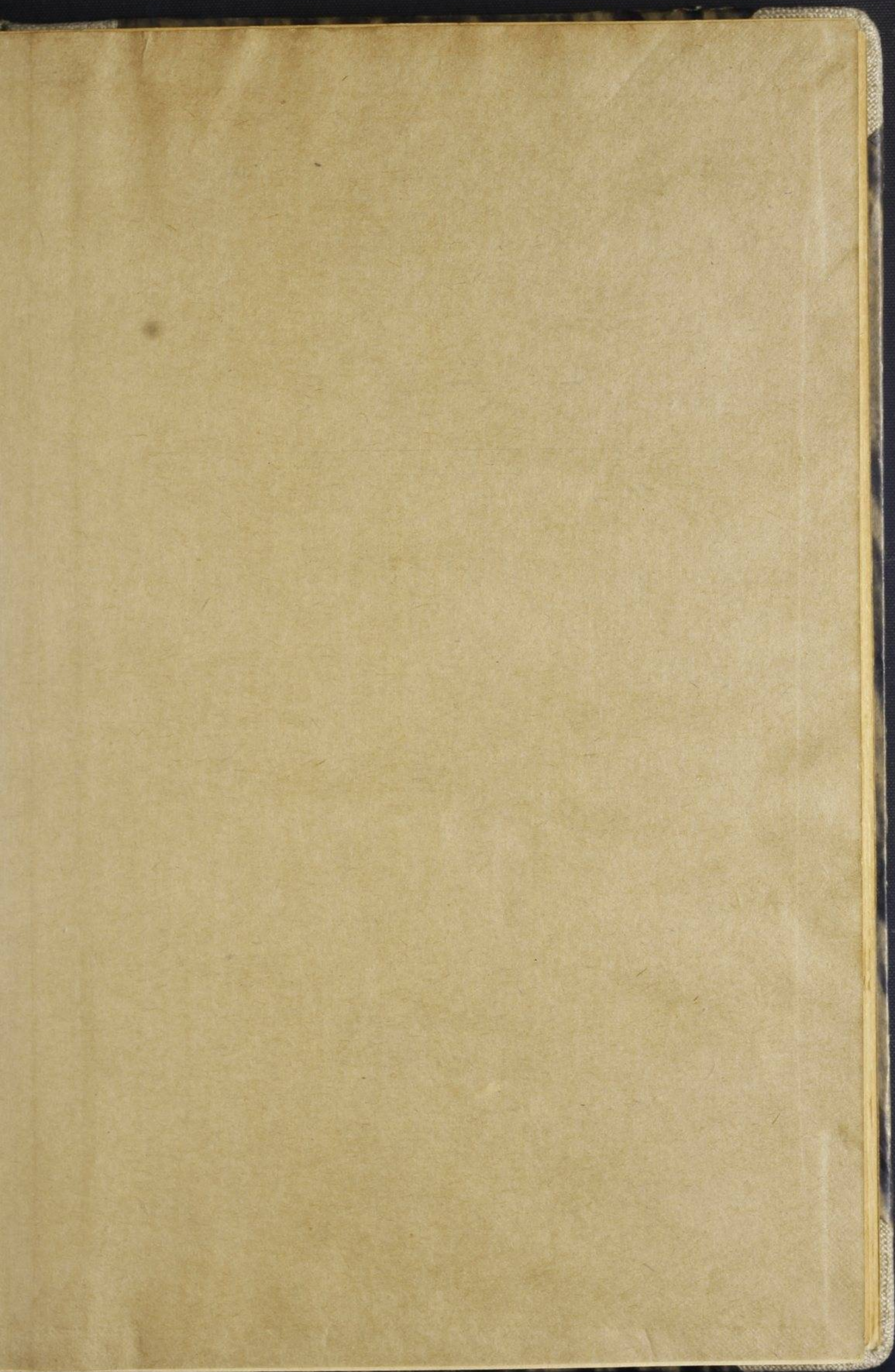
WILNO

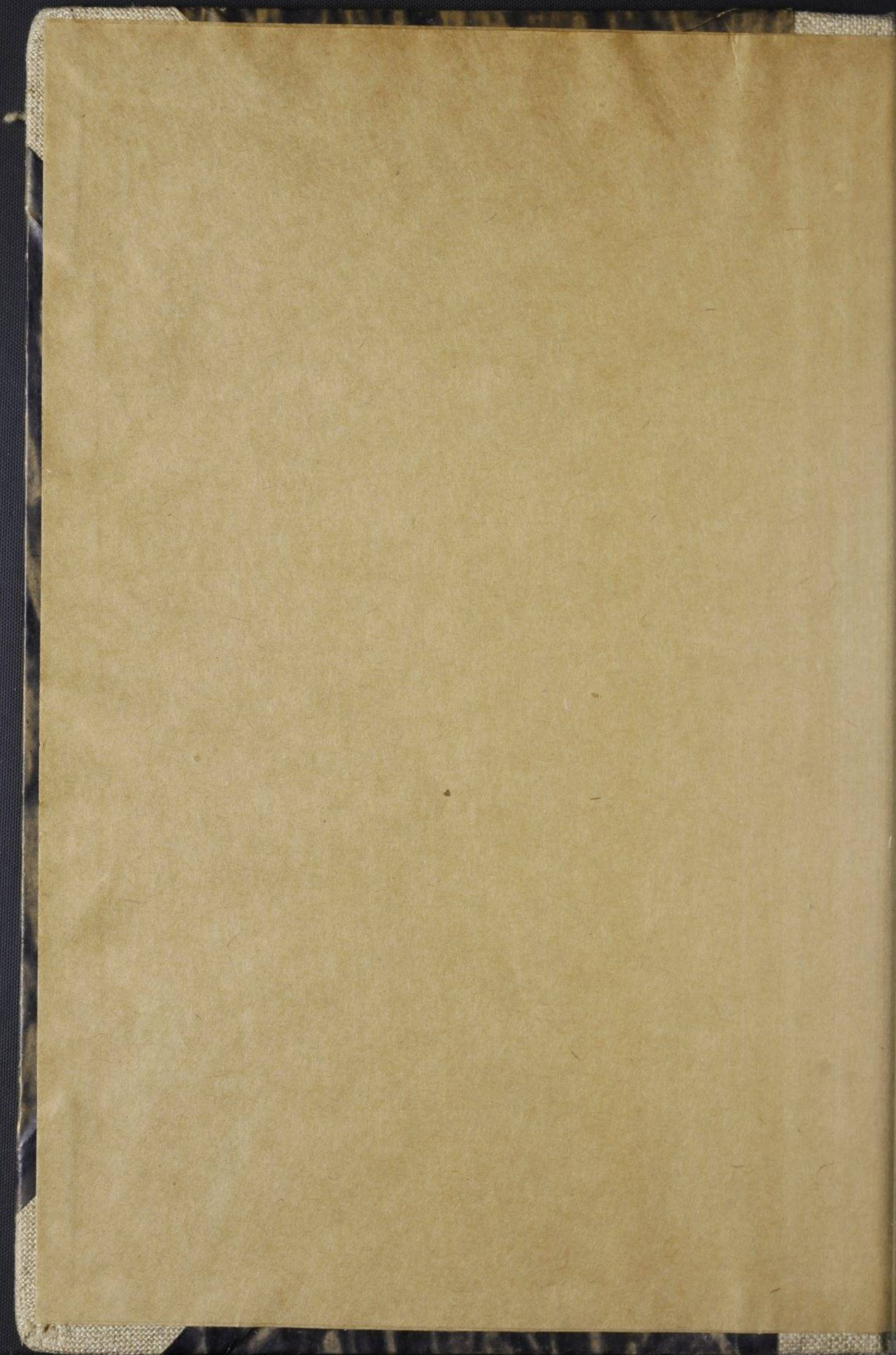


1934 ROK.



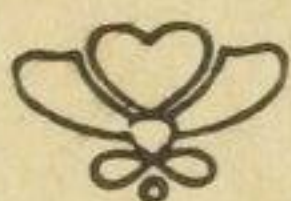






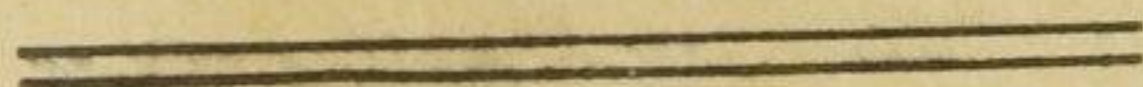
MARJAN ZDZIECHOWSKI

OD PETERSBURGA
DO LENINGRADA



1-3

WILNO



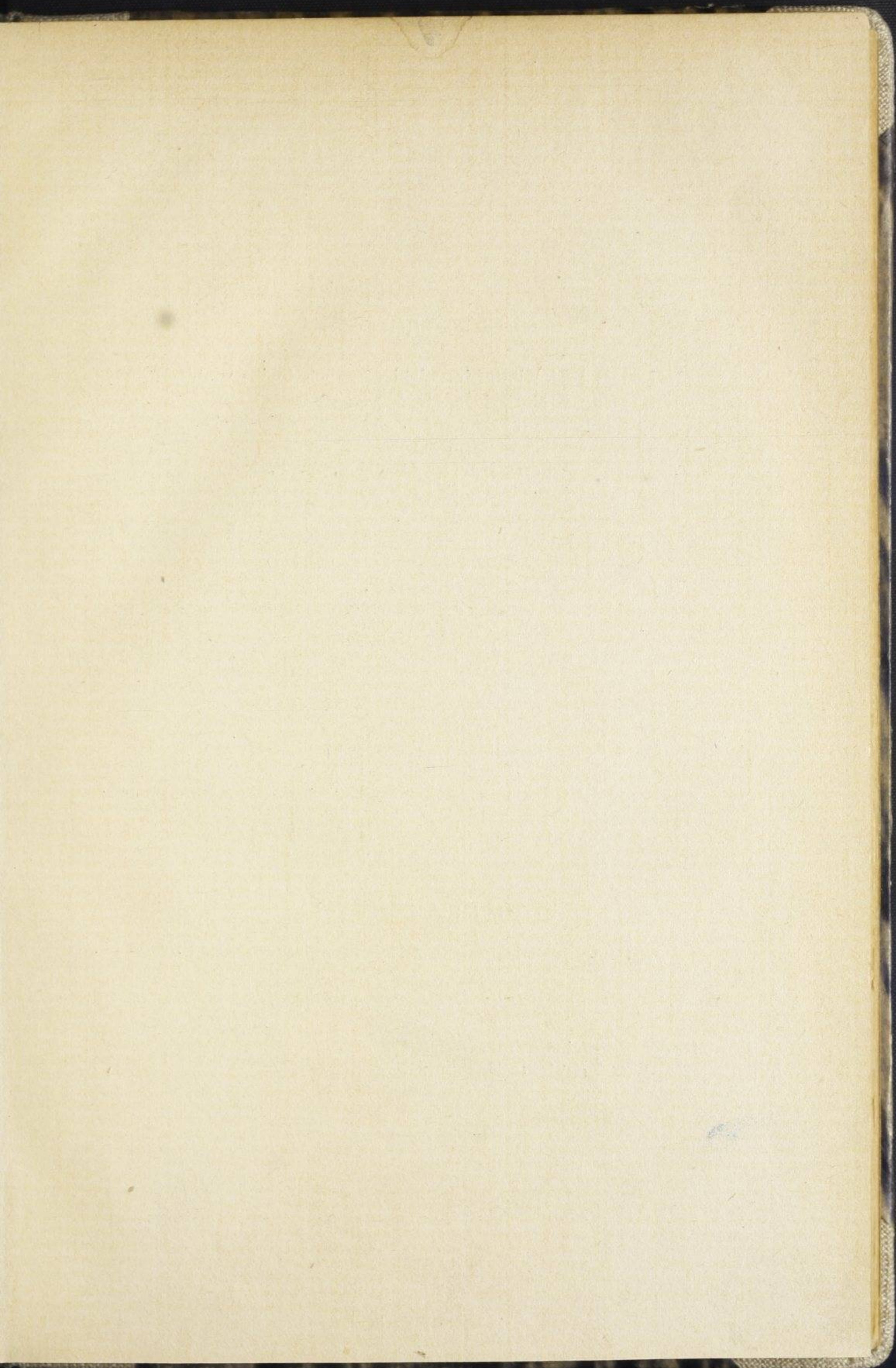
1934 ROK.

Wileńskie Starostwo Grodzkie

Egzemplarz obowiązkowy

Nakład 1 Egzempl 500

Dnia 21 MARZ 1934 r.



TEGOŻ AUTORA.

- Mesjaniści i Słowianofile.** Szkice z psychologii narodów słowiańskich. Kraków 1888, str. 338 (wyczerpane)
- Byron i jego wiek.** Dwa tomy. Kraków 1897—1894 (wyczerpane).
- Szkice literackie.** Warszawa 1900.
- Odrodzenie Chorwacji w w. XIX.** Kraków 1901.
- Pestis Perniciosissima.** Rzec o współczesnych kierunkach myśli katolickiej. Warszawa 1903.
- U opoki mesjanizmu.** Nowe szkice z psychologii narodów słowiańskich. Lwów 1912 (wyczerpane).
- Wizja Krasieńskiego.** Kraków 1912.
- Pessimizm, romantyzm, a podstawy chrześcijaństwa.** Dwa tomy. Kraków 1914 (wyczerpane).
- Gloryfikacja pracy.** Myśli z pism i o pismach St. Brzozowskiego. Petersburg 1916. Wydanie drugie. Kraków 1921.
- Wpływy rosyjskie na duszę polską.** Kraków 1921.
- Europa, Rosja, Azja.** Wilno 1923.
- Walka o duszę młodzieży.** Mowy rektorskie. Wilno 1927.
- O okrucieństwie.** Kraków 1928.
- Napoleon III.** Szkice z dziejów jego życia i pracy. Kraków 1931.
- Chateaubriand i Napoleon.** Wilno 1932.
- Węgry i dookoła Węgier.** Wilno 1933.
- Chateaubriand a Bourbonowie.** Wilno 1934.

PO FRANCUSKU

- Le dualisme dans la pensée religieuse russe.** Paris, Bloud 1927.

W PRZEKŁADZIE NIEMIECKIM.

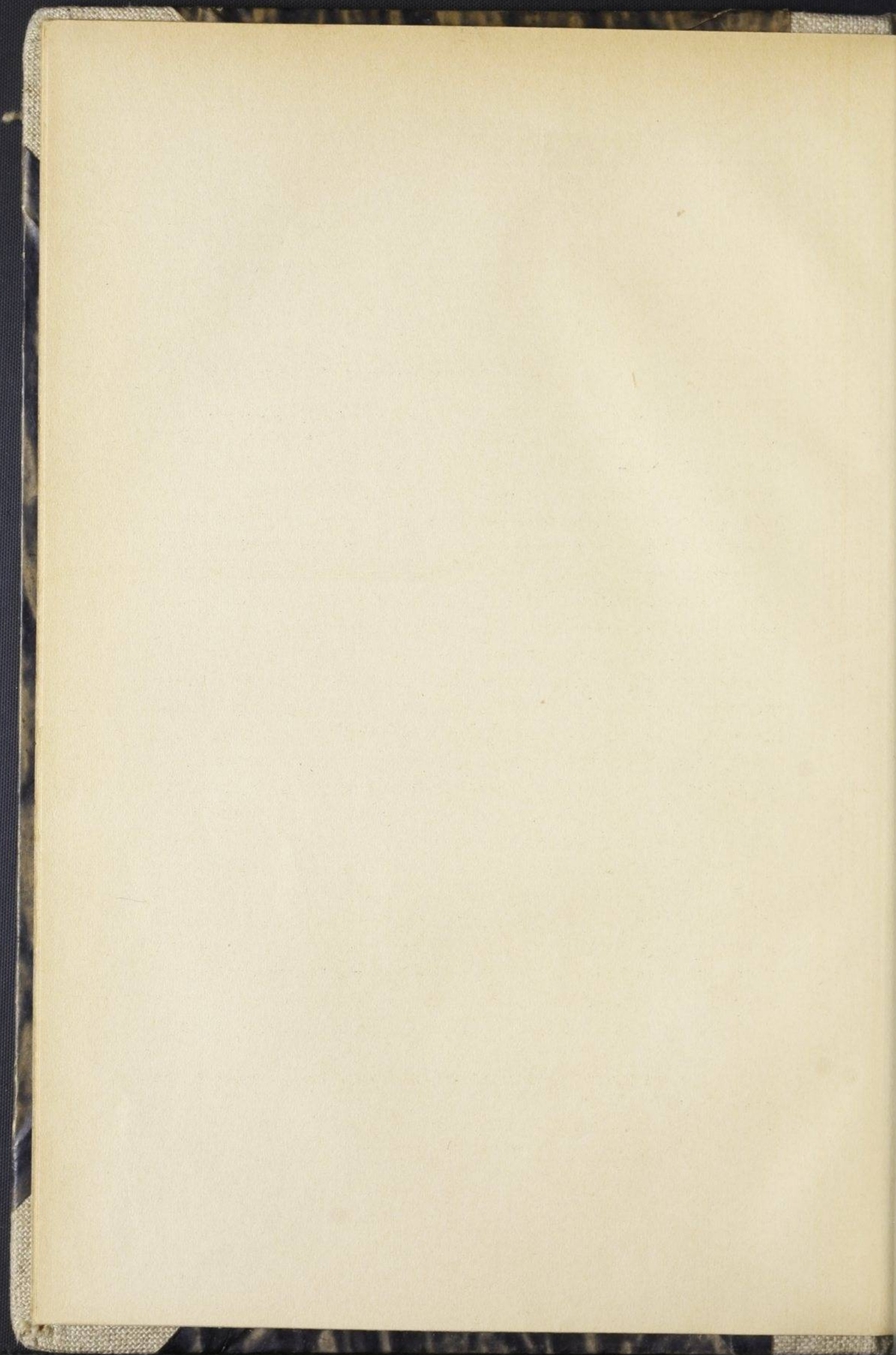
- Pestis Perniciosissima.** Wien 1903.
- Die Grundprobleme Russlands.** Wien, Leipzig 1907.
-



II. 582. 116

Drukarnia Jana Bajewskiego. Wilno, Tatarska 13.

Pamięci
WŁODZIMIERZA SPASOWICZA
Poświęcam.



PRZEDMOWA

...„Potężna postać obywatela i myśliciela, który na szerokich swych barkach dzwigał, jak Atlas, przez cały przeciąg swego płodnego żywota, wielki ciężar stosunków między dwoma światami, rosyjskim i polskim, i gorącym swem sercem topił lody, jakie je między sobą rozdzielały“ — tak określał osobę i dzieło Włodzimierza Spasowicza prof. Marjan Sokołowski¹⁾.

Romantyk w duszy, stał się Spasowicz, nauczony gorzkim doświadczeniem 1863 r. pozytywistą w praktyce; „usiłował trzymać naród—słowa Czesława Jankowskiego²⁾ — w napiętych cuglach, aby, strzeż Boże, nie poniósł i... karku nie skręcił“. Bo poco było zrywać się do nowej a nierównej walki, grożącej tym razem nietylko klęską, lecz śmiercią? Lepiej starać się pojednać z wrogiem. W możliwość pojednania i współpracy Polski z Rosją Spasowicz wierzył i niezmordowanie głosił to słowem i piórem. Ale pod tym w pozorach tak trzeźwym, pozytywnym, tak antyromantycznym poglądem może kryło się także romantyczne złudzenie? Niejeden tak sądził. Polityka Spasowicza miała krytyków bardzo surowych, ale Spasowicz sam, jako człowiek, nieprzyjaciół nie miał, miał zaś licznych, bardzo licznych wielbicieli; ceniono w nim potęgę myśli, gorącość serca, czystość pobudek, niezłomność charakteru. „Ci, co go oskarżali — pisał Stanisław Tarnowski³⁾—o zbytęcną ugodowość, nie mogli nigdy mu zarzucić i wykazać najmniejszej uległości, cienia zależności wzglę-

¹⁾ „Przyjaciołom Spasowicza“ str. 129 (Lwów, 1907. Drukowane jako manuskrypt).

²⁾ „Cień Spasowicza“ w „Słowie“ 18 maja 1927 r.

³⁾ „Przyjaciołom Spasowicza“ str. 130—131.

dem rządu. Śmiały wobec opinii polskiej, tak samo śmiałym, otwartym, nieugiętym był wobec rosyjskiej opinii i rosyjskich władz. Żadnego uniżenia, żadnego nigdy komplementu (choćby dla samych cesarzy), żadnego nigdy starania o cokolwiek dla siebie. Niezależność i godność zupełna, absolutna; a z niej w znacznej mierze wynikała jego wielka przed opinią rosyjską powaga“.

W związku ze słowami Tarnowskiego przytoczę drobny, a charakterystyczny szczegół. Według utartego w Rosji zwyczaju, w razie zapowiedzianego przyjazdu któregoś z Wielkich Książąt, gubernator zawiadamiał o tem ziemiaństwo, wyrażając życzenie, ażeby gremjalnie się stawiło dla złożenia hołdu członkowi panującego Domu. Nie pamiętam w którym roku i który z W. Książąt przybyć miał do Kijowa. Właśnie dnia tego stryj mój, s p. Adam Zdziechowski, wybrał się w sąsiedzkie odwiedziny do Spasowicza, spędzającego lato w majątku swoim Lemieszówka na Podolu. „Więc Pan nie w Kijowie“ — spotkał go zdziwiony gospodarz. „Nigdy w tego rodzaju uroczystościach nie biorę udziału“. — Radość odmalowała się na twarzy Spasowicza; serdecznie uściśkał swego gościa: „Jak dobrze Pan zrobił, czemu inni nie naśladowają Pana? Dlaczego zrozumieć nie chcą, że podobne manifestacje pożytku im nie przynoszą, a poniżają nietylko w opinii społeczeństwa rosyjskiego, ale i sfer rządowych“.

Dziś myśl, której Spasowicz torował drogę, stała się ciałem ale w jakże potwornej, karykaturalnej postaci! Jakim świętym gniewem, jakim wstydem zapłonąłby on, gdyby teraz wśród nas stanął! Daremnie oglądamy się, nie widzimy wśród dzisiejszych sowietochwalców ani śladu tego, co Tarnowski u Spasowicza podnosił; przeciwnie: uległość, uniżoność, pełzanie, zaparcie się godności osobistej i narodowej — i wobec kogo? Nie W. Książąt, których wymordowano, lecz bezpośrednich czy pośrednich sprawców ich mordu, żydów i nieżydów z pod ciemnej gwiazdy, Kaganowiczów, Wałachów, Nachamkesów, Sobelsonów i t. d.

Petersburg carów przejmował nas odrazą, Leningrad rozmarza. Od Petersburga do Leningrada odbyliśmy drogę ciężką, ciernistą; stoimy u celu przed rozkosznie wabiącą przystanią nazwaną imieniem człowieka, którego przed młodzieżą naszą

wysławiają, jako największego, jakiego ludzkość wydała. ¹⁾ Żywić więc trzeba nadzieję, że będziemy mieli swoich domorosłych Leninów i Stalinów. Zanim zaś to nastąpi, każą nam cieszyć się, że zawarty z Sowietami pakt przeistacza się, jak czytamy w gazetach poważnych, w wieczyste przymierze.

Szkice te poświęcając pamięci wielkiego człowieka, tem samem protestuję przeciw ohydnej formie, jaką dziś idei jego nadano. Protest mój przejdzie niepostrzeżony, nie jest w duchu czasu, chcę jednak, aby pozostał ślad, że w epoce powszechnego opętania umysłów i serc byli w Polsce wśród piszących, choć bardzo nieliczni, ludzie ze zmysłem moralnym i rozsądkiem zdrowym, którzy opętaniu nie ulegli.

* * *

Szkice drugi i trzeci nie mają bezpośredniego związku z bolszewizmem, były pisane w czerwcu 1926 roku, gdy jeszcze miałem niektóre złudzenia. Potem złudzenia poczęły stopniowo się rozwiewać, choć zrazu nie wyobrażałem sobie, ażeby rzeczywistość miała je ostatecznie pogrzebać. Ale wiatr ostry i mroźny coraz szybciej pędził łódź polską w stronę Leningrada i Moskwy ..

Szkic ostatni—o prawosławiu w Polsce — umieszczam tu w przypuszczeniu, że może będzie miał czytelników Rosjan. Niech wiedzą, choć wiedzieć o tem nie chcą, jak źle nam było za czasów carskich.



¹⁾ Por. Wł. Spasowski „O wyzwoleniu człowieka” (Warszawa, Hösick, 1933).

W. B. E. Co. 1933
1933

I.

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

Przemówienie wygłoszone na wieczorze ku uczczeniu pamięci Spasowicza urządzonym w Wilnie w maju 1927 roku przez Towarzystwo Prawników i Związek Literatów.

Istnieje wydana staraniem rodziny Spasowicza, drukowana, jako manuskrypt, książka p. t. „Przyjaciółom Spasowicza“, zawierająca mowy pogrzebowe, nekrologi, oraz artykuły i studia pisane pod bezpośrednim wrażeniem śmierci niezaprzeczenie największego człowieka, jakiego wydał nasz kraj w epoce po 63 roku.

„Był — mówił nad trumną jego Wiktor Gomulicki — wielkim człowiekiem. Dla nas, dzieci wieku nerwowego, czułych na wszelkie bodźce, ulegających różnorodnym przemijającym nastrojom, najnieodstępniejszą, najmniej zrozumiałą jest — posągowość. A on był posągiem, miary nadnaturalnej, z jednej bryły marmuru wykutym. Przygniatał tem“.

Ludzi wielkich spotykałem w życiu, znałem. Znałem takich, którzy rozgłosem, wpływem na czas swój, genjuszem przewyższyli Spasowicza, ale żaden nie przejmował mię w tym stopniu, co on, wrażeniem wielkości, potęgi.

Rozległość widnokregu ducha, siła badawczej, namiętnej badawczej myśli, doszukującej się wszystkich przyczyn badanego zjawiska i rozkładającej je na pierwiastki, umiejętność jej skupienia w wytkniętym kierunku, ścisłość w rozumowaniu, starannie eliminująca wszelkie czynniki uczucia czy wyobraźni, a obok tego coś pozornie wręcz temu przeciwnego: entuzjazm dla piękna i wzniosłości, miłość poezji, rozkochana jakaś tęsknota zapatrzona w orle loty jej genjuszów i rozkosznie wczuwająca się w głębie natchnień Szekspira i Bajrona, Göthe-

go i Schillera, Puszkina i Lermontowa, Mickiewicza. Jedno zaś i drugie: pozytywizm i romantyzm, współistniały w nim—ręcz niesłychanie rzadka — wzajemnie sobie w drogę nie wchodząc, stanowiły oryginalność tej potężnej indywidualności. Pierwszem, t. j. przenikliwie bystrym i nieubłagany w analizie krytycyzmem pozytywisty imponował, przygniatał, jak się wyraził Gomulicki; romantycznością pociągał i czarował. „Był jednym z granitów — powiedział Cz. Jankowski — rzuconych pod tęcze nasze“. Romantycznemu hasłu: mierz siłę na zamiary, przeciwstawił mierzenie zamiarów podług sił nie jako antytezę, ale jako dopełnienie. Mieć wielkie zamiary i siły, starać się czuć, jak Mickiewicz, ale przytem wspinać się do góry wśród piętrzących się trudności krokiem bardzo powolnym, lecz zato pewnym — takbym streścił jego filozofję życia.

Prawosławny, czystej krwi Białorusin, z wychowania zaś, przekonania i uczucia Polak, ale zżyty z kulturą i życiem duchowem rosyjskiem, zaprzyjaźniony z najlepszymi synami Rosji — w najstraszliwszej dla nas epoce, gdy siły caratu wytężone były ku ostatecznemu zgnębieniu i zniszczeniu polskości, przyjął Spasowicz na siebie i wytrwał w nadzwyczajnie trudnej roli pośrednika między obu narodami, wierzył, że „mimo cierpień, zwalisk i świeżych ran“ pojednanie nastąpi, „bo tkwi — są to jego słowa — w duchu i w sile rzeczy, w nieodczuwanej jeszcze, lecz oczywistej solidarności interesów narodowych“.

Mylił się i mylili się ci z nas, co za nim szli. Ale od omyłki tej nie mógł uchronić nawet bardzo trzeźwy krytycyzm; nie przewidywaliśmy, że nacjonalizm przeistoczy się w religję, uznając narodowość za Boga, poza którym innych niema i niema innej miary prawdy i dobra—i że przeto Rosja odrodzona, konstytucyjna i liberalna, o której marzył Spasowicz, groźniejszym może być dla nas wrogiem, niż Rosja carska. Dopiero ona, jak pisał Popławski „weźmie odwet za zwycięstwa Batorego i Żółkiewskiego, za spaloną Moskwę, za Unję Lubelską i Brzeską, za zdobycze kultury polskiej na Litwie i Rusi“. Dziwił mię wtedy — w r. 1905—6 — w okresie nadziei związanych z polsko-rosyjskimi zjazdami i obradami, na których uchwalano autonomję Królestwa Polskiego, surowy o nich sąd

bardzo rozumnego człowieka, a bystrego obserwatora, jakim był Jan Popiel. „Tylko monarcha — mawiał — nigdy naród panujący, wyświadczyć może sprawiedliwość narodowi podwładnemu — i jeśli Polacy mogą czegoś się spodziewać od Rosji, co jest zresztą mało prawdopodobne, to tylko od cara, nigdy od społeczeństwa“.

Ale ci ludzie trzeźwiejsi od samego Spasowicza nie uwzględniali tego czynnika łagodzącego przeciwieństwa, jakim jest odpowiednia atmosfera. Zasługa zaś Spasowicza leżała właśnie w pracy nad wytworzeniem atmosfery, która usuwa uprzedzenia, ułatwia wzajemne poznawanie się i rozumienie, a za tem idzie możliwość choćby chwilowych tylko rozejmów i porozumień. Miarodajnym jest tu sąd rosyjskiego publicysty, który powiedział, że „w ciągu 30-u lat Spasowicz zrobił więcej dla sprawy polskiej w Rosji, niż wszyscy inni Polacy razem wzięci“.

Romantycy łatwo wpadają w złudzenia, pozytywiści mogą być skłonni do pesymistycznych wątpliwości lub, co gorzej, widząc tylko interes chwili, za mało liczą się z godnością, z niezależnością ducha, z honorem. Spasowicz wolny był i od złudzeń i od wątpliwości, człowiekowi zaś, który tak głęboko czuł, że „bez wałęsania się po bezdrożach“, na które prowadziła nasza poezja romantyczna, „bylibyśmy mniejsi, pośledniejsi, gorsi“ obcy był opurtunizm, który zgina kolana przed wrogiem. Pamiętam, w obecności mojej zapytał go Ludwik Straszewicz, jakim jest jego zdanie o broszurze „Obrachunki polityczne“, którą Straszewicz dopieroco był wydał, streszczając w niej swój program polityki narodowej: „słabo, słabo — odpowiedział — za miękko napisane. W nich trzeba szpony zapuszczać“.

Te szpony umiał Spasowicz w nich zapuszczać, — śmiały, otwarty, nieugięty wobec rosyjskiej opinii i rosyjskich władz, dlatego właśnie tak był tam poważany. Dla nas zaś wszystkich, którzyśmy go znali i wielbili, wspaniałym był wzorem tej siły duchowej, która czerpie rozkosz nie w niedzielnym wypoczynku po dniach pracy i po dopiętym celu, ale w trudach i znojach tego codziennego borykania się z przeciwieństwami, jakim było nasze ówczesne życie pod jarzmem caratu.

II.

ZE STAREGO DWORU

Jeden z moich słuchaczy, który przed kilku laty prze- dostał się z Sowietów do Wilna, opowiadał mi, że w jednej z gazet sowieckich natrafił na gwałtowne przeciwko mojej osobie skierowane wymyślenia, podpisane przez samego Nachamkes Stieklowa. Jaka szkoda, że nie domyślając się wówczas, iż wkrótce spotka mnie i pozna, nie zachował owego numeru; byłby dla mnie chlubą i cenną pamiątką.

Przed dwoma miesiącami, w Warszawie, w gazecie spokrewnionej kierunkiem z prasą sowiecką, umieszczono feljeton bardzo dla mnie w początku swoim pochlebny. Ale celem pochwał było tem wyraźniejsze uwydatnienie udzielonej mnie w końcu nagany.

Tą gazetą jest *Robotnik*. Może niektórych jej współpracowników oburzy, że ich do komunistów zbliżam. Odpowiem na to, że w każdym numerze, obok tytułu *Robotnik*, widzę hasło: „Niech żyje rząd robotniczy i włościański“, że zaś ani robotnicy, ani tembardziej włościanie rządzić nie będą, więc niech żyje rząd karjerowiczów i demagogów, którzy nieziszczonymi obietnicami pociągną za sobą tłumy i rozpętają w nich niszczycielskie namiętności, aż w końcu zastraszeni własnym dziełem, może usłyszą głos sumienia, może zatrzymać się zapragną, lecz w tej chwili zepchnięci i wyprzedzeni przez innych, zmuszeni będą bezsilnie patrzeć na Polskę, toczącą się i spadającą tam, gdzie ją chcą widzieć Bryl i jego godni towarzysze t. j. pod władzą sowieckich czrezwyczajek i ich doświadczonego kierownika, Feliksa Dzierżyńskiego.

Przedmiotem feljetonu był artykuł mój *Lui et Moi*. Miłomi jest zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Narodowo Demokratycznego *Słowa Polskiego*, w którym, z powodu tegoż *Lui et Moi*, uprzejmie całą moją działalność naukową i publicystyczną nazwano „propagandą głupstwa“, feljetonista *Robotnika*, kryjący się pod pseudonimem Jana Gromicza, obszedł się ze mną po gentlemenśku. W artykule moim widzi on ciekawy, wymowny dokument psychologiczny, wykazujący, jak człowiek prawy i odważny, „posiadający chlubne karty w literaturze i w rocznikach myśli politycznej“, przeistacza się w ciasnego egoistę, gdy wydaje mu się zagrożonym jego interes materialny. Umiałem — opowiada o mnie autor — ciskać w latach wojny gorzkie słowa Rosjanom, nie zląłem się, co wymagało większej jeszcze, zdaniem jego, odwagi Warszawy niewolniczo zapatrzonej w carskie sztandary, zbliżyłem się do nielicznego grona skupiających się w „Widnokregu“ publicystów, którzy w zbrojnych kadrach Piłsudskiego widzieli awangardę niepodległej Polski. Ale skoro niepodległa Polska powstała i chcąc spełnić to, co „celem było Kościuszki i Staszica“, rozpoczęła „nieśmiałe“ próby polepszenia doli ludu, obudził się we mnie „dziedzic ideologii obszarniczej“ i stałem się „gorejącą kolumną nienawiści“ wobec poczynań związanych z programem reformy rolnej.

Ale co mam czynić, skoro ów program otwarcie dąży do wytepienia szlachty polskiej, jako nosicielki tradycji dziejowej, mierząc zaś przede wszystkim w ziemiaństwo na kresach państwa, gdzie ono jest główną ostoją polskości, prześciga najśmielsze marzenia Murawjewa i Stołypina, owych najzacieklejszych wrogów, jakich Polska miała w Rosji... Tych słów moich, które tak gorszą krytyka mego, nie cofam. Szczerzebym chciał uwierzyć, że naprawdę śladem Kościuszki i Staszica kroczyć pragną Wyzwoleńcy; niestety, czyny tych panów dostatecznie głośno świadczą, że nie duch Kościuszki ich prowadzi, ale tak polskie, niestety, uczucie zazdrości względem każdego, komu pod jakimkolwiek względem trochę lepiej się dzieje—uczucie, które ich w nieprzytomnym szale pogrąża. Nie mówię na wiatr, niech za mnie mówią cyfry.

W nawskroś demokratycznej, przez propagandę komuni-

styczną przeżartej Czechosłowacji rozumiano, że jeśli produkcja rolnicza ma jako tako zaspakajać potrzeby kraju, to należy przynajmniej trzecią część ziemi uprawianej w ręku większej własności pozostawić. I tego trzyma się państwo. U nas zaś według danych z roku 1923 większa własność posiada tylko 18,5 proc. użytków rolnych, przytem stosunek ten rozmaity jest w poszczególnych województwach, np. w Poznańskim wynosił 35 proc., w Pomorskiem 24,5 proc., w Wileńskim tylko 12,6 proc., w sąsiednim Białostockiem 9,50 proc.

Przypuśćmy teraz, dla sprawienia przyjemności panom Wyzwoleńcom, że bandytami są wszyscy przemysłowcy, kupcy, kamienicznicy, a „krowopijcami“, mówiąc po sowiecku, wszyscy ziemianie. Przypuśćmy, że wyzuto ich z mienia i rozpędzono na cztery wiatry i że w ich liczbie wyrzucono także i mnie ze starego dworu w Suderwie pod Wilnem, a raczej ze starej walącej się rudery, której nie mam za co naprawić i nie mam odwagi zaprosić do niej moich przyjaciół, bo nie mógłbym im dać pokoju, odpowiadającego najelementarniejszym wymaganiom nowoczesnego komfortu. Dwór ten jednak ma na równi z innymi dworami swoją tradycję; tu odbywały się koło połowy wieku zeszłego liczne zjazdy ziemiaństwa i duchowieństwa ku uczczeniu arcybiskupa metropolity Żylińskiego, który zwykł tam u najbliższych swoich krewnych, Wołków część lata spędzać; tu częstym gościem bywał Syrokomla, tu po raz pierwszy grano jego „Chatkę w lesie“; obok dworu zaś wznosi się okazały kościół, którego budowę, według planu Wawrzyńca Gucewicza, rozpoczął biskup Wołczacki, a doprowadził do końca dziad mojej żony, Hipolit Wołek. Przypuśćmy, że nas tu już niema, że z rozwalonego dworu sklecono naprędce pomieszkania dla krów i owiec, że nie pozostało śladów starego parku, którego wiekowe lipy, topole i kasztany poszły na chaty dla nowych właścicieli. Jaka komu stąd korzyść? i wogóle kto korzystać będzie z owych 257,731 hektarów, które w r. 1923 były jeszcze w posiadaniu większej własności w województwie Wileńskim? Korzystać będzie tylko minimalna ilość bezrolnych i małorolnych, pokrzywdzona zaś przy dziale ogromna większość pnieć się będzie z zawiści i złości. Przeciw komu tę ogromną większość podszczuwać

wówczas będą panowie z Wyzwolenia? Pozostanie im jedno—
poddąć się Brylowi i jego towarzyszom, którzy do Moskwy
jeździli, Sowietom się poddali i z pomocą Sowietów pracują
nad przeistoczeniem Polski w podwładną im sowiecką republikę.

Niestety, nie widzą tego nasi lewicowcy i widzieć nie
chcą, dokąd ich ślepa nienawiść prowadzi. W 1924 czy 25
roku ówczesny wice-premjer p. St. Thugutt zaszczyił mnie
wizytą swoją w Wilnie. Zaprosiłem z tego powodu kilku przed-
stawicieli ziemiaństwa; po kolacji rozpoczęliśmy dyskusję o spra-
wach kraju naszego. W zagajeniu zwróciłem uwagę na to, jak
utopijną jest myśl tych, którzy sądzą, że na miejscu wynisz-
czonego materialnie ziemiaństwa da się tu stworzyć jakaś no-
wa Czerwona Polska; żadnej czerwonej Polski nie będzie, bę-
dzie tylko czerwona Białoruś; polskość utonie w zalewającej
ją białoruszczyźnie. Słowa moje nie przekonały p. Thugutta;
w długim przemówieniu swoim dowodził między innymi, że
o charakterze kraju stanowią miasta, nie zaś wieś! Niektórzy
z obecnych odpowiadali mu z gwałtownością, która przykra
dla mnie była, jako dla gospodarza, i której powodu nie rozu-
miałem. Dopiero po wyjściu wice-premjera dowiedziałem się,
że właśnie tego samego dnia doszedł do rąk kilku moich go-
ści projekt grupy posłów z Wyzwolenia, którego autorstwo oni
niesłusznie p. Thuguttowi przypisali. Projekt ten zalecał, jako
środek przeciw ustawicznym napaściom band sowieckich, na-
tychmiastowe wywłaszczenie ziemian z pogranicznego pasa
i rozdanie ich obszarów włościanom tamecznym w celu przy-
wiązania ich do państwa polskiego. Nie raczyli jednak autoro-
wie projektu zastanowić się nad tem, w jaki sposób rzecz tak
skomplikowaną, jak odebranie ziemi jednym, a nadzielenie nią
innych, można było na poczekaniu załatwić — i nie pomyśleli
również i o tem, jakie uczucia żywić będą względem obdarzo-
nych szczęśliwców ich bezpośredni, najbliżsi, ale poza granicz-
nym pasem mieszkający sąsiedzi. Może w pomyśle tym p. Jan
Gromicz dopatrzy się jakiejś „z poza form politycznych wyra-
stającej treści społecznej natchnionej duchem Kościuszki“. Co
do mnie ducha Kościuszki tam nie czuję, czuję natomiast za-
pach Dzierżyńskiego i Dąbali...

Jeszcze przykład: W końcu marca b. r. Wileńskie Towa-

rzystwo Wiedzy wojskowej uroczystie obchodziło w Auli uniwersytetu dzień Imienin marsz. Piłsudskiego. Jako rektor wygłosiłem przemówienie wstępne. Zamierzałem zwrócić się w celu wydrukowania przemówienia do tego umiarkowanie demokratycznego, według opinii ogółu, *Kurjera Wileńskiego*, w którym pracują przeważnie ziemianie — i to ziemianie obszarnicy. Chcąc jednak własny mieć sąd o piśmie tem, kupiłem numer — i oto na samym wstępie znajduję artykuł, ziejący jakąś poprostu niezrozumiałą dla mnie, obłąkaną nienawiścią do ziemianstwa, do całej jego kultury i ideologii — artykuł taki, że nie dziwiłbym się, jeśliby po przeczytaniu jego ten lub ów półinteligent, zamieszkały w pobliżu dworu jego autora, podpalił to gniazdo wszelkiej ohydy, bo miałby prawo, w razie wykonania zamiaru, bronić się tem, że działał pod suggestją przeczytanych złorzeczeń. A co spowodowało ów wściekły atak? To jedno, że ziemianin, książę Eustachy Sapieha, napisał odezwę monarchistyczną i za to nazwano go Targowiczanie i wraz z nim tych wszystkich, którzy monarchję uważają za formę rządu najodpowiedniejszą dla nas, wiążącą czasy nasze z przeszłością, dającą pewniejsze, niż inne formy, rękojmię, że rząd będzie ponadpartyjny, sprawiedliwy, silny. Konfederację Targowicką tworzyli ci, co nie chcieli wzmocnienia władzy królewskiej, albowiem „Polska nierządem stoi“; dziś, odwrotnie, Targowicą jest nie wierzyć, że tylko nierządem stać może Polska, nierządem bezmyślnych i rozagitowanych suwerenów.

Czy nie świadczy to, że społeczeństwo polskie spadło pod względem ideowym do tego pierwotnego poziomu wierzeń i zapatrywań, który fetyszyzmem nazywają. Fetyszyzm frazesu, frazesu demokratycznego, który wielki rewolucjonista rosyjski, ale rewolucjonista z szerokim widnokregiem myśli i żywym zmysłem estetycznym, Aleksander Hercen, wyśmiewał niegdyś i określał, jako bicie czołem przed kozuchem chłopskim: „Kozuchu chłopski, kozuchu święty, kozuchu absolutny“... Daremny był to śmiech. Bicie czołem trwało nadal, aż w imieniu kozucha zawładnęły Rosją kosmopolityczne bandy kryminalistów pod wodzą Lenina. Bijmy czołem i my, aż znajdziemy swojego Lenina; bijmy czołem, bo inaczej posądzą

nas, że nie jesteśmy dość demokratyczni, dość postępowi, dość czerwoni, dość przygotowani do ocenienia genialności Lenina i dobrodziejstwa czrezwyczajek...

Pan Gromicz twierdzi, że wraz z tem jak „odrodzone państwo Polskie postawiło obywatelom swoim do rozwiązania kwestje wsi i dworu, pracy i kapitału, włościanina i obszarnika... pod moją togą profesora zaczęło bić serce wielkiej własności rolnej“. To samo serce tak samo biło i przedtem, gdy w r. 1915 pisywałem do *Widnokregu* i gdy w latach następnych bronilem idei legjonów w niemniej lewicowym *Dzienniku Petrogradzkim*. Pamiętam, jak w końcu 1916 roku zwrócił się do mnie w Petersburgu b. poseł do Dumy, który później przystąpił do Wyzwolenia, gen. Babiański; prosił mię usilnie, bym podpisał jakąś deklarację demokratyczną. Odmówilem. „W *Dzienniku Petrogradzkim* — powiedziałem — pisywać będę nadal, bo się zgadzam z redakcją w orientacji zewnątrzno - politycznej, ale staram się uniknąć kłamstwa, kłamstwem zaś jest demokracja, bo z zawrotną szybkością stacza się w odmęty ochlokracji, po czem niechybnie nastąpi mrok barbarzyństwa, śmierć kultury, rozbestwienie człowieka“. Minęły trzy, cztery miesiące, a u steru Rosji już stał Kierenski i bezmyślnie torował drogę Leninowi...

* * *

Pisałem to w zaciszu wiejskiem, dokąd, korzystając z Zielonych Świąt, udałem się, aby wypocząć po gnębiących wrażeniach majowych dni w Warszawie. Przelana krew nie byłaby przelaną daremnie, jeśliby ten, który dokonał zamachu, zdołał mocną ręką, powstrzymać zarówno demagogję czerwoną, świadomie i nieświadomie nas w stronę czerwonej Moskwy niosącą, jak prawie jednako groźną w swej nihilistycznej bezideowości demagogję tych, co na prawicy sejmowej zasiadali. Ale kto innych poskromić chce, tenby powinien wpierw samego siebie poskromić w uczuciach swoich i stosunkach do pokonanych i rozbiorowych przeciwników, którzy mężnie porządku legalnego bronili.

Suderwa 26 maja 1926 r.

III.

KONSERWATYZM A DEMOKRACJA

Przemówienie wygłoszone w Wilnie na inauguracyjnym posiedzeniu Towarzystwa Zachowawczej Pracy Państwowej.

1.

Dzieje Europy toczyły się od czasów rewolucji francuskiej pod znakiem idei demokratycznej. Dziś idea ta jest już idea martwą. Spełniło się w jej zakresie kierujące historją nieubłagane, żelazne, powiedzmy, straszne prawo logicznej konsekwencji, mocą którego żadna idea nie zejdzie z widowni, dopóki nie wyczerpie całej zawartości swojej, dopóki od wniosku idąc do wniosku, nie dojdzie do tego kresu, w którym staje się absurdem. Idea demokratyczna już się wyczerpała, już doszła do absurdu, przeistaczającego ją w przeciwieństwo tego, czem jest w istocie swojej. Świadczy o tem Rosja.

W istocie swojej idea demokratyczna zlewa się z chrześcijańską idea braterstwa, jest ową powszechnością ludzką, za którą wzdychali sprawiedliwi wszystkich czasów i narodów, ale realizowana w sposób mechaniczny, stosowaniem gwałtu, nie cofającego się przed żadną obrzydliwością, stworzyła w Rosji „maszynerję wspólnoty, jak się wyraził Fr. W. Forster, bez ducha wspólnoty“ czyli krwawą karykaturę, jaką jest panowanie najgorszych, tych, co łącząc przebiegłość z okrucieństwem, umieli drogą terroru zagarnąć władzę i terrorem ją utrzymują, aby płaszczem idei przykrywać swoje własne najpodlejsze zawiści, nienawiści, namiętności.

Z Rosji, raczej z Sowdepji, bo Rosji dziś niema, ów krwawy absurd umiejętnie rozciąga sieć swoje nad nami, nad Europą. Poddanie się jemu dowodziłoby, że rozkładamy się i gnijemy, że śmierć stuka do drzwi. Jeśli w organizmie na-

szym są jeszcze jakieś pierwiastki zdrowia, to reakcja nastąpić musi — i reakcji tej dopomódz jest powinnością ludzi uczciwych i rozumnych.

Działanie idei, gdy już się stała, lub bliska jest absurdu, porównać można z działaniem chorobotwórczych mikrobow — z tą różnicą, że mikroby fizyczne dokuczają, dręczą i organizm stawia opór napaściom niewidzialnych wrogów, niosących cierpienie i śmierć, mikroby zaś duchowe upajają, odurzają i pod wpływem narkotyku człowiek uświadamiać sobie przestaje i czuć, jak mu one myśl i wolę stopniowo trują. Ten brak odporności względem panującej atmosfery ideowej sprawdzamy codziennie, na każdym kroku, nawet u jednostek wybitnie inteligentnych, aż trudno nieraz zrozumieć, jak może człowiek umiejący myśleć tak bezmyślnie iść z prądem, który jego najżywotniejszym interesom bezpośrednio grozi. Polityk, który goni za tłumem, choć wie, że nie po stronie tłumu jest słuszność, obywatel, który się przyłącza do każdej sprawy, będącej popularną w danej chwili, są to — powiedział australczyk Stephen ¹⁾ — „tchórze i zdrajcy nowej ery“, t. j. tej, która powinna nastąpić.

Umysły głębsze oddawna, od połowy wieku zeszłego i przedtem, przewidywały to, co dziś się stało, i zastanawiały się nad środkami zaradczymi przeciw niebezpieczeństwu, jakie sprowadzi demokracja, gdy odrzuci hamulce rozumu i sumienia. Jeden z najsubtelniejszych pisarzy szwajcarskich, H. Fr. Amiel, pisał w roku 1851, że przyszły statystyk, badając epokę naszą, stwierdzi rosnący postęp, przyszły zaś moralista — stopniowy rozkład: *progrès des choses, déclin des âmes*. Dlaczego? Bo idea demokratyczna spoczęła dziś na fikcji, że „większość ma za sobą nie tylko siłę, ale i rozum, że posiada mądrość, a zatem także i prawo stanowienia o wszystkim“. Fikcja ta zrodziła głosowanie powszechne, które pisarz, nigdy nie posądzony o „reakcjonizm“, Gustaw Flaubert, nazywał „*la honte de l'esprit humain*“. Fikcję tę prostolinijnie rozwijając, dobrnęliśmy — mówi Amiel — do nonsensu, że im więcej po-

¹⁾ „Democracy and Character“. Cytuję wedł. „Etyki i polityki“ Förstera w opracowaniu Józefa Mirskiego (Lwów, 1926).

stawimy obok siebie głupców, błaznów, zaciętrzewieńców, nawet łotrów, tem większe wytryśnie stąd światło. „Czy nie jest“ — melancholicznie zapytywał on — „niwelacja powszechna prawem natury, a życie uganianiem się ślepem za negacją życia“. I jakże trafnie, patrząc na Komunę Paryską w r. 1871, zapisywał w dzienniku swoim, że: „komunizm międzynarodowy niczem innem nie jest, jak kwaterunkiem nihilizmu rosyjskiego, a ten będzie wspólnym grobem ras starych, jak rasa łacińska i ras niewolniczych, jak Słowianie“.

Następstwa zasady powszechnego głosowania przejmowały grozą Karola Secrétan, którego zaliczamy do najgłębszych i najszlachetniejszych filozofów nowoczesnych. Przedmiotowi temu poświęcił on dzieło swoje: „La Civilisation et la Croyance“. Widząc i przewidując, że losy państwa i społeczeństwa coraz bardziej zależą od pożądań i namietności tłumów, podjudzanych i prowadzonych przez niesumiennych prowodyrów, trapił się zmorą możliwej bliskiej ruiny gmachu społecznego i zaprzepaszczenia w rzekach krwi wszystkiego, co w cywilizacji najlepsze, najwyższe. Więc co robić? Nadzieja jedyna — w umysłach i charakterach wysokiego poziomu. Czyli wychować trzeba ludzi przejętych świadomością swojej powinności społecznej. Świadomość zaś powinności, wiara w jej absolutne znaczenie jest wiarą w absolutne Dobro czyli w Boga: „Szukamy istoty doskonałej, pragniemy jej i potrzebujemy, wiara w Istotę doskonałą utrzymuje nas i stwarza“. Złudzeń Secrétan nie miał jednak żadnych; wiedział, że niewiele się znajdzie owych jednostek wyższych, o których marzył, ale od nich, tylko od nich zawisło ocalenie świata, tylko ich wspólny wysiłek może postawi jakąś tamę już zalewającemu nas falą rozhukaną najazdowi barbarzyństwa wewnętrznego, od którego, według Renana, zginie cywilizacja nasza. Niepodobna się nie zgodzić z Secrétan'em, że ideę demokratyczną, która dziś utknęła w bolszewictwie, zwalczać można tylko podnosząc nas ponad proch rzeczy ziemskich ideą religijną, ideą człowieka stworzonego na wzór i podobieństwo Boże, ideą człowieczeństwa przeciwstawianego bestjalizmowi najpodlejszych instynktów i pożądań, tą nieustępliwą — mówi Förster — mocą sumienia, której wspaniały symbol mamy

w Antygonie Sofokiesa, tej strażniczce potęg moralnych, trwającej niezłomnie wobec Kreona, t. j. w obliczu zastępców piśnianego prawa „przy potężnym wieczystem prawie bogów” — i tylko tam „gdzie w duszach obywateli władza Antygona”, może być mowa o mocnych podwalinach porządku społecznego i państwowego.

Na podwalinach tych powinno się trzymać, jak to sama nazwa wskazuje, każde stronnictwo zachowawcze. Ono zachowuje, ono stoi na straży tych odwiecznych wrodzonych konieczności duchowych i tych opartych na nich zasad, które człowieka czynią człowiekiem, t. j. istotą noszącą w sobie obraz i podobieństwo Boże, tem samym ideę człowieczeństwa podnosząc przeciw bolszewickiej idei bestjalizmu tkwiącego w materializmie historycznym Marxa, ono ratuje od barbarzyństwa, a zatem nie jest i nie może być bezrozumną jakąś reakcją. Przeciwnie, historia naucza, że inicjatywa do reform bardzo postępowych szła nieraz od stronnictw zachowawczych; dzień każdy przynosi nowe potrzeby — i potrzeby te należy uwzględniać, ale zarazem należy umieć je uzgodnić z nakazami sumienia, czyli, mówiąc konkretnie, oświetlać je światłem Dekalogu i Ewangelji. I dodajmy do tego, że dziś jest łatwiej, niż kiedy, iść w imię polityki chrześcijańskiej przeciw bolszewictwu z jego hasłem dyktatury proletariatu, gdy wiemy i widzimy na przykładzie Rosji, co pod tem hasłem się kryje.

Niestety, groźną w następstwach swoich jest także bezideowość tych, którzy bolszewictwu umieją przeciwstawić tylko nacjonalizm (a nie patriotyzm), czyli jednej namiętności drugą, też do niskich instynktów przemawiającą. Ci u nas, co na prawicy Sejmu zasiadając, wysunęli hasło *naród*, tem hasłem hypnotyzują szerokie masy i piętnują, jako nienarodowe, to wszystko, w czem nie brali udziału i czem nie kierowali, rzucili tem samem — według słów jednego z najznakomitszych u nas umysłów politycznych, autora „Wskreszenia Państwa Polskiego”, Michała Bobrzyńskiego — „płonącą żagiew w życie nasze publiczne”.



2.

Wobec niektórych pozornych podobieństw między konserwatyzmem, a tak zwaną u nas narodową demokracją obawiać się należy, że ludzie pokrewnego z nią sposobu myślenia mogliby się znaleźć w szeregach stronnictwa konserwatywnego, jeśliby się ono utworzyło, i mogliby je zepchnąć z właściwej drogi, a pchnąć ku celom nie mającym nic wspólnego z konserwatyzmem.

Przed chwilą przytoczyłem słowa Bobrzyńskiego. Wobec przerażającej w rozmiarach swoich nadprodukcji książkowej, co do której uczony francuski P. Stapfer jeszcze w wieku zeszłym przepowiadał, że bliski jest czas, gdy dla umieszczenia tego wszystkiego, co się drukuje, potrzebne będą nie gmachy biblioteczne, lecz całe kwartały w miastach stołecznych, — wobec ogromnej ilości książek, które my, literaci, czytać musimy, niema podobieństwa polegać na własnej pamięci. Czytając przeto podkreślałem to, co najważniejsze — i podkreślając, czytałem wspomniane dzieło. Niedawno zająłem do tomu drugiego, do ustępów w nim podkreślonych i oto z tego ścisłego a suchego zestawienia faktów, jakim jest „Wskrzeszenie“, powstał przedemną żywy, a w niejednym szczególe zastraszający obraz tych kilku lat istnienia niepodległej Polski. Niektóre z tych szczegółów warto dziś przypomnieć.

W dniu 4 listopada 1918 r. rząd, będący wówczas u władzy, wydaje jedyną w swoim rodzaju odezwę rewolucyjną wymierzoną przeciwko Radzie Regencyjnej, z ramienia której sam u steru władzy stał. Odezwa ta pisana według wzoru manifestów sowieckich wywiesza hasło „Polski ludowej“, apeluje do „pracującego ludu Polskiego“, i zapowiada że „pracujący lud“ (*trudowej narod*) utworzy nowy rząd. I tę nawskroś demagogiczną odezwę, opartą na ciasnej podstawie partyjno narodowej, nie zaś ogólnonarodowej, na której stała Rada Regencyjna, podpisują członkowie ziemiańscy rządu Świerzyńskiego. „Tem samem okazali — mówi autor „Wskrzeszenia“ — że ich warstwa społeczna przestała być w budowie państwa polskiego czynnikiem samodzielnym, że w budowie tej historyczna tradycja polska i zasady konserwatywne nie znajdą odważnego

obrońcy". Przyznajmy ze wstydem, my, z pomiędzy tu obecnych, którzy do warstwy tej należymy, że wyrok ten jest słuszny. Oby nie zatwierdziła go przyszłość.

W kilka dni po odezwie tej obejmuje władzę Piłsudski. Ogłasza program „górujący niezmiernie nad programem Świeżyńskiego“ tem, że jest wolny od pierwiastka demagogicznego. Ale nie mając możliwości stworzenia rządu koalicyjnego z powodu niezgody stronnictw, woli oprzeć się na karnych i oddanych jemu socjalistach oraz bliskich im radykalnych ludowcach. Prezydenturę gabinetu otrzymuje Moraczewski. Ten z pośpiechem wydaje najdemokratyczniejszą w świecie ordynację wyborczą, która nieszczęściem Polski się stała, i nie wiemy, jak ją naprawić, jak z nieszczęścia się wydobyć. Sejm, który jej zawdzięczamy, stał się najbardziej znienawidzoną i wzgardzoną w Polsce instytucją i powszechnie u nas przeklinają Moraczewskiego, jako twórcę ordynacji. Twórcą jej jednak nie jest; gabinet socjalistyczny znalazł projekt ordynacji gotowy, jako spuściznę po rządzie narodowo-demokratyczno-ziemiańskim Świeżyńskiego. „Byłoby nie do uwierzenia — pisze Bobrzyński — gdyby tego nie stwierdził sam Głębiński“.

A teraz uprzytomnijmy sobie ówczesne położenie Polski pod względem stosunku do sąsiadów: wszędzie na wschód od Wilna panowali bolszewicy; Wilno mieli Niemcy lada dzień im oddać; do Lwowa szturmowali Ukraińcy; wojska prawie nie było, we Francji zaś armja gen. Hallera urosła do sześciu dywizyj. Naczelnik państwa zażądał wysłania jej pod jego rozkazy. Ale komitet Paryski, któremu przewodniczy Dmowski, nie uznaje Rządu polskiego, a sam wówczas jest jeszcze uznawany przez Ententę. Wysłaniu armji przeszkadza, aby ją uratować od Naczelnika państwa. Ale „wskutek tego Galicja wshodnia i Lwów krwawiły się wojną domową przez długie miesiące, a księstwo Cieszyńskie padło ofiarą czeskiego najazdu“.

W tymże czasie Komitet wysłała do Polski St. Grabskiego pod pozorem „porozumienia się ze wszystkimi czynnikami“. Podróż ta i „porozumiewanie się“ daje w wyniku zdwojoną w szeregach narodowej demokracji i jej przyjaciół nienawiść nietylko do Naczelnika państwa i jego socjalistycznego gabinetu, ale do wszystkich byłych aktywistów, choćby należeli

do konserwatystów czy umiarkowanych demokratów; „wma-
wiano w społeczeństwo, że trzeba ich usunąć, aby nie stra-
szyć koalicji“. Koalicja jednak tego, co już było i przeszło,
nie lękała się i chciała — zwłaszcza Francja — mieć Polskę
jednolitą, nie zaś szarpaną przez partje — i oto ten, którego
imię figurowało zapewne na pierwszym miejscu w ułożonej
liście proskrypcyjnej, były prezes N. K. N. Wł. L. Jaworski
otrzymuje w roku zeszłym wysokie odznaczenia ze strony Rządu
francuskiego: komandorję Legji honorowej.

W styczniu 1919 r. nastąpiło otwarcie konferencji poko-
jowej. Co robi Dmowski powołany przez Radę Najwyższą do
przedstawienia żądań polskich? Píše memorjały, które „w po-
łowie tylko — słowa Bobrzyńskiego — zajmowały się sprawą
polską, w drugiej zaś połowie — koniecznością rozbitcia Austro-
Węgier“¹⁾. To drugie jest jego myślą ukochaną, znowu „nie
do uwierzenia“, ale Dmowski sam potwierdza, iż od dawna
rozumiał, że niepodległej Polski nie będzie bez rozwalenia
przestarzałej budowy monarchji Habsburgów i oddawna w swem
działaniu politycznem tym celem się kierował. Jaki zaś zwią-
zek między jednym a drugim jest to jego tajemnicą, którą
w książce swojej wyjaśnić próbował, ale nie umiał. Inni, prze-
ciwnie, widzieli właśnie w utrzymaniu Austro - Węgier ochronę
dla nas przeciw Niemcom i Rosji. I Austro - Węgry, — ten
przedmiot „osobliwej nienawiści Dmowskiego“ przestały istnieć;
Dmowski osiągnął całkowity tryumf, pracę jego nad utworze-
niem państwa Czecho - Słowackiego uwieńczyło powodzenie.
I cóż? Czesi otrzymują od Koalicji mandat do administrowa-
nia Rusią węgierską. Polska w ten sposób traci po przejściu
Słowaczyny do Czech jedyny punkt bezpośredniego zetknię-
cia z Węgrami, tem jedynem państwem, z którem nas łączy
ściska wspólność interesów, które w razie nowej zawieruchy
byłoby jedynym naszym sprzymierzeńcem, Czesi zaś wyteżają
wszystkie siły, ażeby granicząca z Rusią węgierską Galicja
wschodnia odpadła od Polski, za rzecz najpilniejszą dla siebie

¹⁾ Trafne uwagi o szaleństwie pomysłu tego znajdujemy u Hipolita
Korwin-Milewskiego („70 lat wspomnień“, Poznań, 1930, str. 404—6). Por.
M. Zdziechowski „Pod wrażeniem dziejów porobiorowych Michała Bo-
brzyńskiego“ (Przegląd Współczesny, styczeń, luty 1932 r.).

uznając wspólną granicę z Rosją. Słowem, Polska otoczona, ściśnięta zewsząd przez obce jej i wrogie potęgi, znalazła się, dzięki staraniom Dmowskiego i jego przyjaciół, w sytuacji politycznej najgorszej, jaka się da pomyśleć. — To jedno. Nie zapomnijmy o drugim, o tem mianowicie, że swoim jaskrawym antysemityzmem Dmowski lekkomyślnie się naraził wpływowym na konferencji żydom: „cały obóz żydowski stanął wrogo wobec Polski we wszystkich poczynaniach jej delegata“, a wynikiem tego był traktat narzucony Polsce, a zabezpieczający t. zw. prawa mniejszości narodowych. „Polska niepodległa — pisze autor „Wskrzeszenia“ — przestawała nią być na prawdę, skoro obce rządy pod łatwym pretekstem mogły do jej spraw wewnętrznych się mieszać“...

W lutym 1919 roku zebrał się w Warszawie Sejm. Naczelnik państwa składa w ręce jego swój urząd, a Sejm natychmiast uchwała prowizoryczną małą konstytucję, która ogranicza do ostateczności jego władzę, czyniąc go urzędnikiem odpowiedzialnym przed Sejmem, wykonawcą jego woli. Złożyły się na to oczywiście dążenia lewicy do ustalenia wszechwładzy Sejmu, ale także i w niemniejszym stopniu nienawiść do Piłsudskiego tych, którzy się prawicą mienili. Sejmowładztwa ugruntowanego przez małą konstytucję, nie ośmielają się później naruszyć twórcy konstytucji wielkiej. Sprawozdawca komisji konstytucyjnej, prof. Dubanowicz, ogłasza w r. 1920, że przedłożony przez nią projekt daje nam rękojmię stworzenia państwa wolnego, a potężnego, rękojmię, polegającą na tem, że „komisja przyjęła najrozleglejsze prawo wyborcze, posunęła jak najdalej zasadę odpowiedzialności rządu wobec Sejmu, ograniczyła skład i kompetencję Senatu, jak żadne państwo“.

Czytając to, nie wierzymy oczom. Mogło socjalistę Niedziałkowskiego razić, że państwo Polskie nie poszło śladem Sowietów i nie ogłosiło się „republiką ludową“, mógł straszyć, że projekt nie podoba się organizacjom robotniczym Zachodu, ale trudno zrozumieć zachwyty tych, co przez usta Głabińskiego oświadczały, że nie mają czego się wstydzić ani przed swoimi, ani przed obcymi, gdyż konstytucja, za którą głosują, jest najdemokratyczniejszą ze wszystkich, jakie istnieją. To już fatyszizm czci dla demokratycznego frazesu, to niezdolność

oparcia się absurdowi, to upadek woli i zatrucie myśli przez mikroby, zapelniające atmosferę polityczną danej chwili.

Atmosferę tę stanowiło i stanowi do dziś dnia pod wpływem prądów, idących od Wschodu, od Sowietów, wywłaszczenie — wywłaszczenie całkowite, bez odszkodowania właściciela, albo za odszkodowaniem jaknajmniejszym. Daremnie polskie związki ziemiańskie uchwały na cele parcelacji 1½ miliona morgów użytków rolnych. Po co? Skoro można było wszystko otrzymać darmo. Tymczasem pieniądze przechowywane w skrzynkach włościańskich lub kasach oszczędności traciły wartość i reforma rolna, musząc liczyć się z tem, „zamiast iść z prawem — słowa Babrzyńskiego — poszła obok prawa i przeciw prawu“... „była wskutek tego zamachem nie tylko na większą własność, ale i na państwo, nie brała pod uwagę finansowego położenia państwa“, była — dodam za J. Moszyńskim idąc — zamachem na duszę ludu, który demoralizowano, wmawiając, że zamiast pracą i oszczędnością można dojść do własności jałmużną i grabieżą; była wreszcie ciosem spadającym na polskość tak w kraju naszym, jak we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej z ludnością mieszaną.

I tu przypomnę, że ziemianie wszystkimi siłami, wszystkimi środkami materialnymi, wśród najtrudniejszych warunków materialnych, popierali przy wyborach w r. 1922 NDcję, t. zw. ósemkę w niezachwianem do niej zaufaniu i przeświadczeniu, że tylko jej posłowie potrafią stanąć w obronie ich przeciw bolszewictwu Wyzwolenia i pokrewnych ugrupowań. Jakże srogi spotkał ich zawód! Panowie z ósemki za plecami ziemiaństwa, któremu mandaty zawdzięczali, zawarli z Witosem układ przeciw ziemiaństwu. Czy zawód ten otworzył im oczy. Nie, stwierdzili słusność słów autora „Wskrzeszenia“, że „ziemiaństwo przestało być w budowie państwa polskiego czynnikiem samodzielnym, że w budowie tej historyczna tradycja polska i zasady konserwatywne nie znalazły odważnego obrońcy“.

I zarazem stwierdzić tu jeszcze należy absolutną nihilistyczną bezideowość tych, których wówczas ósemką nazywano. Ideę zastępowali roznamiętnieniem i podjudzaniem albo przeciw niepolskim w państwie żywiłom, albo przeciw pojedyn-

czym wybitnym jednostkom, które miały lub mogły mieć wpływ na życie publiczne, a do stronnictwa nie należały; wystarczy; przypomnieć gwałtowną i ohydnie oszczerczą kampanję przeciw Al. Lednickiemu prowadzoną.

3.

Uzupełniając sądy i wywody znakomitego polityka i męża stanu, sięgnę do wspomnień osobistych. Przed trzema przeszło laty na Zjeździe ziemian z całej Polski, tu w Wilnie, wygłosiłem, zaproszony przez prezesa Towarzystwa rolniczego, p. Karola Wagnera, referat o mniejszościach narodowych w naszym kraju. Myśl referatu była pesymistyczna, rozumiałem, tak samo rozumiem dziś niesłychaną trudność jakiegokolwiek rozwiązania tej kwestji. Nie uprawnia to jednak do zamykania oczu na rzeczywistość, a motywy zarówno polityczne jak etyczne nakazują prowadzić politykę ugody; najłatwiej jest porozumieć się z narodami o wyrobionej i wysokiej kulturze, kultura oznacza przewagę pierwiastków ładu nad pierwiastkami niszczącymi, należałoby przeto wszelkie przedsięwzięć starań, aby na zachodzie pociągnąć ku sobie naszych współobywateli Niemców, na wschodzie — Rosjan. Trudniejsza jest sprawa z innymi mniejszościami, ale ponieważ dążenia ich skupiają się głównie w kierunku oświatowo-kulturalnym, więc w tym zakresie należy im dopomóc, przynajmniej nie przeszkadzać. Nie przywiąże to ich oczywiście do nas i dlatego, dowodziłem, powinienby rząd szczególną opieką otoczyć tu, w tym kraju, jako główną ostoję polskości, żywioł ziemiański. Ale zrozumienia tego — piszemy w nawiasach — nie było nigdy w Warszawie ani na lewicy, ani na prawicy; świadczy o tem Traktat Ryski, który obrócił w niwecz wielowiekową pracę polską na Wschodzie, a ludność polską tameczną skazał na zagładę, oddając ją na pastwę Sowietom... Premierem w chwili zjazdu był gen. Sikorski. Konieczność naprawy reformy rolnej dla dobra państwa przede wszystkim nie zaś ziemian rozumiał, ale kogo miał wezwać do pomocy. Choć się nie zaznaczył, o ile wiem, nigdzie i niczem, jako zdecydowany przeciwnik panów z prawicy, do nich jednak nie należał, przysięgi posłuszeństwa przewod-

niczającej im klice czy mafji nie złożył, wskutek tego namiętnie był zwalczany. Chcąc nie chcąc, szukać musiał oparcia w zmyśle państwowym lewicy, dla której wszelka naprawa w rzeczach reformy rolnej była conajmniej niepożądana. O wszystkim, co dotyczyło stosunku prawicy do premjera, mówiłem bardzo oględnie, delikatnie. A jednak powstała w sali burza opozycyjna. W gazetach pisano później, że referat mój „przeszedł najgorsze oczekiwania”; minęły tygodnie, miesiące, a jeszcze Towarzystwu Rolniczemu Wileńskiemu wytykano w Warszawie gruby nietakt, jakiego się dopuściło, mnie polecając referat w tak drażliwej sprawie. Wśród zaś mówców, którzy wywody moje na Zjeździe zbijali, odznaczył się jeden z najgłośniejszych naszych posłów, a mówił w taki sposób, że obecni, choć nie było to wygłoszone wyraźnie, wyciągnęli jednak ze słów jego wniosek, że premjer został przekupiony przez żydów. W dniach następnych mówiono już o tem w Wilnie, jako o rzeczy wiadomej wszystkim: „Skądże to wiadomo — pytałem — wszak posłowie żydowscy ostro w sejmie premjera atakują”. — Właśnie to jest dowodem — odpowiadano — że go przekupili, premjer jest człowiekiem przebiegłym i napaści żydowskie z góry zamówił, aby zamydlić, komu trzeba, oczy“.

Wkrótce potem generał Sikorski musiał ustąpić miejsca ósemce i Witosowi — i ci sami wśród ziemian, którzy góry na niego walili, gdy był premjerem, musieli wyznać, że reforma rolna, którą on wspólnie z lewicą opracowywał, daleko dogodniejsza była dla nich, niż ta, z którą wystąpili prowadzeni przez Witosa owi mniemani ich obrońcy z ósemki, którzy z łaski ich ofiarności w sejmie zasiedli. Ale czy miało to skutek? Znowu nie; w jesieni roku zeszłego odbył się wielki zjazd ziemian w Warszawie. Na narodową demokrację napadano jednogłośnie a tak gwałtownie, że przewodniczący musiał mówców do porządku przywoływać, ale zjazd się skończył i poczciwi ziemianie, wykrzyczawszy się, posłusznie poszli na pasku grupy wydelegowanej do prowadzenia ich pod firmą chrześcijańsko-narodową.

Zachodzi obawa, aby ten sam los nie spotkał konserwatyzmu, aby powstające stronnictwo zachowawcze nie przeciwstoczyło się bezwiednie i mimowolnie w narzędzie do obcych

jemu celów, do celów nawet zasadniczo przeciwnych jego zamierzeniom. Stronnictwo zachowawcze, stojąc w obronie podstaw moralnych społeczeństwa, religii, rodziny, własności, powinno mieć świadomość tego, że jest stronnictwem wielkiej chrześcijańskiej polityki, ratującej nie tylko byt polityczny Polski ale i byt duchowy, jej duchową niepodległość przed niebezpieczeństwem najstraszniejszym, jakie kiedykolwiek groziło ludzkości, przed bolszewictwem wciskającym się w nasz organizm narodowy wszelkimi drogami.

Niedawno miałem sposobność przytoczenia w „Słowie” zdania, które mnie uderzyło głęboką trafnością, a słyszałem je tej wiosny z ust prof. Wł. Leop. Jaworskiego: „Polskę współczesną symbolizują trzy imiona: Witos, Piłsudski, Bryl. Witos wkrótce zejdzie ze sceny, trzeba będzie wybierać między Brylem a Piłsudskim, między poddaniem się Sowietom, a walką z sowietyzmem; oczywiście pójdziemy wówczas wszyscy za Piłsudskim”. Sprawdziło się to dosłownie. Ale czy najsilniejszy obecnie człowiek w Polsce będzie dość silny, aby stawić czoło Brylowi i pionierom Moskwy sowieckiej, mającym w niej potężne oparcie i pomoc? Mimowoli zakrada się wątpliwość wobec tego, że nie skorzystano z pierwszej chwili, z paniki, która po zamachu ogarnęła posłów i senatorów—że od razu nie wymuszono od nich uchwał niezbędnych do uzdrowienia kraju. Przywódcy bowiem partyjni już ochłonęli ze strachu i podnoszą głowy, Ci zaś z nich, co Moskwie służą, dotychczas nie tykalni, bezkarni, przeciw państwu, choć kosztem państwa utrzymywani agitują, wzywają do niepłacenia podatków, do ostrzenia kos i wideł, do rabunków, a w sejmie przez usta posła Wojewódzkiego zapowiadają nieubłaganą walkę, w której „nie przestraszą się ani bata, ani kul, ani więzień, ani armat”... Tem bardziej powinniśmy się organizować dla ratowania Ojczyzny i Państwa.

Wilno 10 lipca 1926 r.

IV.

„UGODOWOŚĆ“ W NOWEJ POSTACI

Po roku 1863, na gruzach rozbitych marzeń powstała idea pracy organicznej: czego naród nie wywalczył orężem, zdobędzie to pracą. W r. 1876 uroczystie obchodzono w Krakowie jubileusz Kraszewskiego, jedyny w swoim rodzaju, najświetniejszy ze wszystkich, jakie były i będą. W osobie znakomitego pisarza uczczono żywy symbol pracy, która odbuduje ojczyznę. Konsekwencją idei pracy organicznej było kompromisowe stanowisko wobec rządów zaborczych, czyli t. zw. polityka ugodowa, polityka dla ludzi małych i marnych, zwłaszcza w imperjum rosyjskiem, łatwa i dogodna, lecz wyzuwająca ich nieraz z poczucia godności narodowej. Byli jednak wśród „ugodowców“ ludzie ducha podniosłego, otoczeni czcią społeczeństwa i zasługujący na nią; nie karierowiczowskie jakieś rachuby kierowały nimi, ale miłość ojczyzny. Przypomnijmy dr. Ignacego Baranowskiego w Warszawie, Spasowicza w Petersburgu, Woyniłłowicza w Mińsku; musieli nieraz tragiczne przeżywać chwile; z jakim bólem wewnętrznym, z jaką gnębiącą świadomością upokorzenia swego składał Ignacy Baranowski w imieniu swego stronnictwa wieniec na trumnie zaciętego prześladowcy Polski, cara Aleksandra III!

Carat runął; miejsce białego Cara zajęli nowi czerwoni carowie, ale psychika ugodowości pozostała nietknięta, tylko pozbawiona wszelkiej tragiczności, wszelkiej myśli czystej, któraby ją usprawiedliwić mogła, ogarnęła zaś całą Polskę za wyjątkiem tylko dawnych ugodowców, tych, co pomimo ugodowości, po polsku, szlachetnie myśleli i czuli. Wszystkie partje polityczne, wzajemnie się nienawidzące i zwalczające, w jed-

nem są zgodne; w uniżoności, z jaką tarzają się przed najjaśniejszą aljantką sowiecką. Aby coś podobnego w przeszłości naszej znaleźć, trzeba się cofnąć do końca w. XVIII, gdy niektóre „królewicze” nasze tarzły się przed najjaśniejszą imperatorową. Jedyną okolicznością cokolwiek łagodzącą to znikczemnienie myśli politycznej jest przykład Europy; to samo czynią inne narody i państwa.

Czerwonym władcom nieszczęśliwej Rosji to przyznać należy, że z niesłychaną dotychczas umiejętnością uprawiają sztukę zasypywania ludziom oczu piaskiem; oślepił ich i wzbudza ślepy ich podziw dla swego dzieła. Rosję doprowadzili do ostatecznej nędzy, a pomimo to wydaje się potężniejszą, niż kiedykolwiek, bardziej imponuje Europie, niż niegdyś za Mikołaja I. Niemcy, pierwsze, zdały sobie sprawę z choroby toczącej organizm narodu, z rozkładu wewnętrznego, jaki spowodowały zarazki dżumy czerwonej, owoc przyjaźni z Sowiecami — i z brutalną w bezwzględności swojej energią zabrano się tam do tępienia komunizmu. Z przeciwległej strony grozi Sowiecom zbrojny konflikt z Japonją. Sytuacja zewnętrzna Sowieców jest groźną wewnętrzną—rozpaczliwa. Oto wydano tam w pierwszych miesiącach 1933 roku dekret słusznie nazwany dekretem rozpaczy; kasuje on obowiązujące normy podatku zbożowego, to znaczy, że chłopom zabierać będą tyle zboża, ile jego trzeba na przekarmienie armji przedewszystkiem, poza tem obu stolic, więc prawdopodobnie zabiorą całe zboże, wszak nieurodzaj objął część znaczną Rosji, w gubernjach zaś południowych, gdzie zbiory były dobre, warunki transportowe uniemożliwiają korzystanie z nich.

W takich warunkach nie będzie podobieństwa wziąć w opiekę zagłodzone masy, przyjść im, jak w r. 1921 z pomocą z zewnątrz. Głód bowiem tworzy rząd, tworzą władze i nie mogą go nie tworzyć, bo ich los zależy od ilości odebranego chłopom zboża; cokolwiekby Europa przysłała dla głodujących, wszystko dla siebie skonfiskuje rząd.

Zdawałoby się, że z położenia bez wyjścia, w jakim znalazły się Sowiety, skorzysta Europa i zniszczy sowieckie ognisko zarazy i gangreny, albo przynajmniej dopuści, aby samo zagasło. Nic z tego. Rząd sowiecki postanowił — trafne

spostrzeżenie St. Mackiewicza ¹⁾ — zgodnie z teorią Lenina o „poputczykach“ — poputczyków sobie zorganizować. Poputczykiem zaś dla Sowietów, jest ten, kto zwalcza dla jakichkolwiek względów jego wrogów, albo wykonywa pracę, która Sowietom jest w danej chwili potrzebna, po pokonaniu zaś wroga, lub wykonaniu pracy „poputczika się likwiduje“. I oto na zawołanie, na rozkaz Białostockiego żyda Finkelstein—Litwinowa, wszystkie państwa Europy i Azji, sąsiadujące z Sowietami, zawarły z niemi pakt o nieagresji, jakby nie domyślając, się, że ze stanowiska Sowietów są to pakt w całym znaczeniu słowa agresywne, mające na celu sparaliżowanie wszelkich antysowieckich zamiarów tak w Europie, jak na dalekim Wschodzie i utrwalenie potęgi i prestiżu sowieckiego. A prasa, nasza prasa? Ta za jedynym, o ile wiem, wyjątkiem „Słowa“ Wileńskiego, wpadła w szal radości, bez różnicy stronictw czy odcieni politycznych. Dla jednych pakt jest „usunięciem miecza Damoklesa, wiszącego nad Polską“, dla drugich „najpomysłniejszym zdarzeniem w Europie i Azji“, dla innych nawet „szczęściem“. Nie jestem w stanie uwierzyć, aby ludzie, co to pisali, wierzyli słowom swoim, nie wierzę też, aby pisali za pieniądze sowieckie; więc poco tak piszą? Wszak wiedzą że Sowiety są jedną wielką katorgą, w której ludzie dzielą się na dwie kategorie: katorżników i tych, co ich pilnują i katują. Przyjażniąc się z katami i oprawcami, stwarzamy atmosferę psychiczną, w której walka z propagandą ich staje bardzo trudna. Propaganda sowiecka szerzyć się będzie coraz szybciej i wraz z nią rozkład moralny coraz szersze koła zataczać będzie. Nie dość tego, znalazł się ktoś, kto napisał, że „Sowiety niosą cierpiącej ludzkości misję kulturalną“. Dostojewski nie cierpiał Polaków, gardził nimi, i, aby pogardzie swej dać dosadny wyraz, nazywał nas „Polaczyszkami“; słusznie owego błazna wysławiającego zasługi katów sowieckich dla „cierpiącej ludzkości“ Mackiewicz także „polaczyszką“ nazwał.

Dla ostatecznego przypieczętowania paktu i zamydlenia oczu głupim „Polaczkom“ przysłano z Moskwy dziennikarza, żyda z Tarnowa, Radka. Jako Tarnowianin, powinienbyłby być

¹⁾ „Z. S. S. R. zorganizował poputczików“ („Słowo“, 7 lipca 1923).

obywatelem polskim; jako obywatel polski, powinien byłby za czyny swoje pokutować w więzieniu. Tymczasem chłystka sowieckiego uroczyście witano na dworcu kolejowym w Warszawie, potem tryumfalnie obwożono po Polsce, karmiono i pojono; słyszę, że w Krakowie wydano na cześć wielkiego człowieka wielki obiad; skrętnie zapisywano każde jego słowo, szczycono się każdą pochwałą, jaką przez usta swoje wycedzić raczył. W drodze powrotnej do Moskwy zatrzymał się znowu w Warszawie; sowiecki „połpred“ wydał na jego cześć pożegnalne śniadanie; gwizdnął i na gwizd ten skwapliwie pośpieszyli ci wszyscy, na których gwizdnąć raczył. A byli między nimi ludzie z przeszłością zaszczytną, ludzie, którzy z orężem w ręku niepodległość wywalczyli. Nie chcę ich wymieniać.

Z orężem w ręku za Polskę nie walczyłem, do organizacji powstańczych nie należałem; przeciwnie, byłem ugodowcem choć innego odcienia, niż ci, co politykę ugodową robili. Ale czułem się Polakiem całą duszą, czułem godność imienia tego rozumiałem duszę narodu. I ze stanowiska tego w rozmowach moich z Rosjanami nie zszedłem nigdy, w każdym słowie mojem słyszeli odgłos całej przeszłości polskiej z chwałą wieków potęgi i większą jeszcze chwałą nadziei i cierpień w walkach o wolność. I dla tego czuli dla mnie szacunek i dobrą o mnie pamięć zachowali. Dla ugodowców nowego autoramentu uniżenie kręcących ogonami przed jakimś Radkiem czy Litwinowem panowie ci—Radek czy Litwinow—szacunku nie mają, przeciwnie mają ich w pogardzie. Tę nową postać ugodowości określiłbym, jako prostytuowanie myśli polskiej, duszy polskiej, całej naszej przeszłości dziejowej, naszego posłannictwa. Kobiety idą na prostytutki z nędzy. Czyżbyśmy także już w ostateczną nędzę materialną wpadli? Nie, ale nędza moralna jest wielka.

V.

BOLSZEWIZM

Od początku rewolucji rosyjskiej spełniam niewdzięczną rolę Kasandry i ostrzegam, gdzie i jak mogę, słowem i piórem przed grożącym ludzkości niebezpieczeństwem, największym, jakie świat dotychczas widział, i niestety, jak owa mityczna kapłanka trojańska, czynię to daremnie, bez skutku.

„*Mundus vult decipi*, świat chce, by go oszukiwano“ — pisał w r. 1924, ś. p. Leon Kozłowski, jeden z najszlachetniejszych u nas publicystów, a głęboki znawca Rosji, którego pisma wydałem w r. 1930¹⁾. „Jeszcze prorok Izajasz — cytuję słowa jego — gromił tych, którzy świadomie pragną złudzeń i fałszu, którzy mówią prorokom: mówcie nam rzeczy przyjemne, prorokujcie oszukanie“. Tak samo i napróżno prorok gromiłby nas dziś: „Gęsta zasłona utkana z nieświadomych złudzeń i celowego fałszu, z naiwnej niewiedzy i bezcelowego kłamstwa zakrywa Rosję sowiecką przed wzrokiem człowieka Zachodu“.

Sowiety korzystają z tego i z niewzruszoną, bo na mocnych podstawach opartą wiarą w zwycięstwo, szybko i umiejętnie przygotowują przyszłą ofensywę. Ale nauczone doświadczeniem z 1920 roku nie rozpoczną jej, dopóki nie będą miały pewności, że rozbrojenie psychiczne Europy stało się faktem dokonanym. Drogą do tego rozbrojenia psychicznego jest propaganda, której wszystkie nici we wszystkich krajach schodzą się w sowieckich poselstwach i agencjach handlowych

¹⁾ „Półksiężyc i gwiazda czerwona“, Wybór pism Leona Kozłowskiego, (Wilno, 1930).

i która w upatrzonych do najazdu i zdobycia państwach zręcznie wyzyskuje wszystkie czynniki niezadowolenia, wynikające z warunków zarówno społecznych jak i politycznych, z walk klasowych i z walk narodowościowych.

Obok tego pomocą dla Sowietów nie mniej ważną i ogromnie ułatwiającą im zadanie jest powszechny, zwłaszcza w większych państwach europejskich, defetyzm, którego wyraz jaskrawy mamy w tak starannie pielęgnowanych stosunkach dyplomatycznych i handlowych z Sowietami. Defetyzm ten wmówił sobie z góry, że w walce z sowiecką Rosją porażka jest nieunikniona, walka przeto jest daremna, natomiast przymilaniem się i ustępowaniem można groźne jutro odsunąć w dal bliżej nieokreślonej przyszłości. I oto jesteśmy świadkami zdumiewającej zaiste rozmowy, jakiej historia jeszcze nie słyszała. Prowadzą ją ze sobą dwaj przeciwnicy. „Dni władzy twojej i potęgi — wygłasza jeden z nich ze wspaniałą w bezczelności swojej otwartością — są policzone, przygotowuję w domu twoim rewolucję, która na dany przezemnie znak wybuchnie, dom ten zrówna z ziemią, mieszkańców jego wytepi lub ujarzmi“. — „Nie chcę temu wierzyć — odpowiada drugi z głębokim ukłonem — i nie chcę wątpić o szczerości naszej zobopólnej przyjaźni; moim celem jest jej wzmocnienie i utrwalenie“.

Od czasu do czasu jakiś dyplomata sowiecki, pokłóciwszy się ze zwierzchnikami swoimi, postanawia wyplatać im figla i podać do wiadomości niektóre szczegóły prowadzonej przez nich w danym państwie akcji destrukcyjnej. Dowiedzieliśmy się w ten sposób, że wybuch w cytadeli Warszawskiej był dziełem sowieckim, że bolszewicy planowali zamordowanie marsz. Piłsudskiego wraz z bawiącym w Warszawie marszałkiem Foch¹⁾: „Nie zmienia to naszej linii postępowania — brzmi ponowne z naszej strony oświadczenie — nie przestaniemy dążyć do wzmocnienia i utrwalenia węzłów, które nas z wami łączą“.

Nie uwierzę nigdy, aby podobna taktyka mogła prowadzić

¹⁾ G. Z. Biesiedowskij „Pamiętniki dyplomaty sowieckiego“ (przekład z rosyjskiego Poznań) por. s. 88 — 93).

do celu. Przeciwnie, słyszę triumfujący śmiech Moskwy, która wie, że im mniej u przeciwnika godności osobistej, godności narodowej, mocy przekonań, szczerości, wiary w słuszność sprawy, słowem, tego wszystkiego, co siłę moralną stanowi, tem pewniejsze i bliższe jest zwycięstwo.

Tem silniej bowiem działa siła moralna, im moralnie słabszym jest przeciwnik. Widzieliśmy to w r. 1929 na przykładzie bohaterskiej Finlandji, która umiała zadać bolszewizmowi cios, jakiego nigdy i nigdzie dotąd nie otrzymał. Twardzi, w nieustającej walce z surową naturą kraju swego zahartowani, z wolą silną i rozsądkiem zdrowym postanowili chłopci finlandzcy uratować ojczyznę od wiszącej nad nią groźby czerwonej dżumy.

Hasło wyszło z oddalonej parafji Lappo, gdzieś na północnym zachodzie; zaczęto od zniszczenia drukarni komunistycznej w najbliższym mieście Waza, poczem sprawcy tego, w liczbie 200 - tu, dobrowolnie oddali się w ręce sprawiedliwości, do sądu jednak na razie nie doszło, nie dopuściła do tego ludność miasta. Następnie w rozmaitych miejscowościach Finlandji poczęto chwytać komunistów i wywozić ich poza granice kraju; nikogo jednak przy tem nie zabito, ani nawet uszkodzono. Ruch cały zorganizował chłop z pod Lappo, Wiktor Kossola. Delegacja z 23 osób złożona udała się do Helsingforsu z żądaniem uchwalenia przez sejm podanego przez nią projektu „wzmocnionej ochrony państwa“ oraz wprowadzenia nowej ordynacji wyborczej, któraby zamknęła komunizm dostęp do sejmu.

Za delegacją, w celu poparcia jej żądań, wyruszył do stolicy ze wszystkich stron Finlandji tłumny pochód chłopski; zebrało się ich tam koło 12 tysięcy. Rząd ustąpił; stali się oni panami sytuacji, ale nie chcieli być partją polityczną; tem się różnili od faszystów, nie rościli pretensji do rządzenia państwem; byli związkiem ludzi dobrej woli, bez różnicy wiary, narodowości, czy przekonań politycznych. Na swoim postawili, straszliwego wroga powalili i spętali; Finlandja odetchnęła swobodnie. A potężne państwo Sowietów? Czy zagroziło wojną i najazdem? Nie, poprzestało na skromnym proteście.

Słowem, Finlandja dowiodła wówczas, że bolszewizm nie jest jakimś zjawiskiem organicznem, wyrazem naturalnej ewo-

lucji, której żadna moc nie powstrzyma. Bolszewizm jest wrzodem, obrzydliwym, grożącym gangreną wrzodem, ale operacja, nawet bezbolesna operacja może ten wrzód bez szczególnej trudności usunąć.

Wspaniała nauka dla Europy, dla nas. Ale kto za nią pójdzie? Kto się wzniesie ponad tępe partyjnickie zaciętrzenie? Kto się wyzwoli z tchórzostwa myśli babrzącej się w błocie małych interesów i niskich namiętności? Gdzie są te serca, co drżą zapalem przy dźwięku wyrazów: religja, kultura duchowa, piękno, dobro, ojczyzna?

W ciągu lat kilka wychodził w Warszawie miesięcznik „Walka z bolszewizmem“. Kto o nim słyszał? Takiego człowieka nie spotkałem. Pomimo to redakcja niezmiernie, z pomocą starannie zbieranych i sprawdzanych faktów, „łopata w głowę“, wbijała nielicznym czytelnikom swoim, że Sowiety doszczętnie już zniszczyły wielowiekowy nasz dorobek kulturalny na ziemiach kresowych dawnej Rzeczypospolitej, że zahamowały ekspansję kultury naszej w tym kierunku, że się związały umową militarną z Niemcami przeciw Polsce, że wspierały i organizowały wszelkie u nas roboty wywrotowe.

Czy ktokolwiek miał kiedy u nas czas do zastanowienia się nad tem? Nie; pochłaniają sprawy partyjne, kto zaś poza nie na chwile wyjrzy, to po to aby głupio się cieszyć, że stosunki z Sowiecami są na najlepszej drodze i że Sowiety są dla nas daleko pożądańszym sąsiadem, niż jakakolwiek inna Rosja, antyrewolucyjna i kulturalna, któraby po nich nastąpiła!
Quos Deus perdere vult...

VI.

ARCYBASZEW I KWESTJA ROSYJSKA W POLSCE

Michał Arcybaszew był więcej, niż znakomitym powieściopisarzem. W ostatnich latach życia swojego, spędzonych w Warszawie, był dla narodu swojego prorokiem. Jak prorocy Izraela na wygnaniu, *super flumina Babylonis*, jak prorok Jeremjasz, którego postanowił Pan „obyś wykorzenił, i psował, i wytrącał, i obalał, obyś budował i szczepił“, budził on sumienia, krzepił serca, wzywał do nieubłaganej a świętej walki, przekleństwem piętnował leniwych i małodusznych. Potęgą słowa nie dorównał mu nikt. „Mogła Arcybaszewa — powiedział jeden z jego przyjaciół — świętością jest dla emigracji rosyjskiej, ołtarzem, na którym ona składa przysięgę, że walczyć będzie dalej; i tem mogła ta jest straszna dla bolszewizmu i bolszewików“...

„Pisarzem jestem rosyjskim—zaczynał Arcybaszew w r. 1923 swój pierwszy feljeton w warszawskiej „Za swobodu“—miłującym ojczyznę swoją szczerze, prosto, miłością dziecka do matki.“ I matki tej nie opuścił on w chwili strasznego nieszczęścia, co na nią spadło; „Sądziłem, że powinnością jest pisarza rosyjskiego być z ojczyzną swoją w czasach jej ciężkiej niedoli, ażeby, gdy chwila na to przyjdzie, stanąć, jako niedoli tej wiarogodny świadek“. I pożegnał się z Rosją dopiero, gdy nieco złagodniał wicher krwawy, „nastąpiła szara jesień stopniowego rozkładania się bolszewizmu“.

W ciągu lat pięciu życia swojego pod panowaniem Sowieców czoła przed nimi nie zgiął: „Ani jednej chwili bolszewikom nie służyłem; z wyjątkiem tej pół ćwierci funta chleba, którą, według kart trzeciej kategorii, wydawano wszystkim i ka-

żdemu, nic nigdy od nich nie otrzymałem; nie starałem się o żadne „ochronne świadectwa“ (*gramoty*) i wskutek tego utraciłem całe swoje mienie; nie poddawałem się żadnym dekretem sowieckim, o ile one mnie dotyczyły, i do samego końca byłem w stosunku do nich złośliwym dezertorem zarówno wojennym jak cywilnym; nie brałem udziału w żadnych instytucjach kulturalnych, które oni tworzyli; ani jednego wiersza w żadnej *Krasnej Niwie* nie umieściłem, gdy zaś tego żądano, odpowiadałem, że dopóki wolności słowa niema, pisać dla nich nie będę; musiałem własnymi rękami na kawał chleba pracować, ale rąk tych ani razu do nich nie wyciągnąłem i — proszę mi wybaczyć tę nieprzyzwoitość — wolałem oczyszczać miejsca ustępowe w dosłownem wyrazu tego znaczeniu, niż z nimi razem pracować nawet w sprawach ochrony skarbów kultury“...

Zahartowany w cierpieniu, przeistoczony w nieustraszonego bojownika przybył do Polski: „Oderwani od ojczystego gruntu my, bezdomni nędzarze i włóczędzy, którzyśmy utracili wszystko, co do utracenia było, powinniśmy zachować nasz ostatni skarb: świętą nienawiść do katów ojczyzny naszej“.

Stwierdziwszy, po przeżyciu w Rosji najstraszniejszych lat rewolucji, że czwarta część ludności wymarła z głodu lub w torturach czrezwyczajek a resztę doprowadzono do ludożerstwa — że inteligencja została wymordowana, albo wygnana, albo głodem, więzieniem i uciskiem spodłona i zmuszona do zapredania się ciemności Rosji — przypatrzwszy się wreszcie, jak rozmyślnie i systematycznie deprawowano młodzież, wychowując ją w bezwstydzie i rozpuście, doszedł on do przekonania, że w istocie swojej bolszewizm był ohydną konspiracją przeciw narodowi rosyjskiemu w celu zabicia w nim jego duszy, jego człowieczeństwa — i walce z konspiracją postanowił odtąd wszystkie siły swoje poświęcić.

„Ja wiem — pisał — że wszystko na świecie ma swoje granice; jedno tylko granic nie ma: podłość ludzka. A jednak z przerażeniem i obrzydzeniem patrzę na tych, których traktowano jak bydło, poniżano ich i deptano, zabierano im i zamęczano najbliższych i najdroższych, własnymi oczami widzieli krew i błoto, w które bolszewicy pograżyli całą ziemię rosyjską, a teraz nawołują ofiary, aby pogodziły się z katami!... Nie

znajduję dla nich nazwy w mowie ludzkiej. — Niema i nie może być żadnej zgody z mordercami, złodziejami, katami, z tymi, co skazili duszę całemu dorastającemu pokoleniu. — I jeżeli Rosja nie może być zbawioną inaczej, jak przez zgodę z bolszewikami, to nie zasługuje ona na zbawienie; niech ginie ten duchowo zgniły naród i niech śladu po nim nie zostanie“...

A Europa? „Europa wie równie dobrze, jak ja to wiem, czym jest bolszewizm“... „niema tego głupca na świecie, któryby nie rozumiał, że rząd sowiecki niczem innym nie jest jak bandą rzezimieszków i morderców“... „Więc co mówić mamy o tych premierach i prezydentach, o monarchach, którzy w białych rękawiczkach ściskają zakrwawione łapy owych morderców i rzezimieszków“!... „Co mówić, jak osądzić przedstawicieli narodów o wysokiej kulturze, którzy urządzają wspaniałe bankiety na cześć nowoczesnych ludożerców, a zapomnieli, że chcąc należycie ich uczęstować, należałoby na owych bankietach podawać im krwawiące się bifsztyki z człowieczego mięsa“...

Młody Conradi, syn właściciela znanej w Petersburgu fabryki czekolady, zastrzelił posła sowieckiego w Szwajcarji, Worowskiego. Było to aktem zemsty, odpowiedzią na zamordowanie rodziców jego przez bolszewików. Miał się nad nim odbyć sąd w Genewie. „Belletrystą jestem z zawodu — pisał Arcybaszew — mam prawo fantazjować, ile tylko zechcę, i oto, co widzę“. Przesuwa się przed nim wstrząsający grozą obraz, który tu podaję w krótkim zarysie. Malownicza miejscina wśród błękitnych jezior szczęśliwej Szwajcarji, gmach sądu, w nim jasna, biała, czysta sala. Już ją zapełniła publiczność i reporterzy ze wszystkich stron świata. Wchodzą przysięgli; wszystko ludzie stateczni, z pośród kupców, zegarmistrzów, rzemieślników — w czarnych surdutach i wykrochmalonych koszulach, twarze poważne, powagą chwili przejęte.

Po nich weszli i zasiedli sędziowie; powstaje prezes Sądu i głosem donośnym każe wprowadzić podsądnego. Niczem podsądny ten nie wyróżnia się od nas wszystkich; ani on, ani żaden z tych, co go znali, nie przypuścił nigdy, aby mógł on kiedykolwiek zasiąść na ławie oskarżonych, jako zbrodniarz, zabójca. — „Proszę poprosić świadków“ — słyszymy znowu głos prezesa. Otworzono drzwi, ale nikt nie wchodzi. Wciska

się tylko do sali jakiś zimny mrozący prąd zgniłego powietrza; prąd ten przeistacza się w mgłę coraz gęstsza; wszyscy się duszą — publiczność, przysięgli, sędziowie; nieznośny obrzydliwy smród rozkładających się trupów. Tylko prezes panuje jeszcze nad sobą i poraz drugi powtarza: „proszę wprowadzić świadków“. I oto wreszcie wchodzi, — cisną się jeden za drugim tysiące, setki tysięcy, miliony.. Rośli mężczyźni z zakrwawionymi głowami i śladami straszliwych katuszy na ciele; widma wynędzniałych kobiet z piętnem nieskończonego bólu i wstydu na twarzach; wychudzone szkieleciki dziecięce z rozdętymi żołądkami, a oto jakieś nawpół zjedzone ciała człowiecze pełzną za nimi, krwią i ropą znacząc posadzkę. A ci oboje storturowani staruszkowie, co się z tłumu wysunęli i na rany swoje wskazują? Czy to nie rodzice podsądnego? On zadrżał na ich widok... Ach, tak strasznie, tak dziko brzmią wołania ich wszystkich, jak jęki wichrów jesiennych, wyjących po bezbrzeżnych równinach Rosji: „sprawiedliwości, sprawiedliwości“... Paniczne przerażenie nagle ogarnęło wszystkich, uciekają z sali reporterzy wszystkich gazet świata, i przysięgli, i sędziowie, ucieka w końcu sam prezes; sąd nie doszedł do skutku...

Nie odbył się w wizji pisarza, ale odbył się w rzeczywistości; Conradowo uniewinniono. Uniewinnienie to — słusznie pisał Arcybaszew — było policzkiem wymierzonym nie tylko bolszewizmowi, ale tej cywilizowanej chrześcijańskiej Europie, szukającej ideologicznego usprawiedliwienia dla bolszewickich zbrodni i wchodzącej w przyjacielskie rozmowy i układy z twórcami komunistycznego rajy, „w którym ludożerstwo stało się zjawiskiem pospolitem, ludzi karmiono zdechliną i ekskrementami, po piwnicach zaś czrezwyczajek oprawcy i „sędziowie“ z trudnością chodzić mogli, bo „podeszwy przyklejały do lepkiego błota na podłogach, tworzącego się z mieszaniny krwi i rozdeptanych mózgów ludzkich“.

„Wielkie prawo moralne — zamykał Arcybaszew rozmyślenia swoje nad procesem Conradowo — nad którym tak długo i uparcie, we krwi i we łzach pracowała ludzkość, poszło w niepamięć. Śmieją się z niego, bo to burżuazyjny przesąd, sentymentalny romantyzm“... „Ach gdyby to głos mój

mógł zabrzmieć jak dzwon na wieży wiecowy, gdybym krzykiem moim obudził mógł martwe i martwiejące dusze“!

Arcybaszew, stanąwszy na gruncie świętej nienawiści i piętnując, jako spodlenie, każde najmniejsze wobec Sowietów ustępstwo, miał na myśli emigrację rosyjską. Lecz poza emigracją mamy tu, w granicach Polski, Rosjan nie emigrantów, ale oczywiście z nimi duchowo zsolidaryzowanych, Rosjan, którzy albo się tu urodzili, albo otrzymali obywatelstwo polskie.

Staje przed nami niezmiernie dla nas doniosła kwestja rosyjska.

Rosjanie, współobywatele nasi, nie ukrywają tego, że jest im nieswojsko wśród nas, nie czują gruntu pod nogami; wydaje im się — cytuję słowa jednego z nich — jakgdyby wzburzone morze rosyjskie wyrzuciło ich na mało gościnne polskie wybrzeża, gdzie patrzą na nich z niechęcią, czyniąc ich odpowiedzialnymi za wszystko, co kiedykolwiek Polska od Rosji carskiej wycierpiała. Z narodu panującego, pewnego trwałości panowania swego i nie troszczącego się o przyszłość, stali się grupą rozbitków bez oparcia, można powiedzieć, bez jutra, zmuszonych rachować na własne tylko siły, które się wyczerpują w walce z niedostatkiem i pod ciężarem gnębiącego poczucia beznadziejności.

Położenie ich było przykre przed inwazją bolszewicką w 1920 r.; po inwazji stało się jeszcze przykrzejsze. Wszak wojna z Sowietami była wojną polsko-rosyjską.

Rosjanin — pisze utalentowany tłumacz Słowackiego na język rosyjski, D. Bochan — to znaczy człowiek przymierający z głodu, który „nie ma pracy i nie może jej znaleźć, bo nie posiada języka państwowego; nie pobiera zapomogi z funduszu dla bezrobotnych, bo jest niewłaściwego wyznania i nieprzyzwoitej narodowości“. Nie jest bowiem rzeczą przyzwoitą należeć do narodowości, której dotychczas nie chciano uznać za istniejącą; Rosjan niema — oto wspólna teza wszystkich, jakie były, rządów polskich. Nie dziw, że w wytworzonej przez to atmosferze nie każdy Rosjanin miał odwagę za Rosjanina się podawać, naprz. w pierwszych latach uniwersytetu naszego zastraszeni studenci Rosjanie, choć żadnego przymu-

su zzewnątrz nie wywierano, woleli jednak zapisywać się jako Białorusini. Dziś jest inaczej; koło studenckie narodowości rosyjskiej, którego byłem kuratorem, liczy koło 250-ciu członków.

Szczegół ten stoi w związku z powszechnem, choć powolnem wzmaganiem się świadomości i energii narodowej. Wyrazem tego jest *Zjednoczenie narodowe rosyjskie*, które się ukonstytuowało na zjeździe we Lwowie w początku lutego b. r., a za cel główny postawiło sobie wyrobienie u rządu uznania Rosjan za jedną z mniejszości, ażeby dzięki temu mieli oni możność korzystania z uprawnień, przysługujących innym mniejszościom.

Nie wątpię, że porozumienie ze Zjednoczeniem narodowym rosyjskiem, jako z elementem społecznie i politycznie umiarkowanym a kulturalnym, jest łatwe, łatwiejsze, niż z niejedną wśród innych mniejszości. Dlatego też serdecznie im życzymy, aby zostali uznani, jako mniejszość i aby spełnione zostały w granicach możliwości ich postulaty zwłaszcza w zakresie szkolnictwa.

„Ale sprawą najboleśniejszą ze wszystkich, dręczącą każdego Rosjanina w Polsce — pisze D. Bochan — jest sprawa religji“. I dla nas jest ona trudna i dręcząca. Od początku polityka nasza względem Cerkwi była najniezwyklejsza, polegała na niewolniczym naśladowaniu polityki carów w stosunku do katolicyzmu. „Nie doceniła — pisze Mackiewicz ¹⁾ — ani siły moralnej tkwiącej w Cerkwi prawosławnej, ani jej siły antybolszewickiej. Chciała jej używać jako instrumentu do białorutenizacji. Wogóle nie rozumiała, że Cerkiew nie jest panną w tańcu, że nie można nią kręcić, jej naginać do swoich celów politycznych. Stanowisko nasze wobec Cerkwi powinno być chrześcijańskie. Cieszyć się powinniśmy, jeśli się odrodzi i powstanie, bo będzie zawsze powstrzymywała napór bolszewizmu, a rozważne i spokojne układy z Cerkwią będą mogły dać nam o wiele więcej, niż przeróżne koncesje, wydawane politykom białoruskim“!

„Marjanie Edmundowiczu — mówił do mnie przed dwo-

¹⁾ „Kropki nad i“ str. 120

ma laty w Paryżu jeden z Rosjan najszlachetniejszych i dla nas najżyczliwszych, bliski i zaufany w epoce wojny współpracownik Sazonowa, ks. Grzegorz Trubecki — historia skazała nas na współzycie, powinniście więc myśleć o czasach przyszłych, o zgodzie. Zamiast tego uciskacie prawosławie, więziliście i wygnaliście biskupów naszych; jakże się więc ukształtują nasze stosunki w przyszłości“? Powiedziałem, co mogłem, na jakie - takie usprawiedliwienie polityki rządu naszego. Miał on trudny orzech do zgryzienia z biskupami z epoki carskiej, którzy z myślą o Polsce niepodległej pogodzić się nie umieli, na rządy polskie patrzali, jako na okupację, którą przetrwać należało. Nic dziwnego, że rząd chciał mieć biskupów podatniejszych. Nieprzychylnych czy podejrzanych o nieprzychylność wygnano. Społeczeństwo rosyjskie przyjęło to, jako akt gwałtu. Instalację nowych biskupów uznano za niekanoniczną. Co gorzej, niektórzy z tych nowych biskupów byli niekanonicznie wyświęceni; patrzano i patrzają na nich, jako na intruzów, z taką samą niechęcią, z jaką my patrzaliśmy w latach najgorszego ucisku Kościoła (1863 — 1882) na księży rusyfikatorów jak Żyliński, Niemeksza, Sęczykowski.

Pozatem ustanowiono autokefalję, też, zdaniem Rosjan, niekanonicznie. Kanoniczność bowiem wymaga uprzedniego zwołania Soboru, złożonego z duchownych i świeckich, zgody tego Soboru i zgody patriarchy czy metropolity, od którego miejscowa Cerkiew była przedtem zależną.

W spór ten nie wchodzę, zaznaczam tylko, że dziwnym nieco wydaje się zarzut niekanoniczności w ustach tych, którzy uznawali kanoniczność Najświętszego Synodu stworzonego przez cara Piotra i poniżanego przez niego i jego następców do roli posłusznego narzędzia carów.

Poza tem na porządku dziennym stała już sprawa ukrajinizacji Cerkwi, a za nią niezawodnie powstanie sprawa zbiałoruszczenia. Inicjatywa w rozwiązaniu należy do hierarchów. To jednak na uwadze mieć należy, że jak u nas łacina, tak w Słowiańszczyźnie obrządku wschodniego językiem liturgicznym jest język staro - bułgarski, zwany cerkiewno - słowiańskim. Cobyśmy powiedzieli, gdyby nasi katolicy poczęli żądać wyrugowania łaciny z nabożeństwa. Interesem jest i obowiąz-

kiem rządu sprzeciwiać się, o ile się da, wszelkim rewolucyjnym zamierzeniom w obrębie Cerkwi i stać w obronie tego, co uświęcone zostało wielowiekową tradycją, t. j. cerkiewnej Słowiańszczyzny.

Zbliżenia się i porozumienia z obcym żywiołem szukać można i należy na gruncie wspólnych spraw, wspólnych potrzeb i dążeń. Tą wspólną sprawą jest walka do ostatniego tchu z bolszewictwem i bolszewizmem, który groźny jest tem że ma za sobą potężną rezerwę budzących się ludów azjatyckich i służalcze sympatje rządów i narodów Europy. O to chodzi, aby zrozumiały to u nas czynniki rządzące i aby w głąb społeczeństwa rosyjskiego przeniknął głos wielkiego pisarza i wodza narodu, jakim był Arcybaszew.

W jednym z ostatnich feljetonów swoich na łożu śmierci pi-sanym wystąpił Arcybaszew przeciw „Przeglądowi Wileńskiemu“, chwalcemu jakieś agitacyjne bolszewickie filmy, kursujące już w Polsce bez przeszkody ze strony władz. Nie o „Przegląd Wileński“ chodziło autorowi, ale pochwałę w tem piśmie umieszczoną wziął on, jako zjawisko typowe, jako objaw powszechnej w Europie krótkowzroczności, która nie widzi grozy bolszewizmu, nie zdaje sobie sprawy z jego celów i metod, nie jest w stanie wmyśleć się w istotę przeżywanej chwili i pojąć, że niezbędnem przygotowaniem do urzeczywistnienia hasła rewolucji rosyjskiej: *bić burżujów i ograbiać ich z majątków (biej burżujew, grab nagrablennoje)* jest wzbudzanie w ciemnych masach nienawiści klasowej, między innymi za pomocą odpowiednich filmów

„Przegląd Wileński“ i inne pokrewne pisma w Polsce i po za Polską wytykają emigrantom rosyjskim, gromiącym dziś bolszewizm, że sympatyzowali i nieraz uczestniczyli w rozruchach rewolucyjnych r. 1905. „Ale rok 1927 w Polsce — odpowiadał Arcybaszew — nie jest rokiem 1905 w Rosji, — wówczas walczono z caratem środkami, które dziś potępiamy, lecz cel był słuszny: w Polsce zaś cara niema, Polska jest rzecząpospolitą demokratyczną, która istnieć może tylko pod warunkiem współpracy wszystkich warstw ludności, — i propaganda nienawiści klasowej, gdy wszyscy czujemy pod sobą

wrzenie podziemnych knowań komunistów, jest po prostu zbrodnią“.

Tym uwagom pisarza rosyjskiego dano w „Przeglądzie Wileńskim“ dumną odprawę, której sens był ten, że filmy mają wartość artystyczną, djabeł zaś bolszewicki nie jest wcale tak straszny, jak go malują.

Bliżsi są mi duchem, ci obcy pochodzeniem i mową obywatela i nieobywatela państwa naszego, którzy niebezpieczeństwo czują i przed niem ostrzegają, niż swoi, dla których „djabeł bolszewicki nie jest wcale tak straszny, jak go malują“.

* * *

W kilka dni po ogłoszeniu artykułu tego otrzymałem list od człowieka znakomitego, którego zdanie wysoko ceniłem. Był to Erazm Piltz, polityk zawodowy, bardzo trzeźwy, bardzo rozsądny, pod względem struktury umysłu stojący nieomal na przeciwległym do mnie biegunie. Przed wojną był powagą największą w obozie t. zw. polityki realnej; w czasie wojny reprezentował stronnictwo to w Lozannie i w Komitecie Paryskim, po wojnie był posłem w Pradze, zastępował czas jakiś w r. 1920 ministra spraw zagranicznych. Pierwszą część listu jego przytaczam w całości.

Szanowny i drogi Panie

W tej chwili przeczytałem w „Słowie“ Pański artykuł o Arcybaszewie. Jestem cały pod jego potężnym wrażeniem i urokiem i chęc, nie zwlekając ani chwili, zaraz, Panu wyrazić mój podziw i zachwyt. Porusza Pan w tem głębokiem studjum wszystkie strony rosyjskiego zagadnienia, dotyka je Pan skalpelem filozofa i rozwiązuje ręką politycznego i społecznego działacza w taki sposób, że ja, choć się nieraz z Panem w pewnych kwestjach dotyczących polityki zagranicznej, nie zgadzałem, to dziś w danej sprawie zgadzam się we wszystkich szczegółach, z głębi duszy *usque ad finem*.

Jakże tragicznym i słusznym jest sąd Pana o bolszewizmie. Co powie potomność, co powiedzą ludzie, którzy po nas przyjdą, o rządach, parlamentach i społeczeństwach, które

ubiegają się na wyścigi o możliwość obcowania, współpracy, współżycia z tymi barbarzyńcami!

Czytając artykuł pański, myślałem sobie, jakby to dobrze było, gdyby wydrukowano jakieś sto tysięcy egzemplarzy tego artykułu i rozdano, rozrzucono! Bo iluż ludzi nie zdaje sobie sprawy z całej grozy niebezpieczeństwa!

Z całą przyjaźnią
Erazm Piłts.

Warszawa 7. IV - 1927.

VII.

SOWIETY A PÓLBOLSZEWIZM POLSKI

Wybitny publicysta żydowsko-rosyjski, którego nie możemy o jakieś reakcyjne tendencje posądzać, D. Pasmanik, twierdził, że „przyjdzie czas, gdy ludzie nie będą w stanie pojąć obłudnej, małodusznej, tchórzliwej psychologii Europy dzisiejszej w stosunku do Sowietów“. Pisząc to, jakby przewidywał niektóre psychologii tej objawy, mające się ujawnić niebawem w Polsce pod wrażeniem zabójstwa Wojkowa, posła sowieckiego.

Tego właśnie dnia wyjeżdżałem z Wilna do Warszawy i Krakowa. W chwili, gdy już do dorożki wsiadać miałem, staje przedemną delegacja związku studentów Rosjan, którego byłem kuratorem, z wiadomością o areszcie ich prezesa i prośbą, bym się sprawą jego i losem w miarę możliwości mojej zajął. Wyznaję, że na razie wiadomość ta mnie skonsternowała; w naiwności mego niedoświadczenia nie przypuszczałem, ażeby wolno było kogoś bez poważnych poszlak aresztować, aresztowanego zaś znałem od kilku lat, jako młodzieńca zdolnego, a rozmówianego w literaturze i sztuce scenicznej, i nie byłem w stanie wyobrazić go wplątanego w jakąkolwiek awanturę polityczną. Po chwili, w wagonie dowiedziałem się, że aresztowano w Wilnie koło 30-tu Rosjan, przeważnie ludzi zajmujących wybitne stanowiska w społeczeństwie rosyjskim, między innymi staruszka generała, którego ściągnięto ze wsi pod Wilnem; także same areszty miały się odbyć w innych miastach. Opowiadając to, mój znajomy nie ukrywał, choć z zawodu prawnik, a może właśnie jako prawnik, zdziwienia swojego. Jechało z nami dwóch wybitnych znanych w nauce Francuzów turystów; ci byli bardziej jeszcze zdziwieni. Ktoś z obec-

nych wyraził zdanie, że władze musiały ze względu na osobę zabitego wyraźnie zaznaczyć swoje oburzenie, że to było powodem aresztów, na które patrzeć należy, jako na akt grzeczności wobec Sowietów; akt ten został spełniony — i aresztowani będą niezwłocznie zwolnieni. Na to jeden z Francuzów odpowiedział słuszną uwagą, że ponieważ Polska chce uważać Sowiety za mocarstwo zaprzyjaźnione i chce im dać dowód przyjaźni oraz chęci utrzymania z nimi nadal serdecznego stosunku, to właśnie dlatego zbytnia w tym wypadku gorliwość raczej jej zaszkodzi, nasuwając rządowi sowieckiemu niepochlebne dla niej podejrzenia...

Przyjeżdżam do Warszawy. Wpada mi do rąk wstępny artykuł w „Kurjerze Warszawskim“. Dziennik ten poczytują powszechnie za wyraz przeciętnej opinii stołecznego miasta; tem przykrzej razi ów artykuł, w którym nie ja jeden, ale i wielu innych upatruje zachętę do represyj względem Rosjan zamieszkałych w Polsce. Podobny też jest ton większości prasy. Wszystkich prześciga „Robotnik“, który dla przypodobania się Sowietom radby wyrzucić z Polski wszystkich Rosjan nie bolszewików. Tem przyjemniej na tem nieprzyjemnem tle odbijają wstępne artykuły wileńskiego „Słowa“ i krakowskiego „Czasu“.

Niestety, artykuły „Słowa“ i „Czasu“ miną niedostrzeżone, świat zaś wiedzieć będzie o tłumnych manifestacjach ludności warszawskiej, o jej udziale w pochodzie żałobnym i, oczywiście, weźmie to za hołd składany „zaprzyjaźnionemu mocarstwu“.

I jakby w odpowiedzi na głębokie ukłony i korną uniżoność naszej półbolszewji przychodzi wiadomość o zamordowaniu w Moskwie, z rozkazu rządu sowieckiego, 20-u Rosjan podejrzanych o monarchistyczne sympatje — w tej liczbie byłego prezesa Dumy, ks. Pawła Dołgorukowa.

Znałem go. Był to „wielmoża“, dla którego właściwem stanowiskiem w państwie konstytucyjnem nie z imienia tylko, lecz z ducha, byłoby stać na czele „opozycji Jego Ces. Mości“. Właściciel rozległych dóbr i wspaniałego pałacu w Moskwie, spraszał do niego w epoce pierwszej rewolucji (1905 — 6) nas, delegatów na kongresy ziemstw i miast; żywo pamiętam jedno takie zebranie, na którem publicysta angielski, Stead, występował z krytyką metod działania opozycjonistów rosyjskich

I wysłuchiwać musiał gniewliwe, nieraz namiętne odpowiedzi przyszłych posłów do Dumy. Przed dwoma laty spotkałem księcia u Al. Lednickiego w Warszawie. Nic w nim z dawnego magnata nie zostało: ubogo ubrany, fizycznie podupadły, moralnie znękany starzec. Żarła go tęsknota za krajem — i wkrótce podążył tam, nie łudząc siebie nadzieją, że zdoła się ukryć i uniknąć męczeńskiej śmierci. Cześć jego pamięci.

Zastanówmy się, jakie uczucia mogą budzić w duszach Rosjan — tak emigrantów, jak i obywateli państwa naszego — wiadomości o tych masowych mordach, o tej nowej fali czerwonego terroru. Chciałbym, ażeby w rękę każdego Polaka znalazła się ostatnia książka zmarłego niedawno Arcybaszewa („Czeremucha“, 1927); niechby tylko choć rzucił okiem na te stronicie kreślone w natchnieniu potężnego gniewu, wstrząsającego głębokością bólu...

Niedawno, usłyszano w Paryżu publicznie z ust ambasadora Ameryki Półn. słowa, jakich dotychczas nie wygłosił nigdy żaden dyplomata o obcym mocarstwie. Mówił on o „biczu ludzkości“ i o „wściekłych psach“, których dla dobra ogólnego trzymać należy na uwięzi. Przedstawicielem tych „wściekłych psów“, szarpiących Rosję, był „nieodżałowany“, jak go dwukrotnie w oświadczeniach urzędowych nazwano, dygnitarz sowiecki w Warszawie. W r. 1918 był on wmieszany w najohydniejszą sprawę zbiorowego morderstwa dokonanego na osobach cara i całej jego rodziny.

„Niema i nie może być — pisał Arcybaszew we wspomnianej książce — dla uczucia dumy narodowej udręki większej nad tę, że Rosja stała się pastwą międzynarodowej „swoloczy“ złożonej z łajdaków w przeważnej części obcych jej pochodzeniem i mową“; świadomość tej hańby i tego nieszczęścia pogrążyła w obłędzie rozpaczy egzaltowanego młodzieńca i popchnęła go do zbrodni. Pamiętajmy, że w analogicznej sprawie zabójstwa Worowskiego sąd przysięgłych, złożony z solidnych przedstawicieli najsolidniejszego na świecie społeczeństwa szwajcarskiego, uniewinnił zabójcę.

Dyrektor jednego z gimnazjów rosyjskich w Czechach zadał uczniom, jako temat do wypracowania: „wspomnienia z roku 1917“. Wynik był tak niespodziewany, że powtórzono

temat ten w innych szkołach i w ten sposób zebrano koło 2000 dziecięcych dokumentów, których część ogłoszono drukiem. W porównaniu z temi wynurzeniami, pisanymi niedo-
łężnym dziecięcym stylem, błędną, zdaniem Arcybaszewa, wszystkie książki, jakie dotychczas wyszły, o czerwonym terrorze. „Ja się bardzo przestraszyłem—opowiada jeden z owych chłopaków—gdy przyszli bolszewicy i poczęli grabić, a potem chwycili mego dziadka, przywiązali do stołu, poczęli męczyć, wrywali paznogie, wykręcali ręce i nogi, a potem wrywali brwi, kłuli w oczy i ja okropnie żałowałem dziadka i nie mogłem patrzeć“. — „Czytelniku — zapytuje Arcybaszew, przytoczywszy ustęp ten — jeśli jesteś człowiekiem żywym, nie zaś chodzącą książką, to wyobraź sobie, że chłopak ten wyrósł i wrócił do Rosji i że, przypadkiem, spotkał tam i poznał jednego z owych bolszewików, co zamęczyli jego dziadka. Co robi on wówczas? przebaczy mu, czy zabije na miejscu? Jeśliby miał przebaczyć, to niech lepiej nie wraca nigdy do ojczyzny—on nie jest godzien ojczyzny i nie jest godzien imienia człowieka“.

Bolszewizm otwarcie uznał moralność za „przesąd burżuazyjny“. „Jeśli tak, to mogę ich tylko — mówi dalej Arcybaszew—uważać za szkodliwe zwierzęta, które należy wytępić; sądzić ich ze stanowiska prawa moralnego nie mogę tak samo, jak nie mogę na stanowisku moralnym stawać wobec tygrysa lub żmii“. A jednak są tacy, co gadają o zgodzie z bolszewikami, ale ja na to mówię, że „wolę umrzeć na wygnaniu, wolę, ażeby Rosja jeszcze szereg lat cierpiała, wolę nawet, aby zginęła ostatecznie, niż żeby szukać miała zgody ze swoimi kaptami i oprawcami“. ...„Drogą mi jest Rosja i niezbędną dla szczęścia mojego, lecz właśnie tylko Rosja, nie zaś—wybaczenie mi to wyrażenie — międzynarodowy dom publiczny, który oni z niej zrobili, i jeśli ojczyzna moja ma pozostać nadal tym sympatycznym zakładem, to nie chcę jej“...

Coraz częściej daje się dziś słyszeć wśród emigracji zdanie, że choć bolszewicy są straszni nawewnątrz, za to bronią honoru Rosji nazewnątrz, prowadząc dalej politykę carów. Takim ma być też pogląd Miljukowa. „Otóż twierdzą z całą stanowczością—wołał na to oburzony Arcybaszew — że nawet

w czasie ofensywy Polaków, których nikt z nas nie posądzał o bezinteresowną chęć oswobodzenia Rosji, w ogromnej większości narodu rosyjskiego górowało jedno uczucie, tłumiące wszystkie inne: — obawa, że Polacy do Moskwy nie dojdą“. Czy to był brak patriotyzmu? Nie, nie chodziło tu bowiem o wybór między cudzoziemcami a władzą swoją, rosyjską; chodziło wówczas, tak samo jak dziś „o wybór między cudzoziemcami a trzecią Międzynarodówką“.

Żadna bowiem obca interwencja nie przyniosłaby Rosji tyle szkody, co panowanie zgrai międzynarodowych szubrawców, którzy za cel sobie postawili zbestjalizować Rosję, zadziwić świat rozpustą, jakiej świat nie widział, zrywając wszystkie więzy — i w tym celu „hodowali czerwone zwierzątka, w których tłumili wszystkie ludzkie uczucia z wyjątkiem żądy używania — i których nie nauczyli innego rzemiosła, jak ograbić i zabijać“. Dziś zaś przerażeni owocami własnego dzieła, bezlitośnie tę młodzież sami wytępiają, innego środka nie znajdując.

Wszystkich wytępić nie zdołają. Boże, jakże wyglądać będzie przyszła Rosja, to dorastające pokolenie, które „nigdy nie słyszało o uczciwej pracy, o poszanowaniu własności, o honorze, o czci dla kobiety“, — któremu wmawiano, że „religia, poezja, piękno, miłość to opjum wymyślone przez przeklętych burżujów dla tumanienia robotników“.

Wobec tego „wszelka władza lepszą jest od władzy bolszewickiej“, oto *motto*, do którego nieustannie wracał Arcybaszew: z cudzoziemcami „choćby siedli nam na karku“ Rosja da sobie radę, jak nieraz już dawała; od bolszewizmu zaś zgnije.

Chciałem przytoczyć te ustępy z pism wielkiego pisarza, jako przyczynek do psychologii społeczeństwa rosyjskiego, którą trzeba mieć na uwadze, zwłaszcza w chwili obecnej, ażeby się uchronić od lekkomyślnych o społeczeństwie tem sądów i od tego „błahonadieżnego“ tonu „Warszawskich Kurjerów“ i „Robotników“, który rozzuchwała międzynarodową „swołocz“, czego dowodem była wówczas bezczelna nota Litwinowa.

VIII.

POLSKA A PRZYSZŁA ROSJA

Przed kilku dniami spotkałem na dworcu kolejowym znajomego Rosjanina. Poczuliśmy mówić o sprawie zamordowanego w poselstwie sowieckim obywatela polskiego, Trajkowicza. Był bardzo zgnębiony. „Jakikolwiek będzie wynik śledztwa,— powiedział — wszystko jedno, całą winę zwałą na nas Rosjan, zarówno emigrantów, jak i obywateli polskich, będziemy kozłami ofiarnymi“.

Miał słuszność. Rosjanie nie mają na kim u nas się oprzeć. I nacjonalistyczna tak zwana prawica i czerwona lewica są w stosunku do nich w zupełnej ze sobą zgodzie. Z odmiennych tylko wychodzą stanowisk. Pierwsi kierują się pierwotnym instynktem dzikości: „dawniej oni nas, teraz my ich“; drudzy radziby wypędzić z Polski wszystkich Rosjan nieboleszewików, ponieważ obecność ich przeszkadza serdecznemu sojuszowi z Sowietami przeciw ciemnym potęgom „reakcji“. Słowem, Rosjanie są to ludzie, których należy się pozbyć w jakikolwiek sposób.

Władze sowieckie postanowiły przyjąć z pomocą swoim sympatykom w Polsce. Dowód tego widzę w artykule, który się pojawił w oficjalnym organie Sowietów „Izwestja“ w dniu 14 września, więc natychmiast po zamordowaniu Trajkowicza. Artykuł ten jest cennym zeznaniem, które sędzia śledczy powinienby wziąć pod uwagę. Zaczyna się od pochwał pod adresem „Robotnika“, który „witając likwidację sowiecko - polskiego konfliktu uroczyście obwieścił rozbicie planów reakcji europejskiej“. Niestety, zdaniem Izwestij, słowa „Robotnika“ są tylko wyrazem nastroju, od którego daleko jeszcze do czynu.

Środki bowiem przedsięwzięte przez rząd polski przeciw „osobom i organizacjom, uprawiającym polityczną i kontrrewolucyjną działalność“, nietylko okazały się niedostatecznymi, ale pobudzały „białogwardzistów“ do „kontrkroków“ i do nowej niebezpiecznej czynności, czego dowodem zamach w poselstwie sowieckim. „Opinia społeczna ZSSR oburzona nowym przestępstwem oczekuje od rządu polskiego dowodów, że głoszone przez rząd Polski zamiary uregulowania polsko-sowieckich stosunków oraz wprowadzenia w życie zadeklarowanej (*sic*) linii politycznej nie są chwilowym tylko nastrojem lub posunięciem taktycznym“. Z czynu Trajkowicza powinna Polska umieć wyciągnąć niezbędne konsekwencje (*„nado umiet, sdielat' iz wsiego etogo nieobchodimyje wywody“*).

Co znaczą te słowa? Chyba to jedno, że rząd sowiecki potrzebował nowego zamachu, ażeby zmusić rząd Polski „do wyciągnięcia niezbędnych konsekwencji“ t. j. do ostatecznego i całkowitego poddania się rozkazom Sowietów w sprawie stosunku do Rosjan, w granicach państwa Polskiego przebywających. W tym celu wciągnięto w zasadzkę nieszczęśliwego Trajkowicza i zamordowano.

Jest to jasne. Nawet tak ostrożny i powściągliwy „Czas“ przed przypuszczeniem podobnym się nie cofnął. „Takich samosądów — czytamy tam (Nr. 204) — na ziemi polskiej i na poddanych polskich państwo nasze znieść nie może“... „nie wolno na to patrzeć w milczeniu“... nie wolno zapominać, że „poselstwo sowieckie w Warszawie, jak wszędzie, jak w Londynie, w Paryżu, w Berlinie, w Wiedniu, w Pekinie, jest ogniskiem propagandy i szpiegostwa; wszelkie nici szpiegostwa tam prowadzą“.

Nie wolno — dodałbym do tego — zapominać także o tem, że Sowiety są wielką organizacją bandycką, która sama postawiła sobie po za obrębem prawa moralnego, ogłaszając moralność za przesąd burżuazyjny. Nie wolno przeto w rozmowach czy układach z Sowietami stosować do nich tę samą miarę, jaką stosujemy do innych państw. „Mam prawo tych panów — powiedział Arcybaszew — uważać za dzikie zwierzęta, które należy wytępić, ale czynów ich sądzić ze stano-

wiska prawa moralnego nie mogę, jak nie mogę ze stanowiska tego sądzić tygrysa lub żmiję“.

„Wszystko na świecie — słowa tegoż pisarza — ma granice swoje: jedno granic nie ma — podłość człowieka“. Podłość ta jest podstawą potęgi Sowietów. Rosję okrucieństwem doprowadzili do upodlenia; podłość Europy hipnotyzują siłą pozorną czy rzeczywistą. Raz po raz wychodzą teraz książki, będące wyrazem subtelnie przykrytej, lecz tem niebezpieczniejszej propagandy na rzecz Sowietów. Gdyby ktoś wróciwszy z Moskwy, począł pisywać dytyramby na cześć sowieckiego raju, słuchanoby go z niedowierzaniem, gdy jednak pisarz znany i poważny, ubrawszy się w obiektywizm naukowy, pozwala sobie na krytykę niektórych zarządzeń sowieckich i nawet wyraża sympatię niektórym ich przeciwnikom, ale przytem wysławia kierowników sowieckiej Rosji, jako elitę nadludzi, którzy porwali się do stworzenia dzieła wielkiego i próba ich jest pod niejednym względem wspaniale udana — pisarz taki z pewnością niejednego w walce z bolszewizmem zachwieje i niejednego przysporzy Sowietom wyznawcę. Sądzę, że nie bez udziału rządu sowieckiego wydane zostało ozdobne, bogato ilustrowane dzieło Fülöp Millera „Geschichte und Gesicht des Bolschevismus“. To samo bym powiedział o studjach G. Duhamel'a, które wychodzą w „Nouvelles Littéraires“. Na lep takich publikacyj idą tacy nawet jak Romain Rolland, Selma Lagerlöf, Hauptmann. Wytwarza się atmosfera, pod której działaniem Towarzystwa literackie w Warszawie, zapominając o przyzwoitości moralnej, wydają uczyty na cześć oficjalnego poety Sowietów, Majakowskiego. Jeśli się nie mylę, honorowano również w Warszawie towarzyszkę Sejfulin...

Ale podłość ludzka jest podstawą kruchą dla rządów — i przy całym moim pesymizmie nie wierzę w długowieczność Sowietów. Co potem? Sowdepja będzie znowu Rosją. Ci, których teraz dla dogodzenia Sowietom wyganiamy, wrócą do ojczyzny. Więc czy leży to w naszym interesie doprowadzać do ostatecznego kresu nienawiść Rosji do nas? Złudzeń nie mam. Wiem, że choćbyśmy najzyczliwiej traktowali Rosjan w Polsce, wrogami naszymi pozostaną. Jest to w naturze rzeczy; nie są w stanie zapomnieć, że byli w państwie naszym

panami. Niedawno gen. Denikin wypowiedział to, o czym się nie mówi, a co tkwi w głębi duszy wielu, wielu Rosjan—mianowicie wiara, że Chełmszczyzna, że Lwów należeć będą do Rosji. Zapomniał wymienić Wilno i Grodno, ale wiemy, że traktat Ryski, który my wyrzucamy jego twórcom, jako haniebny błąd, emigracja rosyjska nam poczytuje za zbrodnię: jakie mieliśmy prawo do nieoddania bolszewikom Wilna, Grodna, Brześcia, Łucka... O ile mogę sądzić, nieliczni są ci Rosjanie, którzy, jak zmarły Arcybaszew, widzą w III Międzynarodówce, w bolszewizmie najstraszniejszego wroga Rosji i z dwojga złego — bolszewizm czy obca interwencja — bez wahania zgodziliby się na interwencję, choćby to pociągnąć miało wielkie ofiary.

Niemniej jednak interes każe nam liczyć się z Rosjanami, z przyszłą Rosją. Ale poza interesem są względy moralne. Czy mamy prawo wyrzekać się i tłumić w sobie wrodzone każdemu, kto ma serce i duszę, współczucie z cierpiącymi? Dlaczego Arcybaszew po pięciu latach męczarni pod władzą sowiecką opuścił ojczyznę? Bo z Rosji — mówił — uleciał duch Rosji. Rosję przeistoczono w SSSR., w Sowdepję. Rosja stała się krajem, w którym ludzie uczciwi siedzą w więzieniu, złodzieje i bandyci gospodarzą, zawodowi niszczyciele — rewolucjoniści niby budują nowe życie, a wszystkim rządzi międzynarodna ja swołocz, która za cel sobie wytknęła duchowo zabić Rosję: „Tęsknię za ojczyzną, ale tęsknię za Rosją, nie za SSSR.“

Jak niegdyś emigracja nasza, tak dziś emigracja rosyjska opuściła ziemię rodzinną, aby przed światem protestować przeciw bezprawiu i zbrodni. Powinniśmy te jej uczucia uszanować, tak jak w Anglii, we Włoszech, we Francji szanowano uczucia nasze pomimo, iż nieraz dotkliwym byliśmy ciężarem dla Francji, zwłaszcza ze względu na jej stosunki z carem Mikołajem i na jej wewnętrzne walki partyjne, do których niejednokrotnie wtrącały się lewicowe grupy emigracyjne.

Wreszcie uczucie godności narodowej i państwowej nie powinno pozwolić, abyśmy dobrowolnie schodzili do poziomu jakiejś agentury sowieckiej, wyłapującej niemiłe im osoby.

(„Słowo“ 18. IX - 1927 r.).

IX.

„TREPIET MAŁAGO PIERED BOLSZIM“

Rozumienie wymagań postępu skojarzone z przywiązaniem do piękna przeszłości warunkiem jest życia i zdrowia w każdym społeczeństwie.

Piękno przeszłości nazywamy tradycją. Przeciw tradycji usiłowano nastawić politykę Polski niepodległej, tem samym pozbawiano ją siły moralnej, której nie zastąpią ani reformy rolne i progresje podatków, ani pogróżki w stronę Niemiec, ani ukłony niskie przed Sowietami, ani krzykactwo partyjnickie, czy tak zwane sanacyjne.

W atmosferze tej jałowiejają umysły i dusze, zwłaszcza dusze młode. Konkretnym tradycji wyrazem są imiona wielkich duchów, wodzów narodu. Zwykliśmy je łączyć z ideą posłannictwa narodowego. Niestety, wprowadza ona łatwo na manowce szowinizmu, nie możemy jej jednak pomijać milczeniem, gdy ją, jak właśnie u nas, narzucają i nakazują warunki geograficzne i historyczne. Rację bytu Polski w oczach świata stanowiło od zarania jej dziejów to, że przedmurzem była Chrześcijaństwa. Staliśmy na straży Europy przeciw Tatarom, Turkom, potem przeciw Rosji carów — i dziś, aby w zgodzie być z przeszłością i sumieniem, powinniśmy stanąć przeciw bolszewictwu.

Straszliwymi bywały najazdy Tatarów i Turków, ale gdy najechany kraj zdobyli, poprzestawali na ściąganiu nałożonych na ludność kontrybucyj, nie wtrącając się w rzeczy wiary, narodowości, obyczajów.

Groźniejszą była Rosja carska, która nas zniszczyć usiłowała i materialnie i moralnie, ale w realizowaniu zamiarów

swoich musiała okazywać pewną powściągliwość, jako państwo, zaliczające siebie do grona państw europejskich z cywilizacją chrześcijańską. Bolszewizm zaś jest w grozie i obrzydliwości swojej zjawiskiem jedynym w dziejach. Jest nieustającą apelacją, jak słusznie powiedziano, do instynktów krwiożerczych w człowieku, albowiem instynkty te są niezrównanymi sprzymierzeńcami w burzeniu istniejącego porządku, w imię jakiegoś komunistycznego raju, w którym wszyscy będą szczęśliwi, którego jednak nigdy nie było i nikt go nigdy nie zobaczy.

Pomyślany według wzorów, jakie dają mrówki, czy termity, raj ten byłby katogą dla duszy, która się wyrwa z ciasnoty doczesnego bytu, poi się nieskończonością i tęskniącym okiem sięga w niebo.

Więc duszę tę zabić, zbestjalizować człowieka, przeistoczyć go w rozjuszone zwierzę, gdy zaś rozjuszone zwierzę dokona dzieła zniszczenia, wówczas nałożyć na nie jarzmo, umiejętnie przerobić tygrysa w pokorne bydło, jakim powinien być obywatel przyszłej komunistycznej katorgi, w tępem apatycznym zropaczeniu odbywający godziny przymusowej pracy pod biczem dozorczy — oto jest cel, który sobie postawili władcy dzisiejszej Rosji.

Ale kto sobie z tego zdaje sprawę, kto o tem myśli?

Sucha, książkowo logiczna koncepcja, wylęgła w mózgu żyda Marxa i kilku jego współplemieńców, koncepcja w swoim materialistycznym simplizmie łatwo trafiająca do głowy każdego malkontenta, ogarnęła prostolinijne umysły rewolucjonistów rosyjskich i okazała się doskonałym młotem, rozwalającym potężne mury caratu.

W przyzwyczajenie zaś nasze weszło, stało się niemal odruchem, każdy nowy typ ustroju społecznego poczytywać za postęp. Więc bolszewizm ostatniem jest słowem postępu, komunistyczna katorga najwyższym wytworem myśli demokratycznej. W zestawieniu z demokracją bolszewicką wszystkie inne demokracje, nawet gdy grożą rewolucją, są tylko dziecinny **szczebiotem**. Stąd to ich onieśmienie, upokarzające poczucie własnej słabości, ten podły strach, gdy stanie przed niemi i na nie huknie prawdziwy, całą gębą bolszewik. Nie widzą tego, że bolszewizm wcale nie jest jakąś skrajną demo-

kratyczną lewicą. Jest czemś zupełnie innem i równie dobrze mógłby nazwany być skrajną prawicą, bo w państwie Sowietów, tym pierwowzorze przyszłej wszechświatowej katorgi, komisarze ludowi i kierownicy czrezwyczajek panami są życia, śmierci i sumienia swoich podwładnych.

Trepieć małego przed większym — słyszę jeszcze teraz te słowa, tę intonację, z jaką wymawiane były przez profesora filozofji Władisławlewa. Tak określał on w wykładach o psychologii uczucie nieśmiałości. Słuchałem go, będąc studentem uniwersytetu w Petersburgu. *Trepieć małego przed większym*, drżenie małości przed czemś bardzo wielkiem, czyż nie określa to także demokratycznej Polski i jej przedstawicieli w każdym zetknięciu się z każdym łotrem czy bandytą, skoro tylko występuje w charakterze delegata Sowietów? Tak było w Rydze, tak też w Warszawie po zabójstwie Wojkowa. Polska demokratyczna małość drży przed pańską butą i wielkością tych, co z Moskwy urągają światu cynizmem kaprysów swoich, bezczelnością roszczeń.

Zadrzał jeden ze znakomitych publicystów naszych, a obserwator niespospolicie bystry, Konstanty Srokowski. Był w Moskwie i wróciwszy, dał nam swoją filozofję bolszewizmu, też *trepieć małego przed większym*¹⁾. Jest to apoteoza, jakiej nie spotkałem ani w Polsce, ani poza Polską, bo ją pisał nie tępy doktryner, ani świeżo nawrócony na bolszewizm fanatyk, lecz człowiek z umysłem krytycznym i silnym.

Mali ludzie — naucza on nas — wielkich rzeczy nie robią „przykładu zaś równie wielkiego, jak bolszewizm, zbiorowego zuchwalstwa intelektualnego i moralnego nie znają dzieje“, bolszewizm przeto jest rzeczą wielką i wodzowie jego „należą do klasy conquistatorów, condotierów, wielkich awanturników i odkrywców“; w porównaniu z nimi założyciele najpotężniejszych religij i najśmielsi reformatorzy socjalni i polityczni wydają się skromnymi i bojaźliwymi... „zapatrzeni w idealne cele, pochłonięci przez nie bez reszty i poświęceni im bez zastrzeżeń“, wodzowie bolszewizmu „trzymają w wę-

¹⁾ K. Srokowski, „Elita bolszewicka. Studjum socjologiczne“ Kraków, 1927.

dzidłach zaprężone do rydwanu rewolucji apokaliptyczne rumaki i kierują nimi“. „Rosja jest posłusznym narzędziem“ i uczucie, jakie mają dla niej „jest miłością proroków dla narodu, który ich pierwszy usłuchał“ (!). Trafnie dostrzegł autor, że ów nieubłagany krytycyzm, owa „ściska naukowość“ w myśleniu, z której się chępią, idzie w parze z trudnym do uwierzenia iluzjonizmem. Ale nie jest to słabością; przeciwnie iluzjonizm ten, według autora, jest siłą, płynie z wiary „potężnej, niezłomnej, fanatycznej“, wiara ta jest dla nich „obfitym, ciągle bijącym źródłem siły moralnej“, bo czyżby inaczej wzięli na siebie „całe niewysłowione brzemie odpowiedzialności za strumienie krwi i za bezmiar nieszczęścia ludzkiego“, którego byli bezpośrednimi sprawcami.

W tej ich wierze, „w zaciekłości i okrucieństwie walki, jaką prowadzą nie z taką czy inną organizacją religijną, ale z religią i uczuciem religijnym mas ludzkich w ogólności“ — tkwi zowiązek nowej religii, nowego kultu. Leży to w porządku rzeczy. Komunistyczny raj okazał się iluzją i rewolucja przeistoczyć się musi w długotrwałą ewolucję. Im ewolucja powolniejszą i żmudniejszą będzie, tem natarczywiej pocznie się objawiać potrzeba kompensaty w świecie wartości metafizycznych — i te elementy „narodzin nowej religii“, których dopatrył się autor, stanowią, zdaniem jego „najbardziej istotną i płodną w najdonioślejsze konsekwencje cechę umysłowości bolszewickiej“. Te słowa Srokowskiego dają dowód, jak wszechstronnie objął i jak głęboko umiał wniknąć w istotę bolszewizmu, w warunki jego otoczenia i rozwoju.

Party koniecznością wewnętrzną i potrzebą wzmocnienia swej władzy nad masami, bolszewizm pójdzie w kierunku stworzenia nowego związku religijnego. Ale kto bogiem jego będzie, skoro samą ideę Boga usiłuje bolszewizm w fanatycznym szale wyplenić z serc i umysłów?

„Nazwijmy go — brzmi odpowiedź — bogiem negatywnym“. Określenie genialne, trafiające w samo sedno rzeczy. Ale, słysząc to, czujemy mrowie na skórze — i zdaje się, autor sam nie zastanowił się nad doniosłością tego, co powiedział.

Nie oglądał Boga żaden żywy człowiek, ale do idei Boga wznosiły się najwyższe umysły w najwyższych chwilach swego

życia i niezmiennie ją łączyły z ideami Prawdy, Dobra, Piękna, które, pomimo różnic w odcieniach ujmowania ich, jednaką cześć i entuzjazm budzą w każdym sercu szlachetnym, bóg zaś „negatywny“ byłby negacją Prawdy, Dobra, Piękna; czyli bóg ten jest kłamstwem, przeczącem prawdzie Bytu i Boga, a uznanem, jako Prawda i Byt; jest Złem t. j. zbrodnią i grzechem, wysławianym, jako Dobro; jest Brzydota uwielbianą, jako Piękno. Słowem jest to *Umwertung aller Werte*, przewartościanie wszystkich wartości, które samego twórcę pojęcia tego, Fryderyka Nietzsche, przejęłoby grozą i które wszystkie wielkie filozofje świata jednako w obrazie pokłóconego z Bogiem Ducha ciemności, Szatana, Djabła przedstawiają, choć rozmaicie pochodzenie, powstanie i moc Ciemności tej rozumiana bywa. Wobec tego uznać musimy, że bolszewizm jest, a w każdym razie chce być ze świadomością większą lub mniejszą, bezpośrednim porodem Ciemności, bezpośrednim, dotychczas w historii niewidzianem wtrąceniem się potęg Piekła w sprawy tego świata; wodzowie bolszewizmu, ta według Srokowskiego, elita nadludzi, którą zbliżka, ich znający Arcybaszew określał, jako „międzynarodową swołocz“, są opętanymi przez owe czarne moce ich sługami, a religja, ku której bolszewizm zmierza, będzie, raczej już jest kultem djabła w krwawej osobie Lenina.

Przed trupem Lenina, wystawionym w Moskwie na katafalku na widok publiczny przesunęło się w ciągu 48 godzin przeszło 600.000 ludzi, którzy ustawieni w szeregi na kolej swoją wyczekiwać musieli długie godziny przy 35 stopniach styczniowego mrozu. Czy się domyślał zaciekły wróg wszelkiej metafizyki, wszelkiego podobieństwa metafizyki, jakim był Lenin, że trup jego podstawą będzie, na której się wzniesie nowa metafizyka, nowy kult religijny.

Chrześcijaństwo uwielbiło Ukrzyżowanego, jako wcielone Słowo, jako Zbawiciela Świata. Zbawicielem świata w rodzącej się przyszłej religji staje się ten, który sam krzyżował, mordował, torturował setki tysięcy, miliony żywych istot ludzkich dla dogodzenia krwawej fantazji, lubującej się obrazem proletarjackiego zbiorowiska ludzkiego, które pozbawione wszelkiej myśli wyższej, posłuszne tylko brzuchowi, w pocie czoła

pokornie dźwigać będzie jarzmo pracy, a owoce jej zjadać będą panowie ich i kaci, przybrani w tytuły i godności komisarzy panującego „dyktatorskiego“ proletariatu.

I tym katom i oprawcom, najpodlejszym jakich świat widział, Polska składała hołd w dniu obchodu dziesięciolecia czczwyczajek!

X.

O HONOR W POLSCE

(List do redaktora „Herolda“ Ludgarda hr. Grocholskiego).

Kochany Ludgardzie!

Wezwałeś mię, bym podniósł głos protestu przeciw zapraszaniu sumienia polskiego i przemówił z trybuny „Herolda“, jako pisma przeznaczonego dla tych, „którzy przed wszystkimi innymi w Polsce powinni być czuli na sprawy sumienia i honoru“. Kwestja zaś naszego stosunku do Sowietów jest kwestją honoru. Na wezwanie takie głuchym być nie mogę, nie mam prawa.

W czerwcu roku zeszłego miałem zaszczyt reprezentowania Polskiej Akademji Umiejętności oraz Uniwersytetu Stefana Batorego na uroczystym obchodzie 400-lecia Collège de France. Jechałem z uczuciem niepokoju; co będzie — myślałem — jeśli tam spotkam delegatów sowieckich; wszak nie zasląde do wspólnego stołu z wysłannikami morderców i łotrów, którym, chcąc ich uczęstować, należałoby podawać, jak wyraził się niegdyś Arcybaszew, „krwawiące się bifsztyki z człowieczego mięsa“; gdybym zaś usiadł, musiałbym zaprotestować przeciw obecności ich i tem samem naruszyć harmonję uroczystości. W Paryżu uspokoił mię prof. Mazon zapewnieniem, że Rosji sowieckiej nie zaproszono. Ale z tego powodu nie zaproszono również Rosji emigracyjnej. Nie była to, zdaniem mojem, polityka godna tak wysokiej instytucji jak Collège de France; sądzę, że nakazana była przez Ministerstwo spraw zagranicznych. Wszak wszystko, co Rosja miała najwybitniejszego w nauce i literaturze, przebywa na emigracji;

dzięki temu powstały w Paryżu, w Pradze, w Belgradzie wyższe instytucje naukowe rosyjskie; czyż się godziło je ignorować?

Na trzydniowych uroczystościach jubileuszowych były reprezentowane uniwersytety i akademje 38-miu narodów i państw; widziałem tam przedstawicieli mikroskopicznych państwewek powstałych na gruzach Imperjum rosyjskiego, jak Estonja, Łotwa, Litwa; przybyli profesorowie z Chin; Japonji, Turcji, Egiptu. Ale nie było Rosjan, nie było komu przemówić w imieniu narodu, który w różnorodnych dziedzinach twórczej pracy naukowej świeci imionami o wszechświatowej sławie. Tę ich nieobecność czułem dotkliwie, było mi przykro, że wyrządzono im niesprawiedliwość bez żadnej winy z ich strony.

Ale skąd takie we mnie uczucie? Czyż Rosja nie była naszym odwiecznym najzacieklejszym wrogiem? Czy nie leży między nami a nią całe morze krwi? Czyż nie powinienem był cieszyć się z jej upokorzenia? A gdyby tę emigracyjną Rosję zaproszono i gdyby Paryż, Praga, Belgrad wysłały, jako delegatów, tych zpośród byłych profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przetworzenie Polski w zrusyfikowany Prywislinskij Kraj poczytywali za dziejową misję Rosji?

A jednak uczucia mściwej radości i odwetu milczały we mnie i milczą. Na odwiecznego wroga spadło nieszczęście wielkie, tak wielkie i straszne, że wobec tego zapominam o doznanych krzywdach, a chciałbym wyciągnąć do nich rękę pomocy. Zastanawiając się zaś nad tem uczuciem mojem, dochodzę do wniosku, że nie jest ono tylko odruchem czułego serca, jest to uczucie szlachcica polskiego, atawizm, odgłos żywy i silny najpiękniejszych tradycyj rycerstwa naszego; w uczuciu szlachetnem a bezinteresownem pędzili przodkowie nasi na odsiecz Wiednia, idea walki w obronie Chrześcijaństwa i kultury przeciw grożącej od Wschodu barbarji weszła nam w kość i krew. A uczucie to jest także uczuciem rozumnem, to znaczy, że rozum je zatwierdza, rozum każe je pielęgnować, rozwijać, rozum naucza, że usiłując w miarę możliwości przekształcać je w czyn, ratujemy siebie, ratujemy świat.

W przemówieniu mojem zamierzałem podkreślić, że jako mieszkaniec Wilna i profesor uniwersytetu, będącego poste-

runkiem kultury najbardziej ku Wschodowi wysuniętym, wyraźniej słyszę nadciągającą burzę i lepiej widzę grozę niebezpieczeństwa. Zwierzyłem się z tego przed jednym z mistrzów ceremonij obchodowych: „Proszę tego nie mówić, błagam Pana, żadnej polityki, nous voulons la sérénité“. Prośby jednak nie usłuchałem, tylko nieco złagodziłem niektóre ustępy przemówienia. Zostało nagrodzone hucznymi oklaskami, serdecznie zaś wzruszony byłem, gdy z przeciwległego końca sali podszedł do mnie jeden z bohaterów wojny światowej, którego nie miałem zaszczytu znać osobiście, gen. Gouraud (ów bez ręki) ze słowami: „Votre discours a été admirable“. Nie przez chępliwość jakąś to podaję, ale jako świadectwo, że uczucia moje i poglądy mają za sobą najlepszych zpośród współczesnego rycerstwa. Wobec sowieckiej i nieraz filozoficznej, hipnozy, która ogarnia Europę i Polskę, wszystkich niemal możliwych tego świata, mężów stanu i kierowników polityki doprawdy moglibyśmy nieraz wątpić, my nieliczni, którzy piętnujemy tę hańbę człowieczeństwa, jaką jest państwo sowieckie—czy nie ulegamy jakiemuś zaćmieniu myśli, czy jesteśmy przy zdrowych zmysłach. Słowa gen. Gouraud'a były dla mnie autorytatywnem poświadczeniem, że zmysły mam zdrowe, serce prawe i że myślę uczciwie.

„Co mamy mówić — wołał Arcybaszew — o tych premjerach i prezydentach, którzy w białych rękawiczkach ściskają zakrwawione łapy degeneratów, okrutników i sadystów“! Jakim okiem patrzeć mamy na tego największego na świecie pana, jakim niezawodnie jest król Angielski, który uroczyście witał wysłannika morderców swego ciotecznego brata i całej jego rodziny? Nie mieliśmy, my, Polacy, powodu do sympatji dla Mikołaja II; aprobował dziką rusyfikacyjną politykę w ziemiach polskich, a namiestnikiem swoim w Warszawie mianował dzikiego żołdaka, polakożercę, Czertkowa. Ale grzechy i błędy swoje w stosunku do nas i do innych zmaszał on głęboko chrześcijańską, heroiczną rezygnacją, z jaką męczeństwo swoje znosił. Historia jest nieustającym pasmem zbrodni, zna ona zbrodnie równie straszne, lecz nie zna podlejszej niż ta, która w Ekaterynburgu spełnioną została; Bez sądu, skrytobójczo, podle zamordowano nietylko cara i carowę, których

nowi władcy Rosji uważać mogli za odpowiedzialnych winowajców niedoli Rosji, ale zamordowano małego syna, niewinne córki! Brał w tym udział Wojkow. Z dokumentów, które dziś już ogłoszono, dowiadujemy się, że jego dziełem było także skrytobójcze zamordowanie W. Ks. Michała w Permie; on wysłał z Ekaterynburga morderców i stamtąd ich czynnościami kierował. I zbrodniarza tego przyjęto potem i honorowano w Warszawie jako posła „zaprzyjaźnionego“ mocarstwa! Rumieniłem się ze wstydu, gdy w rozmowie ze mną wymawiał to nam jeden z wybitnych przedstawicieli emigracji rosyjskiej. „Dla czego przyjęliście go? Kto was zmuszał? Wszak kandydaturę jego moglibyście odrzucić nawet bez wymienienia powodu?“.

Wojkova zastrzelił w r. 1927 Borys Kowerda. Znam jego matkę i znam siostrę; jego samego nie znałem, ale wszystko, co o nim słyszałem, nietylko z ust matki i siostry, najpiękniej o nim świadczy. Był entuzjastą; wielki ból i szlachetne oburzenie przeszły w nim w namiętność; namiętność pozbawiła równowagi, zaćmiła sumienie i rozum, popchnęła do zbrodniczego czynu. Zaiste wstrętny był dla człowieka z uczuciem godności narodowej widok Warszawy po zabójstwie Wojkova, ten przestach, ta unізoność w depeszach, w enuncjacjach, w interwencjach naszych mężów stanu, ta z przestachu i unізoności wynikająca obojętność na głos miłosierdzia i sumienia, to okrucieństwo w stosunku do nieszczęśliwego chłopca! Conradiego, który z podobnych pobudek zastrzelił posła sowieckiego w Szwajcarii, sąd przysięgłych uniewinnił. Warszawa instytucji tej nie posiada i skazano Kowerdę na karę najcięższą, na dożywotnie więzienie. Mówiono wówczas, że wyroku takiego żądała polityka, ale że wkrótce przyjdzie amnestja. Nic z tego; latem, w roku zeszłym nieszczęśliwy młodzieniec targnął stę w przystępie rozpacz na własne życie. Redaktor „Słowa“ napisał wówczas, wstawiając się za skazańcem, artykuł bardzo wymowny; niestety, nie znalazł on odzewu ani w społeczeństwie ani w sferach rządzących. Męczeństwo Kowerdy trwa w dalszym ciągu.

Wkrótce po wyroku na Kowerdę rozzuchwaleni agenci sowieccy wciągnęli w zasadzkę w poselstwie sowieckiem oby-

watela polskiego Trajkowicza i tam go zamordowali. Odpowiedzią na to było nasze milczenie.

Nie wielu znałem ludzi, którzy tak pięknie i z uświadomieniem tak głębokiem uosobiali rycerskie ideały Polski szlacheckiej, jak Edward Woyniłłowicz. Jakże żywo i bolesnie brał do serca sprawę państwa naszego, gdy o honor narodu chodziło. „Wszak Polska — pisał do mnie niedługo przed śmiercią — mogłaby śmiało patrzeć w oczy wrogowi i nie dawać się rządzić przedstawicielstwu bolszewickiemu w Warszawie jak niegdyś za czasów ks. Repnina. Objawy uniżoności po incydencie z Wojkowym ciężko zraniły honor narodowy — nie juściby on miał być w nurtach Elstery utopiony?“. Cóżby powiedział, gdyby się doczekał niesłychanego, osłupiającego wyroku w niewyjaśnionej sprawie Wojciechowskiego który jakoby z rewolweru mierzył w jakiegoś małego urzędniczka z poselstwa sowieckiego? Chyba to, że honor Polski już bezpowrotnie w nurtach Elstery utonął, skoro wyroki sądowe dyktuje nie sumienie, nie uczucie sprawiedliwości, wnikającej w duszę oskarżonego, lecz chęć przypodobania się warszawskim następcom ks. Repnina i jego przełożonym w Moskwie.

Arcybaszew wymownie napiętnował bandę, która rządzi Rosją, jako zgraję złożoną z szubrawców bardzo często obcych Rosji pochodzeniem i mową. Jeśli jakieś dla mnie niezrozumiałe względy polityczne każą tymczasowo ową *swołocz* tolerować, to stanowczo nie wolno bić przed nią czołem; wszelkie umizgi bierze ona za oznakę słabości i im niżej się kłaniamy, tem bardziej nami gardzi.

Na rozkaz, zdaje się Francji, więc z jej pomocą zawarliśmy z Sowietami pakt o nie-agresji. Depesze z Genewy głosiły o „ogromnem wrażeniu, jakie wiadomość ta wywarła w sferach międzynarodowych“. Korespondenci z Berlina tryumfująco donosili o wielkiem niezadowoleniu Niemiec, które „wyrzec się muszą miłego złudzenia, że w razie konfliktu między nimi a Polską Rosja uderzy na Polskę“. Pod wrażeniem tych korespondencyj, gazety bardzo poważne wyrażały w artykułach wstępnych swą radość, że Sowiety już nie są wasalem Niemiec i że dzięki temu, „pakt o nieagresji staje się poważnym czynnikiem pokoju i odciąża nasz front wschodni“. Więc cieszą

my się, przestańmy się zbroić. Nie dość tego, inną mamy jeszcze ważniejszą rękojmię pokoju; oto przedstawiciel Sowietów „zasiądzie do wspólnego stołu z delegatami państw burżuazyjnych“. A zatem, poważnie, z namaszczeniem poucza nas jeden z publicystów naszych „przyjmuje on zobowiązanie poddania się uchwałom Ligi Narodów, a obecność jego stanowi gwarancję, że Rosja bolszewicka nie uchyli się od usiłowań, mających na celu stworzenie wspólnej platformy rozbrojeniowej dla całej Europy“.

Co gadanie to oznacza? Czyżby ci politycy i publicyści rzeczywiście wierzyli temu, co piszą? Znadto wysokie mam pojęcie o ich inteligencji, ażebym coć podobnego mógł przypuścić. Więc może myślą, że zastraszą w ten sposób Niemców. a pozyskają sympatię bolszewików? Byłoby to także zbytnią naiwnością. Brednie ich tem tylko wytłumaczyć umiem, że polityka państw europejskich weszła w okres starczego uwiadu; ograniczoność umysłowa staje się zasadniczym warunkiem powodzenia w zawodzie dyplomatycznym. Nie idee, ani nawet interesy są dziś motorem politycznym, ale tylko konwenanse. I gdybyż konwenanse te miały przynajmniej jakieś usprawiedliwienie logiczne? Bo czem w istocie swojej jest pakt zawierany z bandą morderców i złodziei? Jest hołdem, który im składamy; stajemy wobec nich w stosunku wasala do suwerena. Pakt obowiązuje wasala, lecz nie obowiązuje suwerena, który nawet nie zadaje sobie trudu ukrywania tego: głosi otwarcie, że honor, moralność, są to przesady burżuazyjne. Innego prawa moralnego, według Lenina, jak interes partji, niema. „Jeśli tak—odpowiedział na to Arcybaszew — to mogę ich tylko uważać za szkodliwe zwierzęta, które należy wyteplić; sądzić ich ze stanowiska prawa moralnego nie mogę, tak samo, jak nie mogę na stanowisku moralnem stawać wobec tygrysa lub żmii“.

A my tygrysy te i żmije troskliwie, po przyjacielsku pielęgnujemy, jakby nie domyślając się, jak cenną, jak potężną dla nich pomocą jest pakt o nieagresji. „Dzięki temu — pisze Wład. Studnicki — sowiecka Rosja usilnie się zbroi i ściga i sprowadza amunicję z zagranicy“. W razie zaś wojny

z Niemcami „będzie mogła zawsze znaleźć pretekst do wymówienia paktu i zwrócenia się przeciwko nam“.

Walnę z „małoduszną i tchórzliwą“ psychologią, pozabiającą społeczeństwo nasze, młodzież zaś przede wszystkim, oporności przeciw pędzącej „czerwonej dżumie i czerwonej śmierci“, uważam za swoje główne zadanie. Spełniam je, jak mogę i umiem. W moich mowach rektorskich wzywałem młodzież do litości nad ojczyzną, piętnowałem objawy zbolszewiczenia, wykazywałem, że celem bolszewizmu jest bestjalizacja „czyli wyzucie człowieka z jego człowieczeństwa przez zabicie w nim idei Boga i wytrzebienie mu z duszy pierwiastka metafizycznego“. Dopiero wtedy stanie on u mety i urzeczywistnioną będzie bolszewicka koncepcja ludzkości, jako olbrzymio potwornej maszyny, składającej się z malutkich kłoców w postaciach ludzkich, z automatów bez myśli i bez woli, automatycznie odrabiających pańszczyznę swoją pod biczem dozorców państwowych.

Sądzę, niestety, że słowa moje rzadko trafiały do celu. Znamy tu w Wilnie studentów zarażonych trądem bolszewictwa a mieniących się prawowiernymi katolikami. Kogo dziś wzrusza, kogo oburza walka z Bogiem i duszą! Ale zdawałoby się, że ten nawet, kto w Boga i duszę nie wierzy, czuje się jednak człowiekiem, człowiekiem wolnym, że wolności tej żąda, a burzy się i protestuje, gdy mu ją gwałtem odebrać chcą. Sowiety zaś stanęły i stoją na niewolnictwie — i to w rozmiarach takich, jakich ludzkość dotychczas nie znała. Człowiek jest tam istotą absolutnie bezprawną, robakiem, którego bezkarnie się depcze. Jerzy Cziczerin, potomek starego, możnego, powszechnie szanownego rodu, zapomniał o ludzkiej godności swojej, o przodkach, o wielkim stryju swoim, zgodził się służyć bolszewikom, oddał im usługi ogromne, był komisarzem spraw zagranicznych, ale w niektórych szczegółach polityki zagranicznej odważył się mieć swoje własne zdanie nieco odmienne od zdania Stalina — i dziś chodzi bez butów po ulicach Moskwy i żebrze...

Słusznie więc w dyskusji, która niedawno toczyła się w Paryżu w kołach emigracji rosyjskiej kwestję bolszewizmu postawiono na nowej płaszczyźnie. „Zagadnieniem epoki na-

szej — dowodził przewodniczący prof. Piotr Struve — dzieląc ludzkość na dwa przeciwległe i wzajemnie wykluczające się światy jest wolność, jest czucie wolności. Jedni ją czują, inni — nie. Komu uczucia tego brak, ten jest urodzonym niewolnikiem i miejsce jego jest w państwie Sowietów. Tę myśl z właściwą sobie siłą i plastycznością rozwinął Mereżkowski. „Brak czucia wolności — mówił — odbija się na obliczu tego, kto go nie ma. On jest czymś zupełnie innym, niż ja jestem, nietylko duchowo, ale fizjologicznie, on innymi oddycha płucami. To czem ja żyję, czem płonę, co kocham, to jego zabija, w atmosferze wolności on się dusi. Jesteśmy świadkami powstawania nowego gatunku istot; fizycznie są to niby ludzie — moralnie — nie; to antropoidy; stoimy przed straszliwą grozą inwazji antropoidów“.

W sowieckiej Rosji nie byłem, ale antropoidów widziałem. Było to przed dwoma laty w Kolonji; wsiadałem do pociągu paryskiego. Wprowadzono nas do wagonu Niehorele — Paryż. Nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem. Wagon był natłoczony; wszystko ludzie stamtąd, ludzie, których dusze były doszczętnie zmyte z podobieństwa Bożego, ludzie bezduszni, daremnieby szukano na obliczu ich, w oczach jakiegoś śladu duszy. Zamiast duszy próżnia, czczość, nuda, śmierć! Przeszedł mię dreszcz obrzydzenia i przerażenia.

Niema na świecie konduktorów równie uprzejmych jak w Niemczech. Czują się obowiązani nietylko do kontrolowania biletów, ale i do opieki nad publicznością. Konduktor, który nam owe miejsca wskazał, odrazu dostrzegł obrzydzenie moje i przerażenie. Bystrem okiem obejrzał jadących i stwierdził, że w tem licznych gronie było ludzi — nie antropoidów, lecz ludzi prawdziwych — troje: moja żona, ja i jeden Francuz. Zrobił nam znak; poszliśmy za nim do części wagonu przeznaczonych dla podróżujących I klasą, tam na drzwiach pustego przedziału nakleił kartkę z nadpisem „druga klasa“ i w tym przedziale nas ulokował. Odetchnęliśmy.

Pociąg ruszył. Analizowałem uczucie, które na twarzy mojej odbiło się tak wyraźnie, że nie uszło uwagi inteligentnego konduktora. Była to wizja wiekuistego odtrącenia od świata idei, od Boga, wiekuistego spadania w otchłań bez dna.

I z tym odtraconym i na wieki potępionym światem, z władcami jego, którzy piekłu służą i odbicie piekła noszą na twarzach i w duszy, zawierać mamy pakt, my spadkobiercy wielkich tradycji, potomkowie owej „skrzydlatej husarii” — co za ojczyznę lała krew — padając z imieniem Marji (Asnyk), mamy przyrzekać, że cicho i pokornie czekać będziemy, aż zechcą do nas przyjść i nami rządzić!

Słusznie nazwałeś ich „hańbą człowieczeństwa”; za równie słuszne uważam, by został wyrażony głos protestu przeciwko jakimkolwiek z nimi paktom czy traktatom, które nam oprócz hańby nic przynieść nie mogą, a gdyby nawet mogły muszą być uznane za niedopuszczalne przez wszystkich, rozumiejących, że honor jest jeden i obowiązuje wszędzie, w polityce także.

Miło mi, że trybuną, z której głos tego protestu się odezwie, jest redagowany przez Ciebie, kochany kuzynie, organ naszego Kolegium, „Herold”, służący ideałom rycerskim przekazanym nam tyluwiekową tradycją. Placówce tej szczerze życzę pomyślnego rozwoju.

Wilno, luty 1932 r.

XI.

DWIE REWOLUCJE

Od chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej porównywano ją z rewolucją francuską: podobieństwa narzucały się. I tu i tam, jako drogę, do celu, do jego osiągnięcia, a po osiągnięciu do utrwalenia nowego stanu rzeczy—obrano bezwzględny i wyrafinowany okrutny terror. I tu i tam zwycięstwa rewolucji nie tylko nie dały dobrobytu masom, których obroną rewolucja niby to miała na celu, występując we Francji pod hasłem równości, t. j. zrównania ich z warstwami uprzywilejowanymi, w Rosji zaś pod hasłem nawet ich dyktatury, — ale masy znalazły się i tu i tam w nędzy większej jeszcze, niż ta, która je za starego reżimu trapiła.

Są to jednak podobieństwa zewnętrzne; różnice zaś sięgają daleko głębiej. Na samym wstępie uderza nas jeden szczegół: terror trwał we Francji niecałe dwa lata, w Rosji trwa już lat 16. W tym zaś czasie wyrosło nowe pokolenie, ściśle odgraniczone od wpływów zachodu, nie mające pojęcia o historii Europy, bez wyobrażenia o jej kulturze i tych zasadniczych wszelkiej kultury podstawach, jakimi są religja, rodzina i własność, a natomiast ze starannym wpojeniem przekonaniem, że to wszystko jest burżuizmem, co w żargonie sowieckim oznacza zgniliznę i że dopiero bolszewicy stworzą nowy porządek, nowy świat.

Przypuśćmy, że spełniły się pragnienia emigracji rosyjskiej i wraz z nią wszystkich ludzi uczciwych na świecie i że Sowiety zostały pokonane i zmiecione, a przyszedł nowy rząd ze szczerą chęcią naprawy wszystkiego, co rewolucja niszczyła lub psuła; czy rząd ten będzie dość silny, aby złamać opór,

choćby tylko bierny, opór nowego, moralnie zdziczałego pokolenia, wychowanego w zarozumiałej pogardzie tych dóbr wszystkich, które my wyrazem kultura określamy? Kto te bandy djabłów, rozszalałych nienawiścią do rzeczy ducha i do Boga, tego, według słów Lenina, „wielkiego właściciela ziemskiego, którego własnością są wszyscy mieszkańcy ziemi“, a cześć, tyranowi temu oddawana, jest „ubóstwieniem swoich własnych najpodlejszych, niewolniczych instynktów, zapaskudzeniem siebie“ (Lenin)—kto bandy te wpręgnać zdoła pod jarzmo nieznaney im i wstrętnej kultury duchowej?

Długotrwałość zaś rewolucji nie jest przypadkiem, nad którym możnaby przejść do porządku. Fakt ten tem tłumaczymy, że nie miała ona przed sobą tych przeszkód, jakimi były dla rewolucji francuskiej koalicje państw europejskich i krwawe powstania na zachodzie Francji. Rewolucja rosyjska szybko stłumiła opór, który jej stawiały carskie wojska, wyczerpane 4-letnią wojną, państwa zaś europejskie od początku sprzyjały jej i ją popierały, oczywiście nie przyznając się do tego, a pozorując zachowanie się swoje ścisłą neutralnością. Przychodzą mi tu na pamięć słowa prezydenta Masaryka, że nie obchodzi go, co w Rosji i z Rosją robić należy, bo „to sobie załatwią Rosjanie sami między sobą“¹⁾. Czy słowa te wygłoszone przez znakomitego filozofa, który zwykł podkreślać swoją etyczność, nie były obłudnym frazesem? Czy wolno uważać mord, dokonywany na wielkim narodzie, za widowisko, któremu możemy obojętnie przypatrywać się z naszej łoży? Czy ta ścisła neutralność, to niewtrącanie się w cudzą sprawę nie jest w danym wypadku wtrącaniem się na korzyść silniejszego?

Wreszcie—i to jest najważniejsze, w tem leży zasadnicza, a głęboka różnica między bolszewizmem a rewolucją francuską—rewolucja owa stawiała przed sobą, w przeciwieństwie do bolszewizmu, cel realny t. j. rozsądny, dający się osiągnąć. We Francji absolutną władzę w ręku miał król, opierający się na szlachcie i na wyższem duchowieństwie, rewolucja zaś była

¹⁾ Tomasz G. Masaryk; „O bolszewizmie“ (przekład z czeskiego) Warszawa Bibl. Polska“ str. 18 — 19.

dziełem burżuazji, która posiąść chciała te same przywileje, ażeby posiadłszy je, zepchnąć nadół, dzięki liczebnej swej przewadze, tamte warstwy i kierować Francją. Byli między rewolucjonistami ludzie o nastroju komunistycznym, ale ci stanowili nieznaczną mniejszość. Gdy więc cel został dopięty, terror musiał z natury rzeczy prędzej czy później ustąpić miejsca porządkowi prawnemu.

Rewolucja zaś rosyjska postanowiła urzeczywistnić socjalizm integralny na gruzach ostatecznie zniszczonego kapitalistycznego ustroju. Kapitalizm stoi na prawie własności, a poczucie własności leży w naturze człowieka; o to, że to jest moje, a nie twoje, czubią się ze sobą już małe dzieci. Co w naturze człowieka leży, co z tej natury wynika, może być zniszczone, jak to widzimy w Rosji, drogą terroru, ale pytamy, czy pogwałcona natura nie dopomni się o swe prawa i nie wróci do nich? Dlatego to cel rewolucji rosyjskiej nazywam celem nierealnym.

Nikt nie powie, że ustrój kapitalistyczny jest ustrojem idealnym; pociąga za sobą konsekwencje, które stają się nadużyciem i naruszeniem własności. Mały kapitał nie jest w stanie konkurować z kapitałem większym; mniejsze przedsiębiorstwa, jedno za drugim, bankrutują i wielki kapitał skupia się w ręku coraz mniej licznych, a tem potężniejszych miliardarów. Przed ich potęgą ugina się nawet państwo, bo państwo dla celów swoich, czy to inwestycyjnych, czy militarnych, czy jakichkolwiek innych, pożyczać musi i, im więcej zadłuża się, tembardziej obciąża ludność podatkami, aby móc odsetki wierzycielom swoim płacić. Zdawałoby się, że między kapitałem wielkim, czyli plutokracją, a socjalizmem powinnaby wybuchnąć walka na śmierć i życie; tak jednak nie jest, bo socjalizm staje się narzędziem wielkiego kapitału.

Genjalny nasz publicysta i myśliciel, hr. Wojciech Dzeduszycki, przedstawił niegdyś ów wielki kapitał w mitycznej postaci Lewiatana¹⁾. „Lewiatan dni dzisiejszych—mówi on— to wielki miliardar, który sam nic nie produkuje, ale pobiera

¹⁾ W pismach „Mesjanizm polski a prawda dziejów“ (Kraków 1902) i „Dokąd nam iść wypada“ (Brody, 1910).

dochody ze wszystkiego na całym świecie; to generalny właściciel cudzych majątków, pracodawca takich nawet, którzy sami pracodawcami mienią się być, a których on nie zna i dbać o nich nie potrzebuje". Wszystko, co się dzieje na świecie, począwszy od wielkich rzeczy, jak rewolucje, a kończąc na mniejszych, jak mordy polityczne, dzieje się za jego wolą i na jego rozkaz; prasa rewolucyjna jest przez niego opłacana, bo na rewolucjach on dobry robi interes. Państwo, które przez rewolucję przeszło, jest państwem spustoszonem, zubożalem; ażeby z nędzy i chaosu się wydobyć, musi pożyczkę i to na wysokie procenta zaciągnąć; kto ją da? Tylko Lewiatan i, dzięki temu, staje się on w państwie panem nad pany, przed którym drżą królowie i prezydenci. Ale może znajdzie się ktoś mądry, kto zrozumie, jakim niebezpieczeństwem dla państwa są rządy plutokracji? Lewiatana ogarnia niepokój, lecz jest na to środek — i „na to, aby od potęgi swojej i zbytków odwrócić uwagę, każe on w gazetach i po wiecach złorzeczyć kapitałowi małemu, głównie szlachcie ziemskiej, jako feudalnym ciemięscem ludu, a bajecznie uprzywilejowanym potentatom, że zaś ludzie są głupi, więc jemu wierzą i sam nawet zadłużony najczęściej ziemianin gotów chwilowo uwierzyć w swe państwo i w swoją feudalną potęgę“.

Niestety, ów feudalny pan, przeciw któremu tak zawzięcie podszczuwają demokratyczni agitatorzy wszelkich odcieni, „chodzi dzień cały — ubolewał Dzeduszycki — w wysokich butach po polu, troszczy się po bezsennych nocach, skąd podatek, a przede wszystkim ratę bankową zapłacić, czem dzieci wychować, odmawia sobie wszystkiego, mieniąc zachowanie odziedzicznego majątku patriotycznym obowiązkiem, a jest pomimo to przedmiotem zawiści okolicznej ludności“, okrzyczany, jako wyzyskiwacz i „krwiopijca“. O ileż bardziej stosują się słowa te do naszych czasów! Tymczasem „miliarder“, który spożywa całe zadłużonego jego majątku dochody, żyje rozkosznie w miejskim pałacu, albo w willi gdzieś nad Śródziemnym morzem, daje obiady, polowania, bale, trzyma konie wyścigowe, a metrese kąpie w szampanie“.

Sądzę, że gdyby Dzeduszycki dożył do chwili obecnej, toby nieco zretuszował swój obraz. Lewiatan niewątpliwie

przyczynił się do wywołania rewolucji w Rosji, ale interesu na niej nie zrobił; nie przewidział niewypłacalności dłużnika.

Rewolucja rosyjska zniósła własność prywatną, na której stoi ustrój kapitalistyczny, ale zastąpiła to nową formą kapitalizmu, czyniąc państwo właścicielem wszystkiego, co jest. Wraz z tem nastąpił powrót do tego, co było hańbą ludzkości i zdawało się już pogrzebane na wieki: wskrzeszono pańszczyznę. Bolszewizm zaczął od zniszczenia warstw zamożnych; dokonawszy tego, zabrał się do chłopów. Ponieważ własność jest bezprawiem, więc zbrodniarzem, według terminologii bolszewickiej, „kułakiem“ jest chłop, który dotychczas coś jeszcze posiada lub coś sobie zaoszczędził. Zabierają mu jego mienie; w razie stawiania oporu czeka go śmierć albo katorga. W t. zw. kolchozach wszystko dzieje się według dzwonka, czy bębna; mamy tam drobiazgowy rozkład dnia, policzono każdą chwilę pracy, policzono skąpe przerwy, przeznaczone na wypoczynek i jedzenie, je się ze wspólnego kotła. I wspólne jedzenie z kotła (czy nie zakrawa to na ironję?), te kilka łyżek kaszy są jedyną dla chłopca kompensatą za to, że pozbawiono go wolności. Przy ustroju kapitalistycznym nędza usunąć się nie daje, mogą być tylko łagodzone jej objawy drogą miłosierdzia prywatnego, opieki społecznej i ingerencji państwa; w razie zaś urzeczywistnienia komunizmu powszechnego, ściślej mówiąc, kapitalizmu państwowego, ku czemu dążą Sowiety, każdy miałby zapewnione minimum egzystencji, czyli owe kilka łyżek kaszy z kawałkiem suchego chleba, nic więcej, natomiast żyłby życiem niewolnika czy więźnia. A czy jest więzień lub niewolnik, któryby nie wzdychał za wolnością?

Według G. Le Bon'a¹⁾ rewolucja zwycięża, gdy w niej bierze górę pierwiastek mistyczny, gdy się staje religją, stwarzając fanatyzm wiary, jeśli nie w żywego Boga czy bogów, to w martwe formuły czy wyrazy. Rewolucją francuską kierowała fanatyczna wiara w rozum, który wyprowadzi ludzkość z obłądzenia, w jakim żyła. Wodzowie rewolucji rosyjskiej są raczej

¹⁾ Dr. Gustave Le Bon: „La révolution française et la psychologie des révolutions“. (Paris, Flammarion).

wiwisekcjonistami, którzy na żywym ciele narodu robią swoje straszliwe doświadczenia, natomiast masom dali religję maszyny, bo maszyna jest najwyższym wyrazem postępu i symbolem przyszłej szczęśliwej ludzkości. Ferrero przed dwudziestu przeszło laty dowodził, że w „wieku, w którym wszystko odrzucić można — Boga, ojczyznę, rodzinę — o jednym niewolno wątpić: o dobrodziejstwach postępu technicznego“¹⁾. Maszyny będą coraz doskonalsze, wytwarzać będą coraz więcej, coraz szybciej, kosztem coraz krótszego czasu i coraz mniejszego wysiłku, dawać więc będą rzeczy coraz liche, tandetę; żadna cywilizacja nie powstrzyma ich furji i tandetą zaleją one świat, „jakość upadnie pod ciosami ilości“. I to szczególnie bolało włoskiego historyka i myśliciela. Poza tem wobec tego, że maszyny potęgują produkcję, dla której w końcu niema popytu, trzeba wymyślać potrzeby sztuczne; „Maszyna żąda przeistoczenia człowieka w nienasycone zwierzę i to jest pobudką do wojen kolonialnych, do narzucania tej na maszynach toczącej się cywilizacji narodom, które pragnęłyby jednego tylko: żyć w spokoju“.

Ale pisząc przed 20 laty, nie zastanowił się Ferrero nad tem, że sztuczne potrzeby mają swoje granice, że granice ma także nasza kula ziemską i że przyjść może chwila, w której wobec ogromu produkcji nie będzie możliwości zbytu. Chwila ta dziś nadeszła.

O tem bolszewizm nie myśli. Postanowiono tam upodobnić człowieka do maszyny. Trzeba zwiedzić bolszewicką Rosję i ją poznać, trzeba wniknąć, przeżyć — jak wyraził się Fülöp Miller²⁾ — bezradośne radości bolszewika, aby objąć całą grozę fantastycznie dzikiej myśli, jaka tam powstała, przeistoczenia ludzkości w jeden olbrzymi automat, w obrzydliwego potwora o tysiącach nóg i rąk, którego nazwano „człowiekiem kolektywnym“. Bolszewicki artysta Kryński przedstawił tego kolektywnego człowieka w postaci olbrzymiej maszyny, złożonej z malutkich kłoców, z których każdy ma człowiecze kształty. Na innym jego rysunku widzimy wewnątrz

¹⁾ W „Tra due mondi“ (Między dwoma światami).

²⁾ Por. „Geist und Gesicht des Bolschevismus“. (Amalthea Verlag).

świątyni, w której nad ołtarzem, pod kopułą, zawieszono maszynę, a naokoło niej stoją, niby w pobożnym skupieniu, owe kloce o człowieczych kształtach, wszystkie do siebie podobne, bez wyrazu, bez życia, bez indywidualności. Bolszewizm powinien byłby dla konsekwencji skasować imiona i nazwiska, a oznaczać ludzi liczbami, ale czy zdoła on do takiego stopnia zatrzeć w jednostce ludzkiej jej indywidualność, że człowiek pod liczbą np. 125 niczem różnić się nie będzie od swego sąsiada pod liczbą 124? I czy można przypuścić, że istota żywa, czująca i myśląca zechce być bezmyślnym automatem, kółkiem w maszynie, czy dodatkiem do niej?

Aby czegoś podobnego zechcieć, trzeba wpierw wyzuć się z uczucia religijnego, którego istotę tak głęboko określał św. Augustyn: „Niespokojnem jest serce człowiecze, dopóki nie znajdzie spokoju w Tobie, Boże“ (Irrequietum est cor nostrum donec requiescat in Te). Ideę zaś Boga kojarzymy z temi najwznioślejszemi i najlepszemi uczuciami, które ogarniają nas w najwznioślejszych i najlepszych chwilach życia naszego. Człowiek chciałby się wydobyć z ciasnoty bytu doczesnego, od rzeczy małych i marnych, od tego, co przechodzi i znika, rwie się serce jego ku temu, co nie przechodzi i nie znika! Patrzymy z rozkoszą na ptaka, szybującego po błękitach, to symbol dalekiej a nieskończonej szczęśliwości, za którą tęsknimy, obrzydzeniem zaś przejmujemy nas płaz, czołgający się po ziemi.

Ten pęd do góry jest wrodzony człowiekowi, kaleką jest, kto go w sobie nie czuje; bolszewizm postanowił okaleczyć człowieka. Zdawałoby się, że bolszewicka koncepcja zmechanizowanego świata, w którym żywi ludzie staliby się bezdusznymi maszynami powinna budzić uczucie wstrętu. Niestety — nie! Z bólem stwierdzamy, że ma ona w sobie jakiś urok, który pociąga człowieka współczesnego. Ten jego nastrój określa Mereżkowski jako wolę, czy żądę pozbycia się swego ja (wola k biezlicznosti); w tem się dziś streszcza — mówi on — wola nasza.

Nie być sobą, ale zato być w Bogu, tonąć w przedwiecznem, absolutnem pięknie Bożem, czyli z natury wznosić się w nadnaturę — stanowi to najgłębszą treść religji. Nie być,

przestać być sobą, ażeby się stać kółkiem w maszynie nakręcanem, jak zegar, w oznaczonej porze na oznaczony czas, jest najohydniejszą karykaturą religji, jaką wyobrazić sobie można.

To antyreligja, spychająca z wyżyn człowieczeństwa w otchłań upodlenia. W tę otchłań spadła Rosja sowiecka i za Rosją spada Europa ze wzrastającą szybkością rzuconego kamienia. „Takiego zjawiska — słusznie pisał dr. Jan Bobrzyński¹⁾ — nie oglądał jeszcze świat; takie powszechne zaślepienie, taka samobójcza, z zaślepienia tego wynikająca polityka“.

Nic dziwnego, iż Mereżkowskiemu nasunęła się myśl, że chyba świat zwarjował, doknięty jakąś mistyczną sugestją ciemnych mocy.

Nie, może to Mereżkowski zwarjował, może ja zwarjowałem, bo jakże to nam literatom, ludziom ze świata marzeń czy ideałów, przeciwstawiać się realistom politycznym, politykom z fachu, kierownikom państw? Czy nie jest to zuchwałą zarozumiałością uważać za głupstwo, za upadlające i samobójcze głupstwo, te pakt o nieagresji, które oni wyblągają u bolszewików i tryumfalnie obwieszczają światu, jako zdobycze, jako arcydzieła sztuki dyplomatycznej, zapewniające ludziom spokój i na długie lata pomyślność?!

Podobne wątplenia nawiedzały mnie niekiedy. Razu jednego, po rozmowie z politykiem, w której nieśmiało poglądu swego broniłem, wróciłem do siebie i zabrałem się do przerwanej lektury książki, napisanej przez człowieka, na którego zwrócone są teraz oczy całego świata, my zaś Polacy ze szczególnym niepokojem śledzimy, musimy śledzić jego słowa i czyny. I oto natrafiam na następujące słowa z powodu kwestji bolszewizmu: „Nie zawiera się układu z partnerem, o którym się wie, że chce mnie zniszczyć i w tem swój jedyny interes upatruje“.

Kto te słowa napisał? Wódz nacjonalizmu niemieckiego w najjaskrawszej jego postaci, Adolf Hitler, który w tejże książce dowodzi, że dążenie do przywrócenia granic z r. 1914 jest ein politischer Unsinn, bo Niemcy sięgnąć muszą dużo

¹⁾ „Nasza Przyszłość“, październik, 1931

dalej na wschód i dlatego odrzucić powinni wszelkie sprzymierzenie się z Sowietami: „Wojna w sojuszu z nimi wywołałaby katastrofalną dla nas koalicję reszty świata przeciwko nam, końcem wojny tej byłby koniec Niemiec... Powołujecie się na Bismarcka, ale nie o to chodzi, co Bismarck wówczas robił, lecz o to, co by zrobił dziś; jego rozum polityczny nie dozwoliłby mu szukać przymierza z państwem, skazanem na upadek“¹⁾).

¹⁾ Adolf Hitler, „Mein Kampf“ (München, 1930), Por. s. 744 — 750.

XII.

DUCHOWA PODSTAWA WALKI Z BOLSZEWIZMEM

Odczyt wygłoszony w Wilnie na Kongresie eucharystycznym w maju 1931 r.

Widmo bliskiej a groźnej przyszłości prześladowuje mnie i dręczy we dnie i w nocy. I nie jest to sugestją strachu, jak sądzą niektórzy z przyjaciół moich, ani wytworem rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. Nie, widmo, o którym mówię, wyrasta z rzeczywistości, z tego, na co patrzymy własnymi oczami, albo od bezpośrednich świadków słyszymy: niby chmura czarna, brzemienista piorunami, pędzona od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy. Co będzie — pytam — gdy nagle pewnego dnia znajdziemy się wszyscy w kleszczach czerwonego terroru?

To samo pytanie, temi samymi niemal słowami, stawia w swoim liście otwartym do przyjaciół Francuzów jeden z najwybitniejszych, najszlachetniejszych, najbardziej utalentowanych kapłanów niemieckich, Fryderyk Muckermann: ¹⁾ „Pytam o to — pisze — bo i we dnie i w nocy myśl ta mię gnębi; pytam, bo znam Rosję, bo sam w więzieniach czrezwyczajki rok cały spędziłem; nie o Liège, czy Verdun dziś chodzi i nie o Warszawę albo Belgrad, ale o Europę i Azję; o to chodzi, zwłaszcza nam, katolikom, czy sowiecka Moskwa zapanuje nad Rzymem; tak, o to chodzi“!

I nie wolno o tem nie myśleć, nie wolno siebie tem ludzić, że wycieńczona głodem i nędzą nie jest Rosja zdolna do militarnego wysiłku. Ludzie mrą z głodu, ale czerwona armja opływa w dostatki; budżet wojenny wynosi miliard rubli złotem; jeden za drugim idą przez Litwę kowieńską pociągi

¹⁾ Por. miesięcznik „Der Gal“, 1931, marzec.

z Niemiec, zapelnione narzędziami zniszczenia; pod kierunkiem inżynierów i techników niemieckich 300 blisko fabryk sowieckich wyrabia rocznie 37 milionów kilogramów materiału wybuchowego dla siebie i dla Niemiec; w razie potrzeby Sowiety wystawić mogą na stopie wojennej 15 milionów żołnierzy.

Więc nie wolno nam nie myśleć o tem, że stoimy przed możliwością bliskiej, bardzo bliskiej katastrofy, jakiej jeszcze nie widział świat. A wynikiem jej byłoby ustalenie powszechnego komunizmu, to znaczy przeistoczenie świata w jeden wielki warsztat pracy, lecz takiej, w którym jednostka ludzka, stworzona na obraz i podobieństwo Boże, zostałaby poniżoną do roli automatu bez myśli i woli, spełniającego pod przymusem wyznaczoną robotę, a za to miałaby zapewnione minimum egzystencji i nic ponadto, bo niczego więcej nie ma prawa potrzebować człowiek-automat. Niebezpieczna zaś myśl o Bogu, unosząca człowieka z piekła gorszej, niż pańszczyzna, niewoli w kraje wolności i szczęścia, będzie wówczas — według zapewnień sowieckich — doszczętnie wytrzebiona z duszy ludzkiej i nie będzie komu zaszczepić ją z powrotem. Wszak postanowiono tam, że za lat trzy — cztery nie będzie już w Rosji ani jednej świątyni, ani jednego kapłana.

Bywały w historii epoki straszne, powiem więcej: niema w niej chwili, któraby nie przejmowała grozą dokonywanych nieprawości, a jednak słusznie mówi Fr. W. Förster, że nigdy dotychczas dusza ludzka nie gubiła się tak beznadziejnie w celach ziemskich. Pyszniły się z tryumfów genjusza wiedzy i techniki nad światem zewnętrznym, w rzeczywistości zaś nigdy świat zewnętrzny nie miał takiej, jak dziś, władzy nad duszą człowieka. Tyle się mówi o nowoczesnej kulturze duchowej, ale kulturę tę utożsamiamy z wiedzą naukową, jakże zaś jedno od drugiego jest dalekie! Np. nauka patologii idzie naprzód krokiem coraz szybszym, lecz co z tego, skoro wola tak haniebnie składa broń przed tem wszystkim, co w człowieku jest patologiczne, przed najobrzydliwszymi instynktami i zboczeniami. To zaś, co rozumem nazywamy, do tego głównie służy, ażebyśmy zwierzę w człowieku rozpętać i usprawiedliwić mogli. I gdybyż zepsucie nasze nie szło dalej, jak do

zezwierżenia; ale człowiek ma do wyboru jedno z dwojga: albo wznieść się nad zwierzę, albo spaść poniżej jego ¹⁾).

Niestety, spadamy. Pomimo to, w każdym z nas żyje potrzeba nieskończoności; we wszystkim, czego pożądamy, wola sięga dalej, niż sięgnąć jest w stanie: *irrequietum cor*; to głód Boga. „Będziecie jako bogowie“ (*eritis sicut dii*) — słowa te stoją napisane na pierwszej stronie historii, nad całą historią ludzkości się unoszą; i czyżby stanowiły niezwyciężoną pokusę, „gdyby nie były falsyfikacją wołania Bożego, obietnicą kłamliwą, odpowiadającą potrzebie wewnętrznej i rzeczywistej“ ²⁾. Możemy jej zadośćuczynić z Bogiem lub przeciw Bogu. Istnieją tylko te dwie alternatywy: „Czy zechcę—słowa M. Blondel’a—żyć dla Boga, umierając dla świata i dla siebie tak, ażeby Bóg mojem ja się stawał — czy też, chcąc samemu sobie wystarczyć, odrzucę Boga i pragnąc nieskończenie, nie będę pragnął nieskończoności (*vouloir infiniment sans vouloir l’infini*)“ ³⁾.

Nie daje nam dobra ani natura, ani rozum nasz, a jednak Dobro jest i jest samo przez się, jest Bogiem. I choć niejeden nie dostrzega, nie czuje obecności Boga ani w życiu prywatnym, ani w życiu publicznym, ani w historii i zastanawiając się nad tem, gotów byłby o Bogu zwątpić, jednak głos Boży brzmi w sumieniu naszym dość głośno, ażebyśmy go dosłyszeć mogli: „Błąkałem się, jako zabłąkana owca, szukając Cię na zewnątrz, a Ty byłeś we mnie“ (*ego erravi sicut ovis. quae perierat, quaerens te exterius, qui es interius*).

Ale Boga tego poznać chcemy bliżej, poznać konkretnie, chcemy, ażeby zstąpił w tragiczne głębie życia naszego, pocieszył nas, pokrzepił, dopomógł: „Ach, gdyby Bóg tu wśród nas, na ziemi, zamieszkać zechciał — mówi stare żydowskie przysłowie—wszystkie drzwi i okna stałyby przed Nim otworem“: I tu chrześcijaństwo przychodzi nam z pomocą. Gdy mędracy greccy drogą rozmyślań nad jestestwem Boga dochodzili do idei Logosu (Słowa), to w chrześcijaństwie Logos objawił się

¹⁾ F. Förster: „Christus und das menschliche Leben“, 1922 (München, Bernhardt) por. s. 12 — 17.

²⁾ L. Laberthonnière: „Pages choisies“, 1931. (Paris, Vrin), 1931, por. s. 121 — 2.

³⁾ Por. M. Blondel: „L’Action“ (str. 354).

jako fakt, jako rzeczywistość historyczna, jako żywa osoba. Poznali chrześcijanie Logos nie jak mędrcy starożytni, nie przez kategorie metafizyczne i logiczne, lecz ujrzeli i uczcili Słowo, wcielone w Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym Zbawicielu świata. Wszystko to—Wcielenie, Odkupienie, Zmartwychwstanie — jest tajemnicą Wiary, niedostępną rozumowi. Z jakiegokolwiek strony podchodzimy do niej, wszędzie ciemność; nie daje się wyjaśnić, ani tem bardziej udowodnić. Rzucamy dowody, przechodzimy do faktów. I oto staje przed nami fakt historyczny, w historii jedyny pod względem znaczenia swojego: widzenie apostoła Pawła pod Damaszkiem. A wizja ta nie tylko spowodowała nawrócenie wroga i prześladowcy chrześcijan, nie tylko natchnieniem się stała i pobudką dla apostoła narodów do heroizmu apostołstwa; ona jest także punktem zwrotnym w dziejach myśli ludzkiej, punktem wyjścia do tej koncepcji przeznaczeń świata i człowieka, którą w zarysach wspaniałych nakreślił apostoł, która podstawą jest chrześcijańskiej teologii i filozofji, chrześcijańskiego poglądu na świat.

Tam, pod Damaszkiem, zetknął się Paweł ze Zbawicielem konkretnie, usłyszał głos Jego, ujrzął go „w jasności, jaśniejszej nad słońce“. A więc Chrystus żyje, a więc dokonał tego, czego nie dokonał nigdy żaden śmiertelny: zwyciężył wroga największego, jakiego ma człowiek: śmierć! Przeciw śmierci protestuje natura nasza wszystkimi siłami, tymczasem krok każdy do tej śmierci nas zbliża. Więc czemu jest śmierć? Oczywiście karą — odpowiada apostoł — karą za przestępstwo, za grzech. Umieramy wszyscy, wszyscy przeto w grzechu jesteśmy, w grzechu się rodzimy. Jeden wyzwolił się z pod prawa śmierci: Jezus Chrystus. Zaiste więc był tym, za kogo siebie podawał, Mesjaszem — Synem Boga Żywego. Był bez grzechu, a zatem nie za siebie umarł, ale umarł za nas. I nas, którzyśmy uwierzyli w Niego, w podwoje wiekuistego żywota wprowadzi. W odkupieniu streszcza się dobra nowina, którą On nam przyniósł, a fakt zmartwychwstania, czyli zwycięstwa nad śmiercią, jest faktem centralnym w historii; wszystko co przedtem było, ku temu zmierzało, wszystko, co potem, jest konsekwencją tego: „Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał —

woła wielki myśliciel i prorok Włodz. Sołowjew ¹⁾ — świat okazałby się niedorzecznością, królestwem złego, fałszu i śmierci; gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, to któżby mógł zmartwychwstać? I w zachwycie nad tryumfem życia woła apostoł: „Gdzież jest zwycięstwo twe, śmierci? Gdzież jest, śmierci, oścień twój”? W oczekiwaniu zaś epoki, do której podąża odkupiona ludzkość, objął apostoł i te sfery życia, o których nikt wówczas nie myślał i mało kto dziś myśli; zastanowił się nad upośledzonym stanem zwierzęcia, które „wzdycha i, jako rodząca, boleje aż dotąd“, a upośledzenie to i niewolę mistycznie powiązał z upadkiem człowieka: troskliwie wygląda stworzenie, aż synostwo Boże znowu w nim, w człowieku, zajaśnieje, bo wówczas „będzie uwolnione z niewoli skażenia na wolność chwały dziełek Bożych“.

Tryumf życia nad śmiercią, objawiony w Zmartwychwstaniu, był dla ap. Pawła, za dni naszych dla wielkiego filozofa i wizjonisty rosyjskiego odpowiedzią na wszystkie wątplenia ²⁾.

„Żywię już nie ja — pisze apostoł Paweł w liście do Galatów — ale żywie we mnie Chrystus“. Brać słowa te należy nie racjonalistycznie i nie metaforycznie, nie w tem znaczeniu, że przejął się apostoł osobą i nauką Jezusa, jak np. uczniowie Sokratesa przejmowali się jego nauką, lecz brać trzeba dosłownie, realnie. Każdy zaś z nas ma prawo stosować je do siebie w znaczeniu mistycznym, albowiem w ustanowionym na ostatniej Wieczery Pańskiej Sakramencie Eucharystji Zbawiciel „wszczepia się w naszą duszę, naszą krew, naszą istność“. Sakrament ten sprowadza, jak pięknie się wyraził jeden z teologów nowoczesnych, kryzys organiczny w naturze człowieka, przeobraża jej substancję i przez tę wewnętrzną transsubstancjację utwierdza tego, w kim wiara jest żywa, w wyższym, ponad wszystką znikomość i zmienność wzniesionem życiu. „Bóg stał się człowiekiem — powiedział Św. Klemens

¹⁾ Por. ostatnie jego dzieło: „Tri razgowora“ (Trzy rozmowy), 1900

²⁾ Wizjonistą nazywam Włodzimierza Sołowjewa, ponieważ zdumiewająco dokładnie sprawdzały się i sprawdzają genialne jego intuicje filozoficzno-historyczne. W r. 1894 przewidział wojnę Rosji z Japonją i klęskę, którą Rosji zadadzą „wodzowie z dalekich wysp Wschodu“ i która będzie początkiem końca Rosji i ostatniej epoki dziejów.

Aleksandryjski — ażebyś ty, człowiecze, od człowieka się nauczył, jak człowiek staje się Bogiem“ „Nie przemienisz — słyszy Augustyn Św. głos Boga na wysokościach — mnie w siebie, jak pokarm ciała Twojego, ale ty będziesz we mnie przemienion“ ¹⁾).

Gdyby te słowa Augustyna mógł każdy z nas z czystym sumieniem za wielkim świętym powtórzyć, byłoby to już końcem historii, realizacją Królestwa Bożego, w którym „Bóg będzie wszystkim we wszystkich“. Jakże do tego daleko! Drogą do dalekiej tej realizacji jest Kościół, społeczność kościelna, którą Apostoł określa to jako Ciało Chrystusa (Eph. I.23), to jako budowanie, w którym „wy wespół się budujecie, abyście byli mieszkaniem Bożem w Duchu Świętym“ (Eph. II.22). Czyli Kościół tu się zaczyna — pięknie słowa te interpretuje L. Laberthonnière ²⁾ — aby gdzieindziej się zakończyć. Rozwija się i rośnie w czasie, aby rozkwitnąć w wieczności. W tym doczesnym świecie jest On początkiem komunji dusz w Miłości i Prawdzie Chrystusowej, środkiem do jej realizowania, symbolem owej aeterna in caelis habitatio, którą będzie. A na czym stoi społeczność kościelna? Na sakramencie Eucharystji, albowiem Chrystus zamieszkać musi w każdej duszy, ażeby Kościół się stał jego rzeczywistym mistycznym ciałem.

Uczucie gnębiącego upokorzenia ogarnia mnie, człowieka z tego świata, gdy o tych wielkich rzeczach mówię, mając świadomość, że nie czuję ich tak, jak powinienem czuć, że nie są one najwewnętrzniejszą treścią duszy, głęboko wszystkimi korzeniami tkwiącej w doczesności. Więc, gdzie mogę, wolę przemawiać słowami innych, nierównie godniejszych odemnie. I oto biorę „Rozmyślenia o Ewangelji“ wielkiego biskupa węgierskiego, ś. p. ks. Ottokara Prohászka, w którym ziomkowie jego — i to nie tylko katolicy — czczą najpiękniejsze uosobienie geniusza Węgier, „najkosztowniejszą perłę w skarbcu duchowym narodu“.

Poetą był w teologii. Opowiadają o nim, że korzystał z każdego wolnego świątecznego dnia, ażeby iść za miasto

¹⁾ Conf. Ks. VII, r. 10.

²⁾ Op. cit. 17 — 8.

i błąkać się po górach, lasach i łąkach, Radością, przypominającą Św. Franciszka z Assyżu, przejmował go kwiat każdy, brzęczenie pszczoły, szmer strumyka, lecący w słoneczne błękity śpiew skowronka. „Na wdzięcznych kształtach świata zewnętrznego—pisał—stylizuje się mój świat wewnętrzny, od niemej ich muzyki uczy się śpiewać dusza moja“. I gdy ku wieczorowi z wycieczek swoich wracał z duszą podniesioną i radosną, czekał chwili, aż wszystko naokoło pogrąży się we śnie, a wtedy szedł do kaplicy domowej i tam nieraz długie nocne godziny spędzał w modlitwie przed Sanctissimum. Nazajutrz zaś rano, bezpośrednio po mszy św., zapisywał myśli swoje, plon nocnego obcowania z Bogiem.

„Najświętszy Sakrament—czytamy w rozmyślaniach jego na święto Bożego Ciała ¹⁾ — to rdzeń cedrowy, przeznaczony dla orłów. Ezechiel widział, jak orły jadły rdzeń cedrów libańskich... Szczyty Libanu, rdzeń cedrów i orły odpowiadają sobie wzajemnie. Wznośmy się na te szczyty uczuciem i myślą“... „Myśli nasze słabe, mgliste, infirmae providentiae, niech ustąpią myślom Pana i Boga naszego, które w tym sakramencie jakby rozpaloną pieczęcią wrażają się nam w dusze“... „Przez Komunię Świętą sposób myślenia Zbawiciela opanowuje nasz umysł. Komunia sprawia, że podobieństwo do Chrystusa wybija się w oczach, na czole i ustach, w mowie, na całym człowieku, w całym jego życiu“... Więc „w mrok świata — woła—patrzeć nie będę, tylko w oczy Jezusa, zatapiając się w Najświętszym Sakramencie“. Stamtąd spłyną „zapal, męstwo, polot do walki z odmętem duchowym i moralnym, który tam, na dole, tak zastraszające przybrał rozmiary“.

Tylko świętość jest zdolna zwyciężyć w tej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza. Święci — mówi ów biskup — to „żywe Te Deum“, to „góry Boże, sterzące w niebo, w wieczność“... „Gdy o nich myślę, czuję się jakby na wysokiej, cichej turni tatrzańskiej“ ²⁾ Wejdźmy na nią, spójrzmy na nich olbrzymów ducha; są oni wyrazem naj-

¹⁾ „Rozmyślania o Ewangelji“ t. II, s. 441 (Kraków 1926). Przekład ks. H. Lubińskiego T. J. Por. M. Zdziechowski „Węgry i dookoła Węgier“ (Wilno, 1933)

²⁾ Ib. t. II, s. 368 — 369.

wyższych twórczych sił dziejowych, „to najcieplejszy, najpotężniejszy prąd, ciągnący przez historję“... To prąd apostołstwa, czerpiącego moc swoją w eucharystycznej jedności ze Zbawicielem. Prąd ten zmiecie wysiłki piekła...

Wracam tam, skąd zacząłem. Wschód sowiecki mobilizuje przeciw nam, przeciw Zachodowi, wszystkie żywioły i siły destrukcyjne, a my beczynnie temu się przypatrujemy, rządy zaś torują drogę inwazji, jakby umyślnie przygotowując swoją własną zgubę, swój koniec.

Co to znaczy? Skąd ten obłąd? Gdyby najazdem, który nam grozi, kierowały namiętności czysto ludzkie, jak żądza wojny i zdobyczy, rozkosz potęgi i rozkosz używania, sądzę, że Europa zdołałaby się oprzeć nieprzyjacielowi. Ale motorem, wprowadzającym weń owe żywioły zniszczenia, jest moc nie z tego świata. Jest to zło, jako negacja wszystkiego tego, co nas w górę ponad szarą szarą powszedniości, ponad zmienność i znikomość unosi — tego, co my wyrazami Bóg, boskość, duch, dusza, dobro, piękno, miłość, litość, nieśmiertelność i t. d. określamy. A od owej mocy, która nie z tego jest świata, idą emanacje, od których krew ścina się w żyłach, jakgdybyśmy poczuli dotyk czegoś obcego, obrzydliwego, mrozącego; jedni tej ciemnej mocy pokłonili się i wprawia ich to w szal opętania, inni stoją unieruchomieni, w hipnotycznym bezwładzie, czekając, aż znajdą się w paszczy potwora. Niejednemu może śmiesznem się wyda to, co tu mówię, ale co mam począć, skoro obecnego stanu rzeczy nie umiem wytłumaczyć inaczej jak czynnem, bezpośredniem wtrąceniem się ciemnych poręg z państwa ciemności.

I nie ja jeden tak sądzę, Oto ks. Muckermann ogłosił z powodu wycieczki przemysłowców niemieckich do Moskwy (za niemieckimi zaś pojechali i nasi) wstrząsający artykuł o djable w polityce i życiu. Sprzymierzajcie się—woła ¹⁾—z kim chcecie, tylko nie z djabłem! A wam się zdaje, że macie do czynienia z ludźmi i że we wspólnie z nimi dobre gieszefty robić będziecie. Gieszeft zaćmił wam świat idei, nie jesteście zdolni do idei, oni zaś ideę mają — ideę szatańską, ideę nie-

¹⁾ „Der Gral“, kwiecień 1931. Słowa autora przytoczone są w skróceniu.

nawiści, ideę walki z Bogiem, ideę piekła. I piekłu służą, odbicie piekła noszą w duszach, na twarzach, a wy z nimi — to znaczy z djabłem — w chwili, gdy to piszę, siadacie do stołu i z nim, pijąc kachetyńskie wino, zajadając astrachański kawior, zawieracie przymierze! O, jakbym chciał, aby te słowa moje doszły do was, abyście zrozumieli, że idzie, że pędzi i zbliża się coś, czego ludzkość dotychczas nie przeżywała — że piekło, że djabł nie jest wymysłem, nie jest zmorą, ale jest rzeczywistością! Niedawno spotkałem podeszłą wiekiem Rosjankę; trzy razy skazywana była na śmierć. Groza rzeczy, które widziała, tragiczne nieszczęścia, co na nią padały, uduchowily jej oblicze wdziękiem niezmiernej dobroci; nigdy równie pięknego nie oglądałem. „Opowiedz światu—mówiła — że djabł jest“...

A ta niemoc nasza skąd pochodzi? Wiek XIX, im bliżej ku końcowi, tem bardziej poddawał się upojeniu postępem, postępem w nauce, w ujarzmiających naturę odkryciach i wynalazkach. Idea wszystkich na tem opartych technicznych, gospodarczych, politycznych możliwości zdobywała demoniczną władzę nad człowiekiem. Postęp był więcej, niż hasłem, był bogiem prawdziwym, którego symbolem maszyna, ewangelją—gazety. Odbijało się to i na religji; katolicyzm stawał się jakiś nieśmiały. „Jak blada, jak ślamazarna była nasza modlitwa, jak skupieniu naszemu przeszkadzali nieproszeni goście z błyskotliwego i błyskotkami wabiącego świata, gdzie się kłaniano bożkowi postępu“. Z drugiej strony, jaka podejrzliwość, jaki brak wielkoduszności, jaka ciasnota myśli i duszy ujawniała się nieraz w stosunku do tych, którzy marząc o pojednaniu kultury z religją, szukali nowych dróg, nowych stanowisk! Ilu to pracowników dobrej woli i gorącej wiary odepchnięto i złamano im życie“.

Słowa powyższe wzięłem z pism jednego z najwybitniejszych katolików niemieckich, prof. Hermana Platz'a¹⁾. Poznałem go przed dwoma laty na katolickim polsko - niemieckim kongresie pacyfistycznym w Berlinie. Nie zapomnę, jak mię

¹⁾ „Das Religiöse in der Krise der. Zeit“. (Einsiedeln, Benziger) por. s. 8—9 i 159—160.

tam uderzał widok modlących się Niemców. Zaprawdę daleko, bardzo daleko od rzeczy z tego świata były wtedy ich dusze. A byli to przeważnie uczeni, literaci, politycy. Po nabożeństwie, albo wieczorami, po posiedzeniach, odbywaliśmy — prof. Platz i ja — wspólne przechadzki i zbliżyliśmy się wzajemnie. Co nas zbliżyło? „Ile razy — mówił on — zdawało mi się być wśród obcych, stwierdzałem, że prędko i łatwo dochodzą do porozumienia między sobą ci, co ideał liturgiczny noszą w sercu“.

W naszym, naogół religijnie płytkim społeczeństwie, słyszano coś niecoś o ruchu liturgicznym. Ale i wśród tych, co słyszeli, nie każdy się domyśla, jak głębokie są jego źródła. Ruch ten jest reakcją przeciw temu zniedołężnieniu uczucia religijnego, temu onieśmieleniu i zanikowi inyśli religijnej, które były odbiciem zapatrzonej w potęgę człowieka i hałaśliwej religii postępu wraz z wynikającą z niej, a pyszniącą się zdobyczami w zakresie techniki, nawskroś materialistyczną i zarazem demagogiczną kulturą, która żądzą używania porывała i wykolejała jednostki, zacierała świadomość grzechu i konieczność oczyszczenia się z niego, i tem samym niszczyła boski pierwiastek w człowieku, duszę przeistaczała w jakąś kupę gruzów.

„Dusza! Jakże dziwnie — mówi Hermann Bahr — brzmiał ten wyraz w uszach człowieka z kulturą wielkowiejską! Co to jest dusza, kto ma duszę, kto ma czas mieć duszę“?!¹⁾ Ale przyszły straszliwe doświadczenia wojny i rewolucji, patrzaliśmy, jak w ręku walących się i skołatanych dusz rozwał się świat, przypomnieliśmy sobie, że cały rozwój dziejowy toczy się drogą perjodycznych wstrząśnień, w których człowiek bezmyślnie niszczy to, co sam mozolnie budował.

Obudziła się tęsknota za organicznością, za organicznym ładem tak w każdej pojedynczej duszy, jak i w życiu społecznym; tęsknota, jak się wyraża H. Platz, za wyjściem z antropocentrycznego chaosu, a wejściem w teocentryczny Kosmos. Zrozumiano, jaką potęgą kształcąca, wprowadzającą ów ład

¹⁾ Cytuje H. Platz w „Grosstadt und Menschentum“, (Kösel u. Pustet 1924.

do duszy i darzącą ją spokojem jest wspólna modlitwa w obcowaniu ze Świętymi. Znajduje ona wyraz w liturgji. „Liturgia — głębokie i piękne słowa H. Platza¹⁾ — wprowadza nas w samą istotę bytu, istota bowiem bytu streszcza się w ofierze, spełnionej na Golgocie, ceremonje liturgiczne są gloryfikacją Boskiego Sakramentu, który ofiarę tę uwiecznia“. Eucharystja jednoczy nas z Chrystusem i w Chrystusie jednoczy nas wszystkich, jednych z drugimi, nosque inter nos in eodem Christo conciliat et conjungit, jedno ciało z nas czyniąc (veluti unum corpus coagmentat).

Powiadają, że ruch liturgiczny nie jest rozwiązaniem palących zagadnień współczesnych, bo ucieczką jest od rzeczywistości: laetatus sum in his quae dicta sunt mihi: in domum Domini ibimus; a tam, w tym domu Bożym, w skupieniu, w które wprowadza nas poważny, uroczysty śpiew gregorjański, w zachwycie, którym porywają psalmy nieszporne, nie na ziemi czujemy się, lecz nad ziemią. Ale ucieczka taka jest konieczna. In monte sancto, na górze świętej, ponad zgiełkiem świata i wyziewami nizin, rzeźwi i wzmacnia świeże tchnienie gór. Dusza, ogłuszona wrzawą ścierających się namiętności w walce narodów, klas i interesów, hasłami burzliwych wieców partyjnych odzyskuje spokój, moc i świadomość swej mocy. Tam uczy się patrzeć oczami Boga na świat i na życie²⁾, tam wyzwala się z niedecyzji, z chwiejności, cechującej nas, ludzi z tego świata, ludzi nowoczesnych, miotanych, jak okręty na morzu, wichrem sprzecznych prądów. Tam utwierdzamy się w katolickim poglądzie na świat i na życie, że znaczenie i sens życia leży w apostołstwie, że iść powinniśmy w świat, zdobywać świat, przeobrażać go i uświęcać³⁾. Im głębiej rozumieć będziemy, że liturgia — powiedział opat Herwegen — jest podstawą chrześcijańskiej sztuki życia, tem skuteczniejszą będzie praca nasza nad uzdrowieniem kultury nowoczesnej.

Czy uzdrowimy ją? Czytamy w Ewangelji, że przyjdą

1) Por. H. Platz: „Zeitgeist und Liturgie“ por. s. 82.

2) H. Platz: „Zeitgeist und Liturgie“ s. 114.

3) Por. H. Platz: „Das Religiöse“, s. 184.

czasy, „gdy ludzie schnąć będą od strachu i oczekiwania tych rzeczy, które będą przychodzić na wszystkie świat” (Luc. XXI). Czasy te już przyszły tam, o miedzę od nas — i do nas idą. Winni temu są ci, co przeszkodzić mogli, a nie przeszkodzili: myśliciele i pisarze, jak R. Rolland, którzy podłym frazesem, iż ze zła rodzi się dobro i szczęście, zagłuszyli w sobie sumienie i nie słyszą jęku swych bliźnich, torturowanych i mordowanych tam, w Rosji; winni są publicyści, którzy z ulicy biorą hasła i za pomocą prasy urabiają opinię; winni ci, których oślepiła chciwość i w interesy z djabłem wchodzi; a najwinniejsze są rządy, które, kłaniając się i zabiegając o łaskę opętańców moskiewskich, tem samem wyrok śmierci sobie samym piszą.

Czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście potęg ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie próby mamy przed sobą. Może niejednego z nas czeka męczeństwo. Niechże gotowi będą ci, co są i co chcą być hufcem Chrystusowym — Gens sancta!

XIII.

O KOŃCU HISTORJI

(Mereżkowski: „Atlantyda—Europa“. (Belgrad, 1931, str. 532 i XX).

1.

Wygnaniec Rosjanin, ten tułacz bez ojczyzny i bez dachu nad głową, najbardziej pożałowania godna ofiara wojny, jest, dzięki temu, najczulszym, według Mereżkowskiego, barometrem politycznym; on najlepiej i najtrafniej ocenia wartość tego, co się w Europie mówi o wojnie i o pokoju. Barometr ten zatrzymał się obecnie, oznacza to niezmiennosc dzisiejszego stanu atmosfery, czyli że nic nie stoi na przeszkodzie groźnej chmurze, idącej od Wschodu; lada chwila ona się rozciągnie nad całym widnokregiem i wybuchnie nawałnica, która zmiecie cały dobytek, wszystko, co gromadziły stulecia pracy i kultury: „Pokój obecny, to szczelina między dwoma kamieniami młyńskimi — chwila nieznośnej duszności między dwoma burzami, tymczasowe zawieszenie broni między jedną wojną a drugą“.

Oczywiście, nie jest Rosja barankiem bez zmazy, niewinną ofiarą nieszczęścia, które na nią spadło. Przypuśćmy, mówi Mereżkowski, że winną jest w dziewięciu dziesiątych, ale jedna dziesiąta winy bezwarunkowo leży na Europie; człowiek wziął, czy nałożono mu na barki 10 pudów i jako tako ciężar ten wytrzyma, lecz oto ktoś dorzucił jeden jeszcze pud i kości zaczynają trzeszczeć; ten dziesiąty pud zwała na Rosję Europa i bezmyślnie przypatruje się temu, co się tam dzieje: „O, wiemy to dobrze, że gdyby czyjaś niewidzialna ręka nie ratowała Sowietów, ile razy spotykało je jakiegokolwiek

niepowodzenie, Rosja byłaby już wolna od ciemności swoich". „Niewidzialna ręka“ jest tu widocznie figurą retoryczną, rękę tę bowiem widzimy wszyscy; wszystkie państwa, jeśli nie wszystkie, to te, które decydują o losach świata, zgodnie czynią wysiłki, aby wzmocnić Sowiety; w poczuciu własnej nikczemnej marności, nie są one w stanie wznieść się ponad drobnokupieckie interesy chwili bieżącej. Dyplomaci nie pomina żadnej sposobności do człobitnych ukłonów i uniżonych zapewnień przyjaźni i czci; przemysłowcy i publicyści, których łaskawie zaproszono do Moskwy, wracają oszołomieni wspaniałością tego, co im pokazano, genjuszem i żelazną wolą tych, co tam wszystkim kierują — militarną potęgą, którą ci kierownicy stwarzają. Z potęgi tej niejeden skorzystałby chciał w celach porachunku z sąsiadami; dla nikogo nie jest tajemnicą, że Niemcy, niemieccy oficerowie i technicy organizują zbrojne siły Sowietów. „Nigdy — pisze Mereżkowski ¹⁾ — nie rządili światem tak marni łajdacy, jak teraz, a mówiąc to, mam na myśli nietylko tych, co rządzą Rosją“.

Nikt przyszłej wojny nie wypowie, jak nie wypowiedziała jej Japonja w r. 1904. Nie bawiąc się w groźby, ani też grzecznie przeciwnika uprzedzając, że coś przeciw niemu zamyśla, zatopila pewnego dnia trzy statki, stojące jej na drodze do Portu Artura. Tak też będzie w wojnie przyszłej. Stają mi w pamięci moje niegdyś rozmowy z gen. Zagórskim. Coraz to nowe, dowodził on, wynalazki w zakresie niszczenia, groza straszliwych, granice wyobraźni przechodzących spustoszeń, które one czynić będą, wywołać muszą u tych, co przyszłą wojnę przygotowują, przeświadczenie o konieczności zaskoczenia nieprzyjaciela, zanim on zdobędzie się na jakąkolwiek inicjatywę. Bezpośrednim więc celem tego, kto będzie miał rozumną i twardą wolę zwycięstwa, będzie niespodziane i doszczętne zniszczenie stolicy wrogiego państwa ze wszystkimi jej zasobami w ludziach i rzeczach. Da się to dokonać bez trudności. W r. 1918, przy końcu wojny, znano koło 30-u gatunków trujących gazów, dziś znają ich przeszło tysiąc, a najstraszniejszym w działaniu jest t. zw. fosgen: zaludniona prze-

¹⁾ „Tajna trzech“ („Tajemnica Trójcy“, Praga 1925, str. 63).

strzeń, przez którąby przeszła fala fosgenu, została by w ciągu kwadransa przeistoczona w cementarz. Przestrzeń Paryża wynosi 10.000 hektarów; ażeby ludność tego miasta wytepić, jak pluskwy, aż do ostatniej żywej istoty, wystarczy rzucić z rozmaitych punktów 10.000 ton fosgenu, a to wymagałoby przy dzisiejszym stanie awjacji nie więcej, jak pół godziny czasu. Do chemji dodajmy biologję z mikrobami dżumy, cholery i wszelkimi innymi zarazkami, dodajmy fizykę z działającymi na odległość elektro-magnetycznymi falami. Wszystko to razem jest jakby wskrzeszeniem czarnej magji w nowej a groźnej postaci ¹⁾. Wiedzą o tem najfanatyczniejsi z Niemców, marzących o odwecie; wie Ludendorff, który napisał broszurę, ostrzegającą przed nową wojną, wie Hitler, który, wbrew powszechnie jemu przypisywanym poglądom i dążeniom, najwyraźniej ostrzega przed szaleństwem wiązania się z Sowietami przymierzem, gdy się wie, że celem ich jest także zniszczenie Niemiec narówni ze zniszczeniem wszystkich ognisk kultury i że te narzędzia wojny, które z Niemiec otrzymują Sowiety, przeciw Niemcom je zwróca.

Złączmy się przeto, my wszyscy, którzy słyszymy szum zbliżającego się potopu i krzyczymy głośno, głośno, że przyszła wojna będzie końcem rodu ludzkiego; może się ludzie opamiętają, może wspólnymi siłami zamkną dostęp zarazie, może ubezwładnią i uśmiercą te czarne moce śmierci wiecznej i piekła, które w Moskwie siedlisko sobie obrały!

Daremne wołanie, a „wicher potopu świszczę we wszystkie szczeliny naszej europejskiej chaty“. Co robić? Budujmy—brzmi nie odpowiedź, nie rozwiązanie, lecz rozpaczliwy krzyk tonącego — budujmy sobie zawczasu arkę, my nieliczni, ostatni! ²⁾.

Dwa podania o końcu pierwszej ludzkości doszły do nas: jedno, babilońskie, powtórzone w księgach Mojżeszowych, drugie, egipskie, o Atlantydzie, zapisane przez Platona. Porównanie Europy dzisiejszej z mityczną Atlantydą narzuciło się pisarzowi rosyjskiemu i zdaniem jego nie może się nie na-

¹⁾ Mereżkowski „Atlantida—Europa“ (por. s 11—13).

²⁾ Op. c. s. 21.

rzucac człowiekowi myślącemu, ale wraz z tem narzuca się także różnica: Atlantyda zginęła od potopu, czyli od przygody i siły zewnętrznej, będącej narzędziem kary Bożej, na Europę kara ta idzie zwewnątrz, to znaczy, że Europa sama ją sobie wymierzy, ginąc masową, samobójczą śmiercią.

Ale czy istniała Atlantyda? Z tej bajki czy mytu, w który uwierzył Plato, śmieje się rozsądny, trzeźwy Arystoteles. Darownie: „Dialektyka, to schody, które się chwieją i walą“, a skrzydła mytu niosą na wyżyny, które ani się chwieją, ani walą, niosą dalej, niż wzrok sięga, Atlantyde widzi orle oko¹⁾. Istnieniu zaś jej nie zaprzecza nauka; jest prawdopodobne, jeśli nie pewne, zdaniem wielu przyrodników, zwłaszcza geologów, których dzieła sumiennie przewertował Mereżkowski. „Wyspy Antylskie na dalekim Zachodzie — cytuje on jednego z nich — a Kanaryjskie i Azorskie na Wschodzie, są to wierzchołki gór, które zatoneły, wznoszą się nad oceanem niby słupy zburzonej świątyni“²⁾ „Jak niema dymu bez ognia — dodaje Mereżkowski — tak niema mytu bez historii, myt jest zasłoną dla tajemnicy, pod zasłoną tą ukrył Plato świętą i straszną tajemnicę historii³⁾; pisał on rzeczy metafizycznie wznioślejsze, ale nic tak tragicznie głębokiego, jak obydwie ustępy o Atlantydzie w „Tymeosie“ i w „Krytjaszu“. Dreszczem trwogi przejęła go myśl o końcu, o rzeczach ostatecznych. Zdaje się, że widzimy, jak starcza ręka jego słabnie i drży, gdy kreśli ostatnie o tem słowa⁴⁾.

Skąd ten strach? Leży on w naturze naszej. Każdy z nas wie, że jest skazany na śmierć i że umrzeć musi, ale umiemy przedziwnie o tem zapominać; obraz śmierci, własnej śmierci, nie mieści się nam w głowie, nawet gdy jesteśmy świadkami śmierci bliskich, znajomych osób. Zjechało się na pogrzeb z rozmaitych, nieraz dalekich stron, trzeba się skupić, czy udać skupienie w czasie żałobnego obrzędu, ale oto kończy się obrzęd, zmarły leży pod ziemią, za chwilę uczta po-

¹⁾ ib. s. 25.

²⁾ op. c. str. 110.

³⁾ ib. s. 33—35.

⁴⁾ ib. s. 63—64.

grzebowa — i wszystkich ogarnia tryumfująca wesołość: on umarł, ale my żyjemy. Bardziej jeszcze obcą od śmierci indywidualnej jest myśl o śmierci powszechnej, o końcu historii i świata. Gdy myśl taka przyjdzie, nie wiemy, co z nią począć, ale przykro nam jakoś i straszno, trzeba ją odpędzić — i do hipotezy, być może prawdziwej o nieskończonej ewolucji wciągamy świadomie fałszywą teorię nieskończonego postępu na ziemi, jak gdybyśmy nie wiedzieli, że świat ten miał początek i że mieć będzie koniec. „Gdyby mię zapytano — pisze Mereżkowski — co współczesnemu, cywilizowanemu europejczycowi wydaje się najbardziej obcem, dzikiem, niepojętem, odpowiedziałbym: Koniec“¹⁾ Rosjaninowi zaś myśl o końcu, uczucie końca jest wrodzone, jak było wrodzone na przeciwległym, zachodnim krańcu Europy i stanowiło patos twórczości wielkiego Celta, Chateaubrianda. Uczucie końca przenika całą literaturę rosyjską. Na literaturze tej i w szkole rosyjskiej wychowany, uczucie to rozumiem i nietylko rozumiem: znajduje ono żywy oddźwięk w duszy Litwina, według dawniejszej terminologii, ściślej mówiąc — Polaka, w którego żyłach, jeśli nie po mieczu, to po kądzieli, po matce, babkach i prababkach, niezawodnie więcej jest krwi białoruskiej, niż polskiej i wraz z tem dużo tego zabląkanego marzycielstwa, które Ruś wniosła w pozytywnie, po ziemsku nastrojoną duszę polską. Pamiętam, jak wymownie niegdyś w kole przyjaciół rozwijał Henryk Sienkiewicz swoją myśl o dwóch typach polskich. Twardy i wytrwały, z jasną myślą i silną wolą, otoczony wrogami, a niezmordowany w walce i uparty w postanowieniu, zbudował Polak w wiekach średnich państwo swoje; ale nastąpiła unja z Litwą — i zmysł państwowy począł zanikać, rozcieńczyła się męskość od napływu owych pierwiastków, które Wschodem nazywamy i w których łączą się i kłócą kontrasty górnolotnego marzenia i gnuśnej obojętności na zło, mistycznych wzlotów i grubego materjalizmu, niewolniczej bierności i anarchistycznej swawoli.

Literatura rosyjska, ta dusza Rosji — pisze Mereżkowski — „jest eschatologią, religią Końca“. W Mereżkowskim

¹⁾ op. c. s. 15.

zaś eschatologiczne nastawienie myśli znalazło wyraz może nie najsilniejszy, ale najjaskrawszy. Mereżkowski zastanawia się, bada, rozmyśla, wyobraźnia jego leci w przyszłość, ale jej twory są to hipotezy, mające [pod sobą głębokie podstawy erudycji, domysły i fantazje, lecz nie wizje; nie staje on przed nami w roli proroka, czytającego w księgach przyszłości. Więcej czucia proroczego było u Dostojewskiego, ale było to zaciemnione ślepą nienawiścią do jednostek, do narodów, do wszystkiego, co nie jest albo rdzennie rosyjskie, albo przynajmniej gotowe do poddania się Rosji. U Rozanowa nie było powagi moralnej cechującej Dostojewskiego, rzucał na papier wszystko, co mu się nasuwało pod pióro, obok myśli, porywających nieraz genialną przenikliwością, błazeńskie wybryki; sam sobie co chwila przeczył i w tem się lubował. Prorokiem prawdziwym był ten, który tak doniosłe nadawał znaczenie piewiastkowi proroczemu w życiu dziejowem i tak głęboko w swoje własne powołanie prorocze wierzył — Włodz. Sołowjew. Łączył w sobie głęboką wiedzę, polot wieszczca, skupienie mędrca, żarliwość apostoła. W przededniu śmierci, w roku już 1900, napisał wstrząsającą opowieść o Antychryście i końcu historii. Wizje jego spełniają się jedna po drugiej. Zdawałoby się, że eschatologja pociągnąć może tylko ludzi religijnie myślących, albo, conajmniej, przejętych zagadnieniem religji, Turgenjew zaś stał poza wszelką religją, był agnostykiem; wśród pisarzy rosyjskich był najmniej rosyjski, a najbardziej zachodnio - europejski, był wrogiem stanowczym wszelkiego słowianofilstwa i nacjonalistycznego mesjanizmu, większą część życia spędził zagranicą, głównie w Paryżu, tam go ciągnęło serce, tam miał swoich bliskich i miłych przyjaciół: Flaubert'a, A. Daudet'a, braci Goncourt. A jaka jednak zmora ciążyła na nim, jakie nie francuskie, nie europejskie, lecz głęboko rosyjskie uczucie końca, jaka mistyczna, niezgodna z jego pozytywizmem trwoga wieje z jego „Wierszy prozą“!

Przypomnijmy rozmowę, którą prowadzą ze sobą dwa dziewicze wierzchołki Alp, albo ową chatę, gdzieś wśród stepów Rosji: noc, zebrało się w niej, niewiedzieć skąd, ludzi kilku; w niepokoju chodzą wzdłuż i wszerz, co chwila zaglądając do okna, jakby w oczekiwaniu czegoś strasznego. Kręci

się między nimi jakiś chłopczyk: „Ojczulku, boję się“ — woła... „I ja się zaczynam bać, sam nie wiem czego. Tylko czuję, że idzie, że zbliża się wielka, wielka bieda“. Aż tu chłopak podskoczył do okna i krzyczy żałośnie: „Patrzcie, patrzcie, oto zawałiła się ziemia!“. Tak, rzeczywiście zawałiła się; chata stała na równinie, teraz stoi jakby na wysokiej górze, nad bezdenną przepaścią, a z przepaści podnosi się woda, rośnie, zbliża się, to morze, już ją zalało, pędzi do nas, wichrem mroźnym obejmuje, wszystko wokoło drży, huczy, szaleje. Wycie jakieś słyhać, to ziemia zawyla ze strachu; to koniec ziemi, koniec wszystkiego...

Eschatologja nie nastraja na nutę wesołą. Wśród wielkich myślicieli i pisarzy rosyjskich jeden jest tylko książę Eugenjusz Trubecki, dla którego myśl o końcu nie źródłem strachu była, lecz ukojeniem wielkiem w niezmiernym bólu. „Katastrofa, którą przeżywa Rosja — pisał on w przepięknej książce swojej „Smysł Żizni“ — jest tak straszna, że z tekstami Pisma św, w ręku moglibyśmy, ze wszystkimi pozorami prawdopodobieństwa, przepowiadać zbliżający się szybkim krokiem dzień Sądu Ostatecznego“. Tylko bliskość tę, zastrzegał się, rozumieć należy metafizycznie, nie zaś mierzyć ją po ludzku dniami i latami. Gdy się wali, rozwijał on myśl swoją, porządek społeczny, gdy w niwecz się obracają wszystkie wartości rzeczy znikomych i zmiennych i wraz z niemi wszystkie utopje, oznacza to, że królestwo Boże jest tuż za drzwiami, albowiem przez zerwanie z tem, co jest względne i utopijne, zbliżamy się do tego, co jest wieczne i absolutne: w wewnętrznym świecie człowieka dokonywa się przewrót, przenoszący wszystkie myśli, pragnienia i nadzieje z jednego planu bytu do innego, wyższego. Dlatego to myśl eschatologiczna, która nawiedza nas w epokach wstrząśnień, przygniatających ogromem nieszczęścia, jest, w pojęciu Trubeckiego, myślą radosną, brzmiącą wezwaniem do wytężenia sił wszystkich w budowaniu tego, co jest wieczne, bo bliski jest dzień, w którym wysiłki nasze uwieńczone będą koroną tryumfu w Królestwie Bożem.

Na przeciwległym krańcu stanął Mereżkowski. Moznaby pomyśleć, że to właśnie jego jakby przeczuł Turgenjew, wkłada-

jąc swoje przerażone słowa do ust owego nieznanego wędrowca w owej tajemniczej chacie, w chwili ostatniej katastrofy, spadającej na ziemię. I nie dziwi nas przerażenie Mereżkowskiego, skoro o końcu Atlantydy pisze, jakgdyby własnymi oczami na to patrzył. Atlantyda Platona, to ów wiek złoty, za którym wzdychają poeci, to rozkwit wszystkich duchowych zasobów człowieka, tryumf jego pomysłowości, wyraz magicznej jego władzy nad naturą: miasta ogromne, naokoło mury i wały olbrzymie, jakby przez cyklopów czy tytanów stawiane i sypiane, kanały podziemne, które schroniskiem są dla okrętów, arsenały i koszary, miejsca dla igrzysk, szkoły i pałace, ogrody, wabiące „boskiem pięknem i wysokością drzew“, wspaniała cisza Akropolu, skąd państwem swoim rządzi król Atlantydy, dobrobyt powszechny i pomyślność w tym rajach ziemskim o ustroju komunistycznym, ale nie bolszewickim, t. j. bez terroru militarnego i policyjnego, stworzonym wspólnymi, szlachetnymi wysiłkami mężów, podobnych do bogów (andres theioi), którzy przyboczną Radę króla stanowią. I wszystko to nagle w nurtach oceanu zapadło! Dlaczego? Platon nie dość wyraźnie o tem mówi, wyraźniejszą jest księga Henocha ¹⁾. Zginęli, bo wzbili się w pychę, wpadli w obłęd pychy i zdało się im, że są równi bogom, że przeto są ponad prawem, ponad dobrem i złem, więc pograżyli się w rozpuście, że zaś każdy z osobna „miał się za Boga i gotów był wszystkich innych sobie w ofierze przynieść“ ²⁾ więc powstał jeden przeciw drugiemu, zwarjował świat w wojnie wszystkich przeciw wszystkim, zwarjowała pierwsza ludzkość i Bóg w gniewie zmiotł ją z oblicza ziemi.

Dziś zwarjowała ludzkość druga, żyje rozpustą i wojną, musi spaść na nią kara, musi zginąć, ale zginie nie od potopu i nie od ognia z Nieba; narzędziem kary będą jej własne narzędzia, „czarna magja mechaniki“, która podbiła naturę, opętający zaś, którzy, podbiwszy kraj, stanowiący szóstą część kuli ziemskiej, wypowiedzieli wojnę Bogu, będą biczem Bożym, aż sami legną pod zwaliskami zburzonego świata.

¹⁾ ib s. 90, por. też r. IV s. 68—79.

²⁾ ib. s. 150.

Na tem mógłby Mereżkowski rzecz swoją zakończyć, gdyby wzięte z Platona podanie o Atlantydzie, zajawszy przypadkiem wyobraźnię jego, nasunęło mu porównanie Atlantydy ze światem dzisiejszym i gdyby pomysł ten uznał on godnym przelania na papier. Ale zestawienie obu światów nie jest czemś u autora przypadkowym. To intuicja, podsycana pracowitą i wszechstronną lekturą w zakresie historii i filozofii religii, w których myśl rosyjskiego pisarza stale przebywa — i intuicja ta staje się punktem wyjścia do szeregu rozmyślań i uwag o istocie religii i przeznaczeniu człowieka.

Pamięć o potopie przechowały wszystkie ludy starego i nowego świata, nigdzie zaś nie była tak żywą, jak w Ameryce środkowej. Jeden ze staro-meksykańskich kodeksów ustanawia 8-dniowy post raz na cztery lata „na pamiątkę tego, że świat trzy razy zginął”¹⁾. „O Boże — czytamy tam — zmiłuj się nad nami i nie chciej nas gubić!”. Czy nie wolno w tem widzieć dowodu, czy jednego z dowodów, że tajemnicze co do pochodzenia swego cywilizacje Meksyku i Peru są w związku z Atlantyda, że początek im dać mogli zbiegowie, którzy zdołali ująć cało z powszechnej katastrofy? Potop był oczywiście w pojęciu powszechnem karą Bożą. Bóg jest wszechmocny i gniewny; trzeba go przebłagać ofiarą, ale jaką? Ofiarą z siebie. Wieki chrześcijańskiego wychowania wpoily to w nas, że Bóg jest przede wszystkim Miłością i że niemasz dla Boga ofiary milszej, jak serce, miłujące Go i czyste, albo serce, skruszone żalem za grzechy i uniżone. (Cor humiliatum et contritum Deus non despicias).

Ale nie odrazu wzniosła się myśl ludzka na tę wysokość, jeśli zaś uznać, że było to objawione człowiekowi z wyżej, to objawienie owo odrzucił on, albo o niem zapomniał, czyli odpadł od Boga, a odpadłszy, usiłuje powoli drogą trudów i cierpień i łez do Niego wrócić. Rzecz dziwna, że tę koncepcję stosunku człowieka do Boga, prostszą w swej treści i głębszą od wszystkich innych, streszczoną w dogmacie o grzechu pierwotnym, Mereżkowski pomija, ale tem straszniejszą staje

¹⁾ ib. s. 120.

się w jego ujęciu religja, nie ta, którą my wyznajemy, uszlachetniona, oczyszczona i uświęcona, lecz w pierwotnych postaciach swoich, zakrwawionych krwią niewinnych ofiar. Ponieważ ofiarować Bogu powinien człowiek to, co mu jest najdroższe, więc niechże zaczyna od swego własnego potomstwa (ofiara Abrahama), albo od wrogów swego plemienia czy rodu, którzy tem samem są wrogami Boga lub bogów prawdziwych, których on wyznaje.

Nigdzie perwersja religji, która, wyobrażając sobie, że oddaje cześć Bogu, bije czołem przed antytezą Boga, djabłem, nie dosięgła rozmiarów tak obrzydliwie strasznych, jak w starożytnej Ameryce, w Meksyku. W nocy — opowiada Merezkowski ¹⁾ — przy świetle pochodni kapłan, obwinięty w płaszcz czarny i z czarnem pokryciem na głowie, prowadzi przeznaczoną Bogu ofiarę po schodach olbrzymiej, piramidalnej świątyni, aż na sam jej szczyt, do kaplicy Boga - Słońca (Huitzlopochtli). Tam ofiarę tę, ze spętanymi rękami i nogami, układa na kamieniu — monolicie, tak, że z jednej strony zwisły jej ręce, nogi z drugiej, poczem wbija jej w pierś nóż z krzemienia i wyjąwszy żywe, drgające jeszcze serce, pali je na ogniu, krwią jego smaruje usta okrutnego Boga i skrapia ściany świątyni. 80.000 ofiar ludzkich padło z okazji poświęcenia głównej świątyni w stolicy państwa, przeciętna zaś ich liczba w ciągu roku wynosiła 50.000. Uroczyste procesje ofiar rozciągały się na przestrzeni kilku kilometrów, kilka dni trwało zarzynanie ich, wznoszono góry z czaszek ludzkich. „Mniej śmierdzą — pisze podróżnik hiszpański — nasze rzeźnie w Kastylji, niż świątynie te ze ścianami, pokrytymi krwią spiekłą i podłogami, zalanymi krwią płynącą“. Wojny, które prowadził Meksyk, były na wielką skalę łowami na ludzi, chodziło o jak największą ilość jeńców, o ich ciepłe, żywe serca, ażeby dogodzić chciwemu krwi bogu. W tych krwawych hekatombach ludzkich okrucieństwo kojarzyło się, jak świadczą rysunki ówczesne, z najobrzydliwszą lubieżnością, jedno zaś łącznie z drugim miało swój ukryty mistyczny sens, było teofagją, wejściem w ścisłą jedność z bogiem przez picie tejże krwi, którą

¹⁾ ib. por. s. 137 — 142.

on wypijał. Czy te krwawe orgje na cześć krwiożerczych bogów nie dowodzą, że naród cały zwarjował i że w obłędzie tym wydało mu się jasnym, jak dwa razy dwa cztery, że Bóg jest djabłem ¹⁾? Wśród znamion zaś owych bogów spotykamy krzyż w świątyni Palanque, widzimy go na głowie rogatego boga, podobnego do Minotaura; na krzyżu siedzi potworny jakiś bóg - ptak z ogonem cietrzewia, szponami kondora i głową tapira; na uroczystościach boga Tlaloka krzyżowano człowieka i dobijano go pałkami, a krzyż, do którego był przybity, nazywał się drzewem życia! Hiszpanie, widząc tyle krzyży, radowali się zrazu, wnosząc stąd, że aż do Meksyku dotarł św. apostoł Tomasz, ale gdy się przyjrzeni, ogarnął ich strach: czy nie było to sparodjowaniem, przewróconem odbiciem Chrześcijaństwa w jakimś djabelskim zwierciadle, bo tylko djabeł mógł tak sprofanować krzyż Pański! ²⁾.

Złagodźmy ponury ten obraz, dodając, że znał Meksyk także dobrego Osirisa, pod nazwą Quetzalcoatl, boga zarazem i człowieka, bo jako człowiek się narodził, a czysty był i niewinny, jak dziecko, nauczał ludzi miłować się wzajemnie, bogom zaś przynosić ofiary niekrwawe: kadzidła, kwiaty, owoce i własne, wolne od skazy serca. Stwarzał on raj na ziemi, ale źli bogowie namówili złego czarownika, aby ludzi przeciw niemu podburzył. Wtedy odszedł on od nich tam, skąd przyszedł, do kraju wschodzącego słońca za oceanem. Przechowało się o nim podanie, że był biały i długą miał brodę — i gdy ujrzeli Meksykanie Corteza i jego towarzyszy, przyjęli ich z radością, sądząc, że od niego przyszli. Ale Hiszpanie poczęli ograbiać ich, męczyć, zabijać; „czy nie przełękli się wtedy krzyża chrześcijańskiego, jak przybysze-chrześcijanie przełękli się ich pogańskich krzyżów?“ ³⁾.

Słowem, z obrazu, jaki nam dał Mereżkowski, wynikałoby, że religje nietylko nie są wyrazem wyższych pierwiastków ducha ludzkiego, ale, przeciwnie, są szalem dzikim i krwawym, przekleństwem i nieszczęściem. Jakżeż wyjść z szalu tego

¹⁾ ib. s. 523.

²⁾ ib. s. 141.

³⁾ ib. s. 148.

oblędu? Bóg sam znalazł dla nas środek; tym środkiem — krwawa ofiara Syna Bożego. Ale, rozumuje autor, zastanówcie się nad tem: „Syn Ojcu krew swoją ofiarował, Ojciec krew Syna przyjął, Ojciec zaś i Syn są jedno, czyli Bóg siebie zamęcza i tem człowieka zbawia! Nie dość tego: ciało i krew Bożego Syna spożywamy w mistycznej ofierze: caro, cibus, sanguis, potus; aby coś podobnego wyobrazić sobie, trzeba wprawdzie oszaleć i rzeczywiście ludzie szaleli od początku i szaleć będą aż do końca“ ¹⁾).

Słowa te mogą w pierwszej chwili wydać się bluźnierstwem, ale w rzeczywistości streszczają, nadając temu formę prowokującego paradoksu, mistyczny hymn kościelny: Quod non capis, quod non vides — animosa firmat fides — praeter rerum ordinem. I zaraz potem dodaje autor, że szaleństwo tu nie jest szaleństwem, nie jest przypadkową halucynacją kilku jednostek, ale od początku żyje to w świadomości człowieka; dowodem tego są misterja starożytne.

W poprzedniej swojej pracy „Tajemnica trzech“ (1925) Mereżkowski przedstawił misterja Egiptu i Babilonu. Cała jego twórczość literacka świadczy — przypomnijmy „Cara Piotra i Aleksego“ — o zdumiewającej przenikliwości, z jaką on się wglębiać i wczuwać umie nietylko w istotę religji, ale i we wszelkie zboczenia uczucia religijnego. Podobnie i tym razem, mówiąc o misterjach Wschodu, bez odrazy wprowadził nas w ich odrażające szczegóły, ponieważ i one służyć miały do uwypuklenia ich myśli przewodniej, streszczającej się w śmierci i zmartwychwstaniu Boga ²⁾): „Na 3.000 lat przed Chrystusem uczestnicy ich wiedzieli więcej o nim, niż ci wszyscy, co go dziś odrzucają“ ³⁾). W Atlantydzie mamy obraz misterjów Grecji: Jeśli Hellenizm jest wierzchołkiem świata starożytnego, a szczytem jego najwyższym — Ateny, to największą rzeczą, jaką Ateny stworzyły, są misterja Eleuzyńskie ⁴⁾), obdarzające nas, jak to stwierdził nie entuzjasta jakiś, lecz rozumny, trzeźwy Ciceron, nietylko radością życia, ale i nadzieją śmierci, lepszej

¹⁾ ib. s. 426.

²⁾ „Tajemnica trójcy“ (Tajna trzech), por. s. 360 — 7.

³⁾ ib. s. 156.

⁴⁾ „Atlantyda“, ib. s. 380 — 382.

jeszcze, niż życie¹⁾). Uznać więc należy owe misterja za ukoronowanie i zakończenie rozwoju religijnego przedchrześcijańskiej ludzkości. Tak sądzi Mereżkowski, misterjum cierpiącego boga rozciągnęło się, zdaniem jego, niby cień olbrzymi, przez wszystkie wieki i narody, ażeby leż u stóp Chrystusa. Pogańscy przodkowie nasi „wiedzieli, że Chrystus będzie tak, jak my wiemy, że on był“. Słusznie więc twierdzi Zieliński, że „prawdziwym starym zakonem naszego chrześcijaństwa jest religja Hellenów“²⁾. Patrząc na poruszający się na białej ścianie czarny cień człowieka, możemy nietylko poznać samego tego człowieka, ale i to, co on robi; podobnież według symbolów, które mamy w starożytnych misterjach, poznajemy nietylko samego Chrystusa, ale i to, co on dokonać miał. Ten „rzucony wstecz, aż do początku świata, do Atlantydy, cień jest czemś tak niewypowiedzianie dziwnem, cudownem, że ludzie niewierzący, spostrzegłszy to, zrozumieli, że zostawało im do wyboru jedno z dwojga: albo uwierzyć w cud, albo spróbować zniszczyć samo to ciało, co rzuciło cień — historyczną postać Chrystusa“. Próbowano tego, ale za pomocą środków tak niegodnych, że mogły one przekonać tylko ślepych fanatyków, albo ludzi źle rozumiejących, co to jest historia?... Czy Chrystus był? Pytanie to mogło przyjść do głowy takim tylko, których rozum już przedtem zaćmiewało pragnienie, aby Chrystusa nie było. Cud Chrystusowy w starożytnych misterjach był dla nich takim bielmem na oku, że woleli odrzucić historję, niż ją przyjąć z tym cudem³⁾. Słowem, „w Chrystusie zawarło się misterjum historii“... „Ja jestem Alfa i Omega, początkiem i końcem“. Ale czy słowa te, wypływające z toku myśli Mereżkowskiego, czy to przeświadczenie o prawdzie Chrześcijaństwa, które z taką energją przekonania wygłasza, jest rzeczywistem dla myśli jego i duszy ukojeniem? Może się mylę, lecz z dzieła jego odnoszę nieraz wrażenie, że w głębi duszy onby wołał, aby to, co jako prawdę uznał i głosi, prawdą nie było; sposób,

¹⁾ ib. s. 514.

²⁾ Por. „Hellenizm a Judaizm“ (Warszawa, 1927).

³⁾ ib. s. 514 — 515.

w jaki on prawdę tę przedstawia, nie ukojeniem, lecz nieraz obrzydzeniem, a zawsze dreszczem niepokoju przejmuje czytelnika. Po przeczytaniu „Atlantydy“ chciałoby się zapomnieć o tem, rozwiać posępne obrazy i myśli, które w miarę czytania nagromadziły się w duszy, chciałoby się iść gdzieś w pole, w las, położyć się w cieniu, wsłuchać się w ciche szumy drzew; niech swą cichą pieśnią kołyszą, niechaj niosą owe rzeczywiste, głębokie ukojenie pólenu, pólisnienia, wiekuistego przechodzenia z pamięci w niepamięć, z bytu w niebyt... Ale życie woła. Przyjęliśmy tajemnicę religji — i przyjąwszy to, co ze stanowiska pospolitego rozsądku wydaje się szaleństwem, „przyjmijmy także jej mądrość, jej ekstazę“¹⁾. I zapominając o głębiach i wysokościach życia religijnego, kwitnącego w zakonach kontemplacyjnych, Mereżkowski wygłasza, że chcieć dać uczuć człowiekowi nowoczesnemu istotę ekstazy jest rzeczą równie daremną, jak śiepemu z urodzenia mówić o słońcu. Zamiast szukania szczęścia w Bogu, widzimy kult diabła, świadomy w mszach czarnych, nawpół świadomy w teozofji, tej „półbogini, półtajdacze“, nie uświadomiony u tych, co chcą wojny czyli nowych krwawych ofiar milionów ludzi na cześć Molocha.

Orgje rozpusty i orgje okrucieństwa: ludzie zawsze i wszędzie wojowali, a część ich zawsze i wszędzie szukała Sodomy, ale takiej wojny, jak ostatnia, i takiej Sodomy, jak ta, na którą dziś patrzymy, nigdy i nigdzie dotychczas nie było²⁾. Dobrze to stare i zapomniane czasy, gdy młode wyobraźnie porywali rozkochany Romeo, wesóły uwodziciel Don Juan, melancholijny Werter, dumny świadomością swej wyższości i sił, którym za ciasno na świecie, René wraz z plejadą bohaterów Byronowskich. „Bohaterem czasów naszych“ jest bohater Charles Proust'a, ten wykwit kultury, „którą dawniej chrześcijańską, dziś europejską nazywają“; wykształcony, wytworny, utalentowany, schodzi on aż na dno upadku moralnego. Należy do gatunku ludzi, który choć de jure wykluczony ze społeczności, jest wszędzie i stale się rozmnaża; ma wiernych swoich w społe-

¹⁾ ib. s. 450.

²⁾ ib. s. 199.

czeństwie, w wojsku, w kościele, na tronach i w katorgach: „Nie byłoby dziś potrzeby odbudowywania zburzonej Sodomy, gdyby to komu do głowy przyszło; Sodomę widzimy wszędzie“.

I nie byłby autor Rosjaninem, gdyby przy sposobności tej nie poruszył zagadnienia płci. Poświęcił temu połowę dzieła. Pomijam to, a przytaczam konkluzję: rozpusta i wojna, niby dwa końce jednego sznura — „zbliżają się, aby, się złączyć w pętlę śmierci na karku drugiej ludzkości tak, jak niegdyś pierwszą ludzkość uśmierciły“ ¹⁾. „Była Atlantyda, będzie Apokalipsis“ ²⁾.

A co Kościół na to? Świat drży ze strachu przed prawdą i Bogiem, Kościół przestraszył się przestraszonego i z Niebem pokłóconego świata. „Proch i pył“ były pokarmem zmarłych w staro-babilońskim piekle; dwa tysiące lat przyzwyczajenia zrobiły to, że dla chrześcijan dzisiejszych prawda Chrysturowa—straszno to wymówić—jest pokarmem dla zmarłych, prochem i pyłem“... ³⁾

Więc niema nadziei, ale jakże trudno z beznadziejnością się pogodzić?

„Kończę książkę tę o Atlantydzie - Europie—czytamy na początku ostatniego rozdziału ⁴⁾ — w święto Bożego Narodzenia, nad brzegiem Śródziemnego morza, u stóp Alp Liguryjskich Są to najrozkoszniejsze dni roku, cicho, jak w Raju, cichem, pogodnem latem pachną aleje cyprysowe. Różowe, śnieżne wierzchołki Alp toną w niezemijskim jakimś świetle, niby w chwale Przemienienia. Zdaje się, że wiek złoty gdzieś się tu ukrył w tych rajskich dolinach, że Niebo schodzi na ziemię, jakbyby na ziemi już się wszystko skończyło i gotowe było do przyjęcia Królestwa Bożego, Serce tu wierzy w złoty sen ludzkości, w wiek złoty, ten, co był, i ten, który będzie, i płakać się chce z radości i ze smutku: radość stąd, że wszystko to było i jeszcze będzie, smutek — że było to tak dawno i będzie tak nieprędko“.

¹⁾ ib. s. 211.

²⁾ ib. s. 187.

³⁾ ib. s. 528.

⁴⁾ ib. s. 508 — 509 (przytaczam to w skróceniu).

Bawiąc w Paryżu z powodu 400-lecia Collège de France, odwiedziłem Mereżkowskiego. Niewielu znam ludzi tak niezmiernie sympatycznych w obcowaniu i tak niezrównanie świetnych w rozmowie. Przy rozstaniu, jak zawsze, gdzie i kiedy znowu się spotkamy? „Może w Wilnie — mówił, śmiejąc się Mereżkowski — zatrzymamy się tam, gdy wracać będziemy do Petersburga“. — Podchwyciła to jego małżonka, niepospolicie utalentowana poetka i literatka Zenaida Hippus: „Czy to możliwe? Jak pan sądzi? Pan miewa nieraz tak trafne przecucia czy przewidywania“. — „Niestety, uczucie końca, choć Polak, mam niemniej żywe i głębokie, niż Rosjanin Mereżkowski, to zaś, na co się patrzy i co się widzi, w uczuciu tem utwierdza. Tam świadome i fanatyczne poddanie się ciemnym mocom historii, konkretniej mówiąc, osobie czy idei diabła, potężna w tym celu organizacja fanatyzmu, która, dzięki potędze tej, nietylko tam, ale i u nas pociągnąć umie i opętać umysły młode, nie kultem diabła — wyraz ten niejednego odstrasza — lecz kultem maszyny, na miejscu opróżnionem przez Boga postawionej, maszyny, w której jednostka ludzka jest bezmyślnem, bezwolnem kółkiem, nakręcanem, jak zegar, w oznaczonej porze na oznaczony czas. Z naszej zaś strony żadnego celu, żadnej idei, wieża Babel narodów i języków, każdy czegoś innego chce, a wszyscy tylko jedno mają w głowie: coś im tam, w Sowietach, zbyć, choćby na kredyt, choćby tylko cząstkę długu zapłacić mieli. Czy nie nasuwa to rozpaczliwego wniosku, że zwycięstwo należeć musi do tych, co wiedzą, czego chcą, że przeto“... „Wspomniałeś Pan — przerwał mi Mereżkowski — o kuicie maszyny i człowieka-automatu, który w maszynie tej jest kółkiem. Dodam, że ta nowa religja, czy raczej antyreligja, jest jeszcze, wstrętniejsza, niż się wydaje. To gorzej, niż materjalizm, to żąda pozbycia się swego ja (wola bezlicznosti), nie być sobą — w tem się streszcza dziś wola nasza¹⁾. I gdyby w tem była odrobina poezji panteistycznego rozplywania się i zatracania w pięknie nieskończonego

¹⁾ Niedawno wyszła powieść, wystawiająca przyszłą automatyzację cywilizacji i człowieka - automata „Das Automatenzeitalter“, Amaltea Verlag

wszehświata, albo, jak w buddyzmie i u Schopenhauera, poważny, surowy wysiłek woli, wyzwalającej się z jarzma cierpienia i bytu! Nic podobnego, to obrzydliwa karykatura i panteizmu i buddyzmu, to zamach na istotę człowieka, na jego godność i szczęście:

Höchstes Glück der Erdekinder
Sei nur die Persönlichkeit..

powiedział Goethe i jakby w przeczuciu dzisiejszej epoki i uosabiającego ją bolszewika, czy bolszewizmem zarażonego półbolszewika, dodawał:

Alles könne man verlieren,
Wenn man bleibe, was man ist!

Tak, lepiej wszystko stracić, niż przestać być sobą, człowiekiem żywym, z duszą, myślą, wolą. Wpierw poczuć muszę, że ja jestem, zanim poczuję i powiem, że jest Bóg. Ale z wyżyn człowieczeństwa spadamy ze wzrastającą szybkością rzuconego kamienia w otchłań nicości. „Jak pusto, jak straszno na tym Bożym świecie! — mówił Gogol“... „Takiej jednak pustki — ciągnął dalej Mereżkowski — takiego opuszczenia, jak dziś, nie było jeszcze od początku świata“. — A czy nie świadczy to — powiedziałem — o końcu historii? Czy możliwość powrotu do Petersburga nie jest w sprzeczności ze wszystkim, co przemyślałeś Pan i napisałeś? Chyba to jedno na pociechę powiedziećby można, że logiczność przepowiedni nie jest jeszcze dowodem jej przyszłego urzeczywistnienia: logika historją nie rządzi“. „A zatem — Mereżkowski na to — nie traćmy jeszcze nadziei, może spotkamy się w Wilnie“.

XIV.

KRYZYS KULTURY

(Odczyt wygłoszony w Poznaniu 28 marca 1933 r.).

Przeżywamy kryzys nietylko ekonomiczny, ale i duchowy, czyli kryzys kultury, opartej na odwiecznych zasadach religii, rodziny, własności. W oczach naszych, o miedzę od nas, zło święci swój największy w dziejach tryumf; wichur zniszczenia wieje stamtąd, pożar zagarnia coraz szersze przestrzenie, obejmuje świat i nie wolno nam się łudzić, że cudem jakimś ominie on Polskę, nie wolno zamykać oczu na niebezpieczeństwo, właśnie nam, wskutek naszego położenia geograficznego, bezpośrednio grożące, nie wolno tem sobie pocieszać, że ginąca z nędzy i głodu sowiecka Rosja nie jest zdolna do ofensywy. Nędza i głód nie są dla tych, co tam rządzą, wrogami; przeciwnie, są pożądanymi sprzymierzeńcami; im mniej ludzi do nakarmienia, tem lepiej; łatwiej będzie utrzymać armję, a oni, warstwa rządząca, opływać będą w dostatki. O to więc im chodzi, aby jaknajznaczniejsza ilość wymarła z głodu. W tym celu, pod pozorem skontrolowania paszportów wewnętrznych, rozpoczęto tam akcję na wielką skalę; wszystkie, według terminologii sowieckiej, elementy niepożądane (nieżelatelnyje elementy), czyli nie dość hałaśliwie prawomyślne zostaną usunięte. Komu nie dadzą paszportu, czyli prawa na pobyt w obu stolicach i kilku większych miastach, ten niech się wynosi gdzieindziej. W ten sposób ludność samej tylko Moskwy zmniejszy się o kikaset tysięcy. Ale dokąd ci nieszczęśliwi mają iść, które miasto, czy miasteczko, odważy się ich przyjąć i tem samem narazić się na podejrzenie

o niedość wyraźną prawomyślność? Słowem, około dwóch milionów zginie, raczej już ginie z głodu i chłodu w beznadziejnej tułaczce pod gołym niebem. Takiej energii, równie bezwzględnej i okrutnej, jak podłej, w dążeniu do wytkniętego celu nie znajdziemy dziś nigdzie, w żadnym kraju, w żadnym społeczeństwie.

I tem bolszewizm imponuje.

Jest on potęgą, potęgą olbrzymią. To nowe Credo, nowy Zakon, nowa religja, znajduiąca głęboki odgłos w duszach mas, bo wyzwalając wszystkie instynkty i apetyty, dając upust wszystkim zazdrościom i nienawiściom, obiecując zniszczenie wszelkiej tyranji, otworzyła ona warstwom upośledzonym w chwili swego zwycięstwa jakby dostęp do raju na ziemi ¹⁾. Ale od zwycięstwa bolszewizmu minęło lat 15, a kapłani i prorocy tej nowej religji, albo raczej kontrreligji, nietylko żadnej z obietnic swoich nie spełnili, lecz stworzyli stan rzeczy, będący absolutnem przeciwieństwem tego, co obiecali. O tem ten, kto nie był w Rosji, nie wie i najczęściej wiedzieć nie chce; z tych zaś, co byli, jedni w dobrej wierze i z zachwytem wysławiają to, co im łaskawie pokazano; inni kłamią bezczelnie, bo ich przekupiono; albo kłamią cynicznie, jak Bernard Shaw, z zamiłowania do sztuki kłamania; bawi ich, że biorą na kawał nawet inteligentnych czyteiników, umiejętnie prawiąc im bzdurstwa.

Powodzenie zaś i bezkarność działają zaraźliwie i prestiż Sowietów rośnie z roku na rok. Już w r. 1921 wybitny geograf, antropolog i podróżnik francuski, A. F. Legendre, przepowiedał, że prestiżowi, opartemu na zorganizowanym, systematycznym i bezwzględnym terrorze, ulegnie Europa i, jakby w stanie hipnozy, stopniowo tracić będzie oporność swoją ²⁾. Czy nie jest bolesnym widok pisarza tej miary, co Romain Rolland, którego czciliśmy, jako idealistę o wyjątkowo wysokim poziomie etycznym, a który dziś nie wstydzi się występować jako

¹⁾ A. F. Legendre: „Quo vadis Europa. Tour d'horizon mondial”. (Paris, Payot, 1933), str. 54 — 55.

²⁾ Op. c str. 70.

pokorny sługa Sowietów, jako chwalcą ich dzikości i podłości, ich bezceństw i okrucieństw!

Słowem, z tamtej strony widzimy zaciekłość fanatyzmu, gwałtowność niezmordowanej energii, żądę panowania nad światem, rozległe zdobywcze plany — i czem my na to odpowiadamy? Wątpliwościami naszymi, naszą letnią, słabą wiarą w zasady, na których stać mamy, sceptycyzmem, biernością i chwiejnością.

Biskup anglikański, dr. Gore, zastanawiając się nad strasznym eksperymentem okrutnej wiwisekcji, dokonywanej na żywym ciele Rosji, słusznie stwierdził, że prawdziwa groza wojny objawia się nie w czasie wojny, lecz po niej, wojny bowiem zawierają w sobie pierwiastki uszlachetniające — i dopiero okresy powojenne stają się widownią głębokiego upadku moralnego; są one przekleństwem świata. „Wyznaję — dodawał — że nigdy nie doznawałem takiego niepokoju, jak teraz, takiej udręki“¹⁾.

Było to pisane w r. 1919 pod świeżym wrażeniem tryumfów bolszewizmu w Rosji. Podobnym niepokojem, ale w stopniu nierównie większym, zadreślał się dużo wcześniej, przed rewolucją i przed wojną, w ostatnich latach zeszłego stulecia, wielki myśliciel, największy z tych, których wydała Rosja, wielki zarazem poeta-liryk, dziwny człowiek, obdarzony darem jasnowidzenia, którego nie zawahałbym się postawić obok proroków Izraela, jako proroka Nowego Testamentu — Włodzimierz Sołowjew. Przeczował on, odczuwał i przepowiedział to, czego my dziś jesteśmy świadkami.

W lutym r. 1880, będąc jeszcze studentem uniwersytetu petersburskiego, dowiedziałem się z wywieszonego tam ogłoszenia, iż w najbliższą niedzielę publicznie bronić będzie na stopień doktora filozofji rozprawy swojej o zasadniczych pryncypach filozofji i życia nieznanym mi wówczas z imienia Włodzimierz Sołowjew.

Uzyskanie doktoratu było w owych czasach w Rosji rzeczą trudną. Od ubiegającego się o to kandydata wymagano

¹⁾ Lothrop - Stoddard: „Le flot montant des peuples de couleur“, (Paris, Payot), str 169

rozprawy, rozmiarami dużej, która, świadcząc o rozległej wiedzy i drobiazgowej erudycji autora, zarazem wzbogacałaby naukę nowymi faktami, oraz samodzielnością i oryginalnością pomysłu. Nie wszyscy profesorowie wyższych uczelni posiadali stopień doktora.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego doznałem, ujrawszy młodego doktoranda na katedrze. Nic podobnego nie spotkałem ani przedtem, ani potem; twarz typu Chrystusowego, włosy długie, ciemne, brwi gęste, oczy zapatrzone w dal, postać wątła, wyniosła, uduchowiona. Zdawało się, jakgdyby z innego przybył świata i znalazł się w obcym mu otoczeniu; nie patrzył, nie widział ani uczonego areopagu profesorów przed sobą, ani licznej poza nimi publiczności. Oponentom swoim urzędowym i nieurzędowym odpowiadał, bo odpowiadać musiał, ale czynił to z widocznie przykrym dla siebie wysiłkiem; wszak między nim a nimi rozciągała się przepaść, jakże więc miał mówić im o rzeczach, które jemu tylko rozumiały były i znane. „Ktokolwiek—pisał o nim po jego śmierci jego przyjaciel, a myślą bliski mu filozof książę Eugenjusz Trubecki—widział go choć raz jeden w życiu, temu na zawsze utrwalił się w pamięci obraz człowieka całkiem niepodobnego do zwykłych śmiertelnych. Już w zewnętrznej jego postaci, szczególnie zaś w wyrazie dużych, pięknych oczu, uderzało jedynie w swoim rodzaju skojarzenie niemocy i siły, fizycznej bezradności i duchowej głębi. Wzrok miał tak krótki, że nie widział tego, co widzieli wszyscy inni; przymrużał oczy, aby rozróżnić rzeczy, leżące tuż przy nim, ale gdy oczy te skierowywał w dal, zdawało się, że przenikały poza powierzchnię dostępną zmysłom i widziały to, czego nikt inny nie widział, coś pozazmysłowego, pozaświatowego. Oczy te promieniały światłem wewnętrznym i patrzyły prosto w duszę tego, z kim mówił; było to spójrzanie człowieka, którego zewnętrzna strona rzeczy nic nie obchodzi. W porównaniu z tym wyższym światem, który przepelniał jego duszę, nasza nędzna rzeczywistość budziła w nim uczucia to nudy, to smutku, to nieraz rozpacz. W towarzystwie umiał godzinami całymi milczeć; jedni brali to za pogardę, innych ogarniał jakiś lęk przed tem dziwnem, niezwykłym zjawiskiem, tym wysłańcem z tajemni-

czych krain. Sądzę, że byli to ludzie, których sumienie nie było czyste.

W zaraniu swej twórczości Sołowjew święcie wierzył w mesjańskie posłannictwo Rosji. Europa, zdaniem jego, znajdowała się w stanie rozkładu, dowodem tego był w zakresie myśli filozoficznej ignorujący Boga pozytywizm, w zakresie myśli społecznej—socjalizm, wyrzucający myśl Bożą ze świata. Tylko cud mógłby Europę wybawić, tym cudem będzie Rosja, jako naród wybrany, „naród-pośrednik między rodem ludzkim, a nadludzką rzeczywistością“.

Z tego błędnego, mistycznego snu obudziły go rzędy Aleksandra III: z jednej strony reakcja polityczna, usiłująca stłumić w Rosji wszelkie objawy myśli niezależnej, z drugiej—rozpętanie dzikiego nacjonalizmu w stosunku do narodowości, wchodzących w skład imperjum. Wierny syn prawosławia stwierdzał z uczuciem dotkliwego bólu, że kościół urzędowy był tu tłumaczem i obrońcą polityki państwowej, gorzej jeszcze, był posłusznym narzędziem w ręku policji. Słowem, zamarło w nim życie. Sołowjew stanął zrazu w obronie prześladowanych sekt. Ale wkrótce potem, gdy przyszła kolej na katolicyzm, oświeciła go myśl, która stała się niemal pochodnią jego działalności. Nie wyrzekając się wiary w posłannictwo Rosji, czynił je odtąd zależnym od wypełnienia świętego obowiązku, od aktu wielkiej, przez dzieje wskazanej ofiary. Ofiarą tą byłoby wyrzeczenie się pychy narodowej i przystąpienie do jedności z Kościołem katolickim.

Ale jakże daleką od tego była Rosja! Tem bardziej zaciął się on w myśli swojej. W bizantyńskim carsławiu pierwiastków zbawienia nie widział i Jeremjaszowem okiem patrząc w przyszłość, domyślał się bliskiego upadku Rosji i zapytywał, czy nie będzie to początkiem końca cywilizacji?

Minęło lat kilka, a wniosek rozumowy przeobrażał się w duszy Sołowjewa w ponurą wizję wiszącej nad Rosją, nad światem, katastrofy. W epoce, gdy w Europie spoglądano zgóry, z pobłażliwym lekceważeniem na dokonywujący się w Japonji przewrót, upatrując w nim tylko nieudolne małpowanie cywilizacji zachodniej, Sołowjew kreślił w proroczym natchnieniu swój wiersz „Panmongolizm“ (1894). Przed okiem

jego duszy unosił się obraz najeźdźców „z dalekich wysp Wschodu“, gromadzących niezliczone ludy „od wód Malajskich, aż po Ałtaj“ i jako „narzędzie kary Bożej“ spadających, jak lawina, na Rosję. Wiersz ten przytaczam w przekładzie ś. p. W. Nalepińskiego:

Panmongolizmu nazwa dzika
Łagodnie przecie pieści słuch
Urokiem losów wysłannika,
Którego natchnął Boży Duch.

Kiedy w Bizancjum spróchniałem
Ofiarne ognie mroził chłód
I Cezar opętany szałem
Zdradzał Mesjasza i z nim lud,

Wtedy od Wschodu podniósł głowę
Naród nieznany, obcy im,
Rozpadły bramy się spiżowe
I w prochu runął drugi Rzym.

Starożytnego grodu losy
Dziś nas nie trwożą końcem swym
I chwalców Rosji brzmia wciąż głosy:
Tyś jest Rzym trzeci, trzeci Rzym!

Lecz cóż? Narzędzi Bożej kary
Nie wyczerpano jeszcze tu,
W smaganiu nas nie znajdzie miary
Rój plemion, rwących się ze snu.

Z dalekich wschodnich wysp wodzowie
Pod Ałtaj od Malajskich wód
U murów chińskich — któż wypowie —
Ilotysiężny zbroją lud!

Jako szarańcza, niezliczone,
Nie syte w żądzy, jak i ona,
Tajemną mocą osłonięte
W północną suną dal plemiona,

Zapomnij Rosjo dawną sławę!
Dwugłowy runął orzeł carów,
I żółtym dzieciom na zabawę
Rzucono strzepy twych sztandarów!

I korzy się i drży w popłochu
Ten, kto miłości zgubił kruz.
I oto padł Rzym trzeci w prochu,
A czwarty nie powstanie już!...

Z biegiem zaś lat wieszcz - myśliciel tak się zżył z tym obrazem, tak wyraźnie słyszał głucho łoskoty pędzącego od wschodnich stepów huraganu, że zapominał, iż wszystko to było przecuciem, przywidzeniem, może nawet natchnieniem, intuicją, ale jeszcze nie rzeczywistością. Marzenie o Królestwie Bożem, które w pierwszych swoich pracach chciał widzieć urzeczywistnionem tu, na ziemi, prznosił on później, po zawiedzionych nadziejach młodości i wieku dojrzałego, gdzieś poza kres historii. A kres ten już jest niedaleko; dowodem tego — plemiona Azji „rwące się ze snu“; przygotowują one zagładę i śmierć chrześcijańskiej Europie, która zdradziła Chrystusa. Ale śmierć tę witał Sołowjew, jako zapowiedź bliskiego zmartwychwstania, tylko w innych warunkach, w innym bycie. I dlatego „panmongolizmu nazwa dzika“, kojażąca się w myśli naszej z obrazami najazdów, spustoszeń, rzezi, jassyków, „łagodnie pieściła mu słuch — urokiem losów wysłannika — którego natchnął Boży duch“... Panmongolizm był mu aniołem mścicielem, torującym drogi Panu.

Wyłożył to i wyjaśnił w opowieści o końcu historii i o Antychryście.

Rzecz tę, pod wpływem której zapewne powstała znana powieść Hugh Bensona, przenika czucie zawrotnie szybkiego pędu cywilizacji; niby pociąg pośpieszny, mknący w nieznaną dal ze wzrastającą każdej chwili szybkością. W ciągu roku dokonywa się dziś to, co dawniej potrzebowało stulecia. I człowiek ten, który niegdyś marzył o posłannictwie Rosji i urzeczywistnieniu prawa Bożego na świecie, a teraz, zawiedziony w nadziei, szukał pociechy w modlitwie i kontemplacji — za-

pytał siebie, czy to przyśpieszone tempo cywilizacji nie oznacza początku końca — końca świata, tego przesilenia dziejowego, w którym zapanuje apokaliptyczny Antychryst, a po którym zagrzmie trąba archaniola i znowu przyjdzie Chrystus, ale nie jako Baranek Boży, umęczony za grzechy świata, lecz jako Sędzia straszny, a sprawiedliwy — i powstaną wtedy, jak powiedziano, z grobów swoich ci, co umarli w Chrystusie i „przyobleką ciała przeobrażone, boć musi to skazitelne przyoblec nieskazitelność; i to śmiertelne przyoblec nieśmiertelność“. (Kor. I, 15).

Opowieść o Antychryście wygłosił Sołowjew w r. 1900, więc na pograniczu dwóch stuleci i niemal w przeddzień śmierci swojej, jako odczyt publiczny w Petersburgu. Było to jego testamentem. Mówcą był potężnym, potężne też wrażenie w duszach i wyobraźniach słuchaczy, dreszczem nerwowej trwogi objętych, wywołał obraz bliskiego końca rzeczy.

Rzeczy tej streszczać nie będę, najumiejętniejsze bowiem streszczenie nie wyrazi tego, co stanowi siłę utworu, a jest nieuchwytnie, t. j. nastroju. Opowieści swej nie kreślił wcale autor jakimś tonem proroczym, apokaliptycznym; przeciwnie, ton jest nieraz żartobliwy, formę zaś cechuje prostota, nie kuszająca się o żadne ozdoby lub efekty, a jednak czujemy, iż rzecz cała wyszła z pod pióra człowieka, przejętego do głębi prawdą swej wizji, i to uczucie przenika powoli czytelnika niepokojem, trwogą, że już zawisły nad nim, niby chmury ciężkie — zwiastuny pędzącej burzy, wszystkie uciski dni ostatnich, dni pomsty, w których poruszają się wszystkie moce niebieskie i „będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi uciśnienie narodów i ludzie schnąć będą od strachu i oczekiwania tych rzeczy, które przyjąć mają na wszystkie świat“...

Zaznaczę tylko, że w bliskiej przyszłości, zapewne jeszcze w bieżącym stuleciu, nastąpi hegemonja rasy żółtej; trwać będzie przez dwa mniej więcej pokolenia, po czem, t. j. po jej zrzućeniu, przyjdzie era powszechnego pokoju i pojednane ze sobą narody europejskie stworzą Stany Zjednoczone Europy. Wtedy to przyjdzie Antychryst. Charakterystykę jego dał Sołowjew subtelną i świetną; przedstawił go, jako nadczłowieka, największego ze wszystkich, jacy przeszli przez historję, za-

palonego jedną wielką, a szlachetną żądzą uszczęśliwienia rodu ludzkiego i urzeczywistnienia ery wiecznego pokoju i pomysłności. Jedną ma tylko ułomność, że pobudką działań jego jest ambicja bez granic i że chcąc szczęścia dla ludzi, siebie tylko kocha, siebie, nie Boga. Obrany prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy z tytułem imperatora, zwołuje sobór powszechny do Jerozolimy, gdzie wspaniałą zbudował świątynię dla zjednoczonych religij całego świata. Przybywają przedstawiciele wszystkich trzech wyznań chrześcijańskich: katolicy z papieżem Piotrem II, na czele ¹⁾, prawosławie uosabia tajemniczy starzec Jan, protestantyzm — profesor teologii Pauli; trzy symboliczne imiona, wyobrażające trzy kierunki w chrześcijaństwie, wszystkich zaś trzech; Piotra II, mnicha Jana i profesora Pauli przedstawił autor z artystyczną wyrazistością; stoją przed nami, jak ludzie żywi, o wybitnych indywidualnych cechach. Na soborze imperator występuje po raz pierwszy, jako „umiłowany Syn Boga“, jako „Jego Boski Majestat“. Słyszając to, domyśla się Piotr II, kim jest ów człowiek, budzący powszechny ku sobie entuzjazm, i rzuca uroczystą klątwę na imperatora — Antychrysta. Większość jednak biskupów staje po stronie wyklętego a uwielbianego dobroczyńcy - bohatera, natomiast podchodzą do papieża mnich Jan i prof. Pauli i składają mu hołd, jako temu, który czynem swoim dowiódł, że jest prawdziwym namiestnikiem Chrystusowym na ziemi — i tu, u schyłku dziejów, następuje pojednanie tych nielicznych katolików, prawosławnych i protestantów, którzy zostawszy pod sztandarem Chrystusa, Syna Boga żywego, łączą się w przeświadczeniu zasadniczej między sobą wspólności.

Niektórzy z reporterów znaleźli w odczycie Sołowjewa wdzięczny temat do humorystyki, gdy jednak serdeczny jego przyjaciel i może najznakomitszy po nim myśliciel rosyjski, ks. Sergjusz Trubecki, na rękę którego miał wkrótce skonać, wytknął mu fantastyczność pomysłu, Sołowjew odczuł to, jako krzywdę, bo jakże nazywać fantazją, prorokowaniem, misty-

¹⁾ Sołowjew trzymał się tu przepowiedzianej i sporządzonej według tradycji z wieku VIII przez irlandzkiego mnicha Malachjasza listy papieży aż do końca świata.

cyzmem to, co jest jasne, oczywiste; wszak burzę czują wszyscy... „a ja mam tylko to smutne przed innymi pierwszeństwo, że słowa moje są ostatniem krzyżącym wskazaniem, że ona już jest bliska, że lada chwila wybuchnie, choć większość jeszcze tego nie dostrzega“... „Przecież historia już naprawdę się skończyła i tylko inercją wytłumaczyć to można, że jakaś gra marionetek dotychczas się ciągnie na widowni historycznej“.

„Dramat historii już się zakończył — mówił innym razem — pozostaje tylko epilog, który, jak u Ibsena, może dać się rozciągnąć na całe pięć aktów, ale ich treść w głównych zarysach jest zgóry wiadoma“.

Były to ostatnie jego słowa. Od tego czasu patrzemy na to, jak się stopniowo sprawdzają. Pobita przez wojowników „z dalekich wysp wschodnich“ Rosja zawiera w 1905 roku upokarzający z nimi pokój, po którym rasa żółta staje, w osobie Japonji, wśród dominujących potęg świata; powodzeniem jej olśnione plemiona i narody Azji zaczynają coraz głośniej proklamować swoje prawo do niezależnego bytu; w roku 1914 Japonja bierze udział w wojnie światowej, ażeby, korzystając z zawieruchy, urzeczywistnić z pomocą zwycięskiej strony swoje zamiary w Syberji i Chinach. „Weszliśmy — pisał w przeddzień tej wojny książę Eugenjusz Trubecki — w przewidziany przez Sołowjewa katastrofalny okres historii“. — Pisał to z myślą o pierwszej katastrofy tej zwiastunach w Rosji, w roku 1905—6, nie domyślając się, że danem mu będzie widzieć ją w całej jej grozie i samemu paść jej ofiarą. Katastrofa przemienia Rosję w kupę gruzów. Europa w marazmie jakimś pogrążona przygląda się temu obojętnie i stoi otworem przed najazdem przyszłego Dżyngishana. Kto nim będzie?

Z Sołowjewem zetknąłem się osobiście jeden raz w życiu. Do wielkiego człowieka, o imieniu równie głośnem na Zachodzie i w Rosji, ośmieliłem się pójść, jako młody autor dopiero co wydanej po rosyjsku rozprawy o psychologii ludów słowiańskich. Jakże mile zdumiony byłem, że książkę moją on już przeczytał był i że pochlebnie w rozmowie ze mną ją ocenił. Zrobił na mnie wrażenie człowieka niepospolicie uprzejmego, o pełnem prostoty, przyjacielskiem ujęciu, o nastroju pogod-

nym, niemal wesołym. Aniby się domyślił, że miałem przed sobą wizjonistę, proroka. To samo potwierdza książę Eugenjusz Trubecki: „Sołowjew bywał nieraz wesół, weselił się i bawił, jak dziecko; miał nader żywy zmysł komiczny, śmiać się umiał serdecznie i do śmiechu innych pobudzał. Ale nieraz wesołość ta przechodziła nagle, bez widocznego powodu, w nieskończony smutek, z oczu jego lały się łzy. Pamiętam, jak razu jednego potokiem łez zakończył on kolację, na którą zaprosił kilku najbliższych przyjaciół. Zrozumieliśmy, że lepiej mu będzie, jeśli go zostawimy samego, i rozeszliśmy się pośpiesznie“.

Co było powodem owych łez? Trubecki nie wspomina o tem w swem dziele, ale opowiadał mi, że raz się odważył zapytać go o to. „Nie pytaj — odpowiedział — czuję i widzę w przyszłości bliskiej rzeczy straszne, straszne“.

* * *

Wizje nie są i nie mogą być jakąś ściśle logiczną dedukcją; są one tylko obrazami — i to w zarysach mglistych — tego, co będzie. I chcąc na postawione wyżej pytanie o kryzysie kultury odpowiedzieć w świetle wizji Sołowjewa, należy wizję panowania mongolskiego powiązać z ową drugą wizją, która mu wyciskała z oczu strumienie łez i o której wołał milczeć — wizją tragizmu dzisiejszej niewoli Rosji pod jarzmem międzynarodowej zgrai złoczyńców, międzynarodnaja swołocz, jak ją nazwał Arcybaszew.

Przy starciu się barbarzyństwa z cywilizacją naturalnie cywilizacja zwyciężyć musi. To jasne i do tego wniosku przychyłał się publicysta niemiecki, Paweł Rohrbach, w rozpaczliwym obrazie sowieckiej Rosji, który kreślił w pierwszym roku rewolucji, na podstawie urzędowych sowieckich źródeł ¹⁾.

Jaką wobec tego — pytał — może być przyszłość Rosji? Niepodobna dokładnie określić kiedy, ale niezawodnie w przyszłości bliskiej przyjść musi chwila, w której koleje staną. Nie będzie dowozu żywności do miast, nie będzie drzewa, ani węgla, ani gazu, ani światła, ani lekarstw, ani ubrań, ani obuwia; miasta przeistoczą się w ogromne trupiarnie, w których

¹⁾ Por M Zdziechowski: „Europa, Rosja, Azja“. (Wilno, 1923 r.)

nie będzie komu wywozić trupów; cała ogromna płaszczyna od morza lodowatego, aż do ujścia Wołgi będzie pustynią, usianą gdzieniegdzie wioskami, pozostającymi na poziomie przedhistorycznej kultury. Komisarze zaś sowieccy z kieszeniami pełnymi złota i brylantów uciekną zagranicę opowiadać ludziom ewangelję bolszewickiego raj. Postać rzeczy mogłaby się nieco zmienić, zdaniem jego, gdyby rządowi sowieckiemu udało się nawiązać stosunki handlowe z Europą. Stosunki te nawiązały się. Europa dostarcza Sowietom wszystkiego, czego od niej żądają, i nigdy — powiada Mereżkowski — Rosja nie była tak groźną dla Europy, jak teraz, w upadku swoim; nigdy Europa tak przed nią nie drżała ¹⁾).

Ale do zupełnego tryumfu bolszewizmu nad Europą potrzebna jest pomoc Azji. Niech Rosja, „zamiast być, jak w epoce carów, awangardą Europy w Azji, stanie się, jak niegdyś, w epoce tatarskiej, awangardą Azji w Europie ²⁾).

Zrozumiał to Lenin i zabrał się do zmobilizowania Azji.

W lipcu 1919 roku dochodzi do skutku kongres rosyjsko-muzułmański w Moskwie; w sierpniu kongres turecko-perski w Erzerumie uchwała kolaborację z bolszewizmem. Mija rok i 8 września (1920) przybywa na wielki kongres bolszewicki azjatycko-rosyjski w Baku 1800 uczestników z rozmaitych stron Azji.

Starczy marazmem Europy silny, bolszewizm rosyjski, chcąc być jeszcze silniejszym, stał się rosyjsko-azjatyckim bolszewizmem. Europie przeto grozi niebezpieczeństwo gorsze, niż inwazja mongolska, „gorsze w tem znaczeniu — pisałem w r. 1920 ³⁾, — że dotąd, mówiąc o inwazji mongolskiej, mieliśmy zwykle na myśli wojnę jakiejś wielkiej Japonji w jakiejś nieokreślonej przyszłości z państwami europejskimi i, w razie zwycięstwa, jej militarną hegemonję; dziś zaś wydaje się bliższem prawdy, że walka rasy żółtej z rasą białą nie będzie wojną Japonji z Europą, lecz raczej najściem, pod wodzą rosyjskich i żydowskich komunistów, ludów Azji, które zwałą się na Europę i ciężarem swoim zgniotą cywilizację“.

¹⁾ M. Zdziechowski: „Europa, Rosja, Azja“, str. 219.

²⁾ R. Grousset: „La révelé de l'Asie“. (Paris, Plon).

³⁾ „Europa, Rosja, Azja“ str. 226.

Upłynęło lat 12 i w r. 1932 znakomity znawca stosunków azjatyckich, jakim jest dr. Legendre, zwiedziwszy Chiny po 7-letniej niebytności, stwierdzał niesłychane postępy bolszewickiej propagandy i sowieckich wpływów. Jak gdyby ów olbrzym z bajki podarował Moskwie swoje 7 milionowe buty ¹⁾. Cała Azja jest w stanie buntu, pisze on, taniec zaś prowadzi czerwona Rosja, stanawszy mocnymi nogami na Chinach i Indjach. Moskwa jest wszędzie obecna, wszędzie czynna. Japonja, ku zdziwieniu i przerażeniu swemu, zdołała wykryć główne nici spisku, którym z niezrównaną zręcznością kierują agenci sowieccy ²⁾. Ludy azjatyckie są z natury bierne, leniwe, ale oni wlewają w te senne masy eliksir życia, który je rozpaja nienawiścią do Europy i wtedy przekształcają się w umiejętnym ręku Borodinów i Karachanów w podatny, dający się zorganizować element. Słowem Pan-Azja, z sowiecką Moskwą na czele, to nie przywidzenie, to fakt prawie dokonany ³⁾, to ów Dżyngishan, pędzący na Europę, mniejsza zaś o to, kto na czele pochodu stanie: Woroszyłow jakiś, Tuchaczewski, czy kto inny. Wizja Sołowjewa, ostatnie słowo jego twórczej i proroczej myśli, ostatnie „krzyczące“, jak się wyraził, wskazanie i ostrzeżenie staje się w oczach naszych rzeczywistością.

Czy ratunek jest jeszcze możliwy? Doświadczenie mówi, że nie. Trujące zarazki bolszewickie, głęboko weszły w ciało Europy. Na tem właśnie polega kryzys kultury, kryzys tak głęboki i straszny, że nie dziw, iż niejednemu wydaje się zapowiedzią bliskiej śmierci. Zamiast wspólnej polityki przeciw wspólnemu wrogowi, polityka gabinetów i partyj; narody i państwa Europy gryzą się między sobą i każdej chwili może wybuchnąć wojna, z której ów wróg skorzysta. Nie dość tego, wszystkie, jakby na wypródki, zaopatrują wroga we wszystko, co mu jest potrzebne do wykonania zamierzonego przeciwko nim planu. Wśród polityków nie widzimy takich, którzyby byli w stanie sięgnąć myślą poza chwilę obecną, poza najbliższe bieżące sprawy i sprawy.

¹⁾ A. F. Legendre: „L'Asie contre l'Europe“. (Paris, Plon), por. str. 26.

²⁾ ib por. str 343

³⁾ ib str 347

I rzecz dziwna. Rolę zbawicielki ślepej Europy wzięła na siebie nieślepa a mądra Japonja. „Opanowując Mandżurję—pisze Wł. Studnicki—zniweczyła punkt oparcia Sowietów w Chinach“. „W razie wojny z Sowietami oręż japoński zadać im może śmiertelny cios, a wtedy błogosławić będziemy ów oręż, jak błogosławiliśmy zwycięstwo Japońskie w r. 1905“¹⁾.

Nie wyszukujcie — woła Legendre — zdobywczych jakichś planów w zajęciu Mandżurji przez Japonję, nie gadajcie o zbójckiej napaści i nie ujmujcie się, jak to głupio robi Liga Narodów, za niby to pokrzywdzonymi Chinami! Bo czem są dzisiejsze Chiny? Odbiciem są Sowietów, z tą różnicą, że nad nieszczęśliwą Rosją pastwi się jeden wszechmocny złoczyńca, Stalin, w Chinach zaś widzimy cały ich szereg, w osobach kłócących się między sobą generałów-bandytów. Ale te same tam okrucieństwa, taż sama nędza i głód, ta sama rozpacz; lud chiński za tem samem wzdycha, co lud rosyjski: za spokojem; za chlebem i z wdzięcznością powita każdą obcą interwencję, byleby go wyzwoliła od tyranów i dręczycieli²⁾ „Gdyby interwencje państw europejskich w sprawy obcych krajów dawały się tak łatwo usprawiedliwiać — potwierdza Legendre'a znawca Mandżurji J. C. Balet — jak interwencja japońska, nie byłoby powodu do krytyki i rzadko słyszelibyśmy skargi³⁾. W przeciwieństwie do polityków europejskich mężowie stanu w Japonji umieją patrzeć w daleką przyszłość; widzą, że Sowiety zagarnęły część Mongolji i zaliczyły ją do owych licznych sowieckich pseudo-republik, podlegających rozkazom z Moskwy. Od Mongolji do Japonji wprowadzie daleko, dużo dalej np., niż z Moskwy do Warszawy. Ale Mongolja, graniczy z Mandżurją, którą Japonja na jej szczęście i zarazem dla własnego swego bezpieczeństwa wyzwoliła od Sowietów i od zsovietyzowanych Chin i wyzwoliwszy, zrobiła z niej mocną twierdzę przeciw szturmującemu komunizmowi so-

¹⁾ Wł. Studnicki: „Rosja sowiecka w polityce światowej“. (Wilno, 1932), por. str. 193, 195, 196.

²⁾ Legendre, op. c. s. 354.

³⁾ J. C. Balet: „Le drame de l'extrême Orient“. (Payot, Paris) str. 43.

wieckiemu i trzyma w ręku klucz do twierdzy tej i ma nadzór nad nią ¹⁾).

Do podobnych wniosków dochodzi rosyjski pisarz wojskowy, gen. N. Gołowin ²⁾). Dziesiątki tysięcy — mówi on — Chińczyków ukończyło wyższe studia w Europie i Ameryce i z ich szeregu wyszli wodzowie rewolucji. Jak przedwojenna inteligencja rosyjska są oni przeważnie maksymalistami; zerwali z wiarą przodków, z tradycjami, obyczajami; lud ich nie rozumie i byłiby całkowicie jemu obcy, gdyby nie łączyła ich wspólna nienawiść do Europy. Japonja we własnym interesie, z obawy przed wpływami bolszewickimi u siebie, postanowiła ratować, odrodzić, odnowić, odbudować dawne imperjum Chińskie ze stolicą w Pekinie. Ale czy znajdzie dostęp do serca ludu? Zbolszewiczała inteligencja i bandyci generałowie stawiać jej będą zaciekły opór, państwa zaś Europy i Ameryki stanęły ze względu na swoje przemysłowo-handlowe apetyty do Chin także po stronie chińsko-bolszewickiej i to się odbija na nastrojach Ligi Narodów.

Zwycięstwo Japonji niezawodnie pociągnęłoby za sobą stworzenie Żółtego Związku, do którego by weszły Indochiny wraz z archipelagami Oceanu Spokojnego. Perspektywa ta przeraża bezpośrednio zainteresowane mocarstwa: Francję, Anglę, Holandję i Stany Zjednoczone — i dlatego to, jawnie czy skrycie, popierają one Chiny przeciw Japonji. Ale zastanówmy się, co by się stało w razie klęski Japonji: przedewszystkiem ostateczne zbolszewiczenie Chin, następnie bolszewicki przewrót w zwyciężonej, a przeludniczej Japonji, doprowadzonej wojną do nędzy i duszącej się w ciasnocie swoich czterech wysp, wreszcie powstanie bloku: Rosja, Chiny, Japonja. O ileż potężniejszą i niebezpieczniejszą od Żółtego Związku będzie zbolszewiczona Azja z Sowietami na czele i miliardem ludności! Wypowie ona wojnę Europie i europejskiej cywilizacji i „nie spocznie, dopóki nie wymorduje aż do ostatniego wszystkich inaczej myślących“.

¹⁾ ib str. 69.

²⁾ Por. „Sowremiennaja strategičesko-političeskaja obstanowka w Kitaje“. „Z? Swobodu“, 1933 r. Nr. 18 — 25.

Stawiamy pytanie, czy narody i państwa Europy zdołają nie dopuścić do tego? Innymi słowy, czy znajdą w sobie dość moralnego hartu, aby przetrwać i wyjść z kryzysu kultury, spowodowanego przez sowiecką czerwoną dżumę, która dotarła do nas i aż nadto podatny i wdzięczny znalazła dla siebie grunt w tej „potwornej anomalji“¹⁾, jaką staje się cywilizacja, gdy w olśnieniu zdobyczami postępu materialnego i technicznego zapomina o duchowych podstawach życia, o Bogu i rzeczach wiecznych i używanie stawiając sobie za cel, prowadzi za sobą tę degradację moralną i umysłową, która tak dotkliwie dała się we znaki, zwłaszcza w obecnym powojennym okresie?

Na postawione pytanie odpowiedzi nie daję, nie mam odwagi, brzmiałaby zbyt pesymistycznie. Od końca wojny żyjemy w atmosferze absolutnej bezideowości, „która delikatniej nazywa się rzeczowością“²⁾. Tło wymarzone dla sowieckiej Rosji, dla jej dyplomatów, dla obecnego ich kierownika, żydka spryciarza „z psychiką drobnego kupca i faktora, który handluje, czem się da“. Ubóstwem duchowym równy kolegom swoim z Europy, Litwinow przewyższył ich „w tym zdrowym nieomylnym cynizmie, z którym ocenia motywy działania zarówno swoje własne jak ich“³⁾. Więc jeżdżą do niego, do Moskwy wykwinętni jego koledzy europejscy—i nie śmiejąc marzyć, aby dopuścił ich przed oblicze swoje „wielki“ Stalin, szczęśliwi są, gdy p. Litwinow łaskawem słowem ich obdarzyć raczy. Niech to wezmą, ten stosunek Europy do Sowietów, jako temat do rozważań ci, co oczy mają, widzą i widzieć chcą.

¹⁾ Wyrażenie René Guénon'a w „Orient et Occident“. (Paris, Payot).

²⁾ Konst. Srokowski, „Na czerwonym Olimpie“ (Lwów, 1934) str. 152.

³⁾ ib. str. 151— 52

XV.

ZAGADNIENIE WYCHOWAWCZE W DOBIE OBECNEJ ¹⁾

Pedagogja, jak powiedział głęboki myśliciel współczesny, X. Laberthonnière, nie jest tylko nauką, ona jest przede wszystkim apostołstwem — apostołstwem ²⁾, którego potrzebę czujemy duszą całą, czuje to każdy, kto zdał sobie sprawę z tego, że weszliśmy w jedną z najstraszniejszych epok, jakie zna historia, pod względem zaś duchowym bezwarunkowo najstraszniejszą ze wszystkich.

W literaturze powojennej rosyjskiej mamy znakomitą powieść p. t. „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru”. Autor jej, gen. Krasnow, umiał z genialną niemal bystrością zajrzeć aż do samego dna duszy rosyjskiego nihilisty i odtworzył ją w przerażająco prawdziwym obrazie. Oto fanatycznego wyznawcę nauki Lenina ogarnęła jakaś widocznie posepna myśl, rozdrażnienie maluje się na jego twarzy. „Co z tobą?” — pyta go przyjaciel, — „Ot takbym chciał plunąć w słońce, ale jak to zrobić?”... „Plunąć w słońce” — w tych słowach streszcza się istotny sens rewolucji, która tam szaleje, stamtąd na Europę pędzi i do nas wszystkimi drogami jawnymi i tajnymi się wciska.

Słońce, to symbol wiekuistego światła i nieskończonej szczęśliwości, za którą wzdychamy wszyscy. „A ja często w duchu mam takie szerokie męskie uczucia, jakgdybym szedł

¹⁾ Referat, wygłoszony na VII Walnym Zjeździe Delegatów Stowarzyszenia Chrz. - Nar. Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Wilnie.

²⁾ „Théorie de l'éducation”, Paris (Bloud) 1923.

na słońce" — tak pisał Słowacki do matki w epoce owego rozszczęśliwiającego mu duszę przemienienia, które w nim nastąpiło w ostatnich latach jego życia. I oni chcieliby „iść na słońce“, ale poto, by słońce splugawić, napluć, chcieliby zniszczyć wszystko, co jest słoneczne w człowieku, wszystko we wszechświecie, co jest przedwiecznego absolutnego Piękną wyrazem czy obrazem, albowiem piękno — jak nauczał Platon — to blask doskonałości, a idee doskonałości i Boga nierozzerwalnie ze sobą łączymy.

Plunąć w słońce — oto motto, jakiebym dał do książki, która niedawno w Warszawie wyszła ¹⁾: ogromna, 567 stron, wydana ozdobnie i kosztownie — pytamy za czyje pieniądze w dzisiejszych, tak ciężkich dla handlu księgarskiego czasach — pisana w szale namiętności, od początku zaś do końca przepojona myślami i uczuciami owego wyznawcy Lenina, co plunąć chciał w słońce. „Religja — czytamy tam — jest kłamstwem, oszustwem duchowem, jadem zatruwającym świadomość i sumienie człowieka, obłudą, skodyfikowaną głupotą stuleci, śmiercią dla myśli, przeżytkiem wreszcie, którego by już nie było, gdyby bezbożnictwo i nastroje antyreligijne zostały ustawowo zabezpieczone“ ²⁾.

Na szczęście tak jeszcze nie jest, są jeszcze ludzie, którzy do Boga się modlą — i „ten fakt, że człowiek jest istotą, która się modli, przewyższa — powiedział angielski myśliciel pozytywista, Malcolm Quin — znaczeniem swoim indywidualnem i socjalnem wszystkie przez naukę, filozofję i historję w rachubę brane fakty i cała przyszłość ludzkości zawisła od tego, czy ludzie nadal modlić się będą, czy nie“. Zrozumiano to tam, na wschodzie od nas; na miejscu idei Boga, do którego się modlimy, postawiono ideę człowieka wyzutego z tych uczuć, co go ponad proch ziemi wznoszą, i tej myśli, co go pragnieniem rzeczy wiecznych przepelnia i od zwierzęcia wyróżnia, słowem, człowieka zbestjalizowanego i ten zbestjalizowany człowiek ma nam być wzorem i ideałem.

¹⁾ „Wyzwolenie człowieka“ przez Wł. Spasowskiego (nakładem F. Hoesicka).

²⁾ por. str. 80 — 81.

Nie pierwszy to raz w historii wypowiedziano walkę Bogu, ale pierwszy raz w tak strasznej formie. Dawniej religii zwalczanej przeciwstawiano inną religję, czy filozofję i nawet krańcowa w negacji pierwiastka duchowego filozofja materialistyczna nie wyrzekała się moralności, przeciwnie, starała się stworzyć nową moralność, niereligijną, lecz świecką, opartą na utylitaryzmie. Nie dopięła celu; utylitaryzm, jako podstawa moralna, jest rzeczą z natury swojej kruchą. Żadne bowiem, choćby najwymowniejsze uzasadnienia walki z sobą i ofiary ze siebie, jako konieczności indywidualnej i socjalnej, nie jest i nie może być czynnikiem wyrabiającym charakter. Co rozsądek uważa za dostateczne dla siebie, nie jest dostateczne dla woli, nie porusza jej, nawet osłabiać ją może i rozkładać.

Tak twierdzi największy z pedagogów współczesnych, Fr. W. Foerster. Dźwignią woli, naucza on, jest entuzjazm, który to, co jest trzeźwe i suche, przeobrażać umie w tajemnicę życia wewnętrznego, w pierwiastek zmartwychwstania duchowego¹⁾. Jeden z gorliwych propagatorów moralności świeckiej, utylitarnej, M. Duherme, poczuł się, po długich latach obserwacji i doświadczeń, zmuszonym wyznać, że fakt, iż tu na ziemi wszystko się kończy, jest niezwykłą przeszkodą do należytego uzasadnienia i tembardziej ugruntowania owej moralności, a zatem chyba ten fakt nie jest zgodny z prawdą: „bez Boga nie zdołamy stworzyć żadnego skutecznego systemu moralnego“²⁾.

Ale w państwie sowieńców uznano nawet moralność bez Boga, moralność utylitarą, za rzecz niebezpieczną i zastąpiono ją absolutną moralności negacją, wyrzucając z niej nietylko ideę Boga i duszy, lecz ideę charakteru. Nigdy i nigdzie dotychczas nie głośzono z taką zaciekłością, że człowiek jest maszyną, tylko maszyną, maszyną, potrzebującą dziennie pewnej ilości pokarmu, aby puszczoną być w ruch³⁾. W jakim celu? W celu służenia partji, albowiem dobre jest tylko to, co jest

¹⁾ „Religion und Charakterbildung“ (Rotapfel Verlag, Zürich u. Leipzig, str. 51 — 55).

²⁾ ib., str. 66.

³⁾ Por. M. Zdziechowski: „Walka o duszę młodzieży“. Wilno, 1927.

pożyteczne dla partji. Pożyteczny zaś i niezbędny jest terror nawewnątrz, nazewnątrz zaś wzniecenie powszechnego, wszechświatowego pożaru, i jeśli określeniem człowieka jest wyraz maszyna, to maszyny tej funkcją byłoby automatyczne ścinanie łbów ludzkich. „Człowiek jest robakiem, a zatem wolno go jak robaka rozdeptać“. Tak bolszewicki pogład na człowieka lapidarnie streścił książę Eug. Trubecki.

Aby to na przykładzie wyjaśnić, sięgnę znowu do powieści Krasnowa. Schwytano i wrzucono do więzienia jednego z wodzów powstania przeciw bolszewikom. Z urzędu ma nad nim oko i odwiedza jakiś komisarz, ponury, blady, robiący wrażenie człowieka znużonego i zgnębionego. Chciałby pogadać z więźniem, kilka razy zaczynał, zawsze bez skutku; więzień rozmowy unika i milczy uparcie. Po kilku daremnych próbach komisarz do niego przemówił mniej więcej w te słowa: „Dłużej nie wytrzymam i opowiem panu o moim bólu wewnętrznym, chcę, a nie mam przed kim się zwierzyć, wiem zaś, że pan użytku z wyznań moich nie robi, należąc do sfery, gdzie się denuncjatorstwem brzydzą. Z zawodu jestem prawnikiem, byłem sędzią, oburzała mnie zawsze kara śmierci i przeciw temu napisałem w swoim czasie rozprawę. Gdy rewolucja wybuchnęła, z zapalem do niej przystąpiłem: rewolucja była i cóż? kara śmierci istnieje nadal — i to w rozmiarach czasom carskim nieznanym, wykonywana z okrucieństwem, o którym urzędnicy cara nawet wyobrażenia nie mieli. Udręczony przeciwieństwem między tem, co rewolucja głosi, a tem, co w jej imieniu się robi, poszedłem w końcu do samego Lenina; niech sumienie moje uspokoi. Lenin wysłuchał i wybuchnął śmiechem: „Ależ niema kary śmierci, to obrządek, który zniosłem raz na zawsze“.— Lenin miał słuszność. Jeśli wierzymy, że człowiek ma duszę nieśmiertelną na obraz Boży stworzoną i przed Bogiem odpowiedzialną, to zabójstwo uważać musimy za gwałt przeciw prawu Bożemu; zabić, to znaczy pozbawić możliwości spełnienia zadania przez Opatrzność na każdego z nas włożonego. Dlatego to zabójstwo zaliczono do grzechów wolaających o pomstę—i jeśli pomimo to grzech ten bywa przez prawo ludzkie dopuszczany w postaci kary śmierci i sankcjonowany, to w wyjątkowych tylko wypadkach, jako wyjątkowa

kara, której wykonaniu nadaje się charakter uroczystego żałobnego obrzędu i obecni są przedstawiciele władz, tem samem przyjmując odpowiedzialność przed Bogiem za prawa Bożego złamanie; skazanemu towarzyszy kapłan, zwłoki może zabrać rodzina. Ale „jeśli człowiek jest robakiem, to wolno go, jak robaka rozdeptać” — i w powieści Krasnowa następuje po rozmowie tej ohydny w realizmie swoim opis masowego wymordowywania więźniów w czrezwyczajce.

Nie mówiłbym o tem, gdyby ideał człowieka-automatu, człowieka przeistoczonego w maszynę do ścinania, nie znalazł u nas żywego odgłosu. Nazwano to eufemicznie w jednym z nieistniejących już, chwała Bogu, organów młodzieży komunistycznej „twardą, niewzruszoną wolą niszczenia”¹⁾, oczywiście, nie jest to wola - charakter, wola, która się wyrabia w walce z ułomnościami swojemi i wyraża, jako opanowanie ich; nie, to wola - instynkt, instynkt niszczenia i nie wolno nad nim panować, „panowania nad sobą nie sprawuj” — powiedziano tam; instynktowi niszczenia należy się poddać; w kim go niema, trzeba go budzić; obudzony, staje się u dorastającego chłopca potęgą nie krępowaną względami, które krępować mogą człowieka dorosłego. „Nie dlatego zajęliśmy się dziećmi — piszą sowieckie Izwiestja²⁾ — że dzieci mogą zrobić same cośkolwiek, lecz dlatego, że one zrewolucjonizują całe swoje otoczenie”. W jaki sposób? Swoim rewolucyjnym nastrojem — odpowiada organizator komunistycznych grup dziecięcych w Niemczech, E. Hoernle — opozycją przeciwko każdemu naciskowi: szkoły, Kościoła, władzy, rodziców³⁾. Ale przede wszystkim — dowodzi sowiecki pedagog, Wołkow — szkoła powinna być widownią i nauką walki klasowej dla dzieci; całe nauczanie skierować należy ku temu, aby poderwać autorytet kierowników i nauczycieli, o ile oni nie są sługami rewolucji: „na każde kontrrewolucyjne pytania nauczyciela, dziecko powinno umieć dać rewolucyjną odpowiedź”. Do tego komunizm na Zachodzie zdąża, ale, według Wołkowa, jeszcze nie doszedł; w Rosji cel

¹⁾ Por. M. Zdziechowski: „Walka o duszę młodzieży”, str. 36 — 7.

²⁾ Cytuję z miesięcznika; „Walka z bolszewizmem”, Warszawa 1927, Wrzesień.

³⁾ ib.

już został osiągnięty: „kontrrewolucyjni“ nauczyciele są wymordowani; reszta, o ile nie w więzieniu, zmuszona jest do milczenia. Dzieci i młodzież, organizowane są według wieku: na początku t. zw. wilczęta (w Sowietach „oktiabriata“) od lat 6 — 10-u, potem pod rozmaitemi nazwami grupy od 10 do 14-u lat: dalej pionierzy, stanowiący organizację bojową pod kierunkiem Komsomołu, otrzymującego instrukcje od sztabu partji. Że ruch ten rozwija się u nas, o tem świadczy memoriał, który podany został w grudniu 1927 r. ministrowi oświaty, a podpisany przez 19 stowarzyszeń i zrzeszeń, zwalczających komunizm, w tej liczbie przez Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Memoriał ten, wzywając rząd do współdziałania ze społeczeństwem, stwierdzał, że III Międzynarodówka uważa za swoje najważniejsze dziś zadanie propagandę wśród dzieci i młodzieży, że ta propaganda wywrotowa szerzy się z nadzwyczajną szybkością i że równolegle prowadzona jest w tym samym kierunku agitacja wśród nauczycielstwa.

Czy memoriał ten miał skutek? Chyba nie, skoro propaganda komunistyczna była jeśli nie popierana, to w każdym razie tolerowana przez sfery górne, które o tem decydowały. Na czele Instytutu Pedagogicznego stał długie lata, jako wychowawca przyszłych wychowawców młodzieży naszej, fanatyk bezbożnictwa, wspomniany wyżej autor „Wyzwolenia Człowieka“, który odrzuciwszy wszelkie religje, sam wskutek dziwnej niekonsekwencji myśli był wyznawcą jakiejś fanatycznej, dzikiej kontrreligji ze swoim Bogiem, swoim objawieniem i dogmatami. Objawieniem tem był „Kapitał i Praca“ Marxa, Bogiem — sam Marx, zbawicielem świata — Lenin, ten „największy człowiek czynu, jakiego dotychczas oglądała ludzkość“ ¹⁾ ten wysoko ponad Cezarów i Cromwellów wzniesiony genjusz, który szedł przez życie, ożywiony bohaterским poglądem na świat ²⁾ i rozradował ludzkość wspaniałem „świętem uciśnionych, które zapala wielkie pochodnie światła i budzi niesłychany entuzjizm“ ³⁾.

¹⁾ op. c. str. 548.

²⁾ ib. str. 547

³⁾ ib. str. 557.

Jakże to święto wyglądało? W imię zasady tego, według słów autora, bohatera głębokiego idealizmu etycznego, jakim był Lenin ¹⁾: niech zginie $\frac{9}{10}$ ludu rosyjskiego, byle pozostała $\frac{1}{10}$, dczyła rewolucji światowej — lud ten masami posyłano na śmierć. W pierwszych latach, rachując od przewrotu bolszewickiego w październiku 1917, aż do końca wojen domowych w r. 1923, zamęczono 1.761.065 ludzi ²⁾.

Ale ilość ofiar mniej tu przeraża, niż tortury, które poprzedzały ich śmierć; gdy się opowiada o tem cudzoziemcom Europejczykom, najczęściej temu nie wierzą. Ale są przecie świadectwa oficjalne wysłańców rządu Angielskiego, jest Livre Blanc ³⁾ nawet w „Prawdzie“ sowieckiej znajdujemy w Nr. z dn. 26/I 1919 r. list pewnego komunisty, którego wskutek nieporozumienia wrzucono do więzienia... „Nie potrafię powtórzyć — pisał ⁴⁾ — tego, na co w owych dniach patrzałem i co przeżyłem; codziennie w ciągu 18-u godzin torturowano uwięzionych“. W Petersburgu i Moskwie poprzestawano zwykle na zastrzeliwaniu skazanych. Ale na prowincji, zwłaszcza na południu! Tam rozpasanie całej obrzydliwości, jaka w duszach ludzkich zmieścić się może, nie znało granic Arcybiskupowi Rodionowi w Charkowie zdarto skórę z całego ciała, arcybiskupa Andronika w Permie pogrzebano żywcem, biskupa Hermogenesa w Tobolsku topiono całe dwie godziny, to zanurzając go pod lodem, to wyciągając nazewnątrz. Zwykłą torturą było wrywanie paznogci! Poza tem w każdym mieście czrezwyczajka miała ulubioną specjalność swoją. Naprz. w Połtawie wsadzano na pale, w Jekaterynosławiu krzyżowano, w Woroneżu wrzucano do beczek najeżonych gwoździami i beczki te staczano z góry; w Charkowie zdierano skórę z rąk i nazywano to fabryką rękawiczek ⁵⁾. Rzeczy najstraszniejsze działy się w Kijowie: „Po odejściu bolszewików — opisuje naoczny świadek — znaleźliśmy w jednym więzieniu

¹⁾ ib. s. 548.

²⁾ Essad Bey „Die Verschwörung gegen die Welt“ (Berlin verl. Ett-hofen) str. 140.

³⁾ op. c. s. 353.

⁴⁾ ib. s. 131.

⁵⁾ ib. s. 130—131.

80 trupów; jakie męki musieli przecierpieć przed śmiercią! Oczy wylupione, języki powyrywane, brzuchy rozprute, u wielu całe części ciała odrabane, pozostały tylko tułowia¹⁾.

Tak wyglądały owe „święta uciśnionych“, wprawiające w zachwyt autora „Wyzwolenia człowieka“. Było to, zdaniem jego, wyrównaniem dawnych krzywd „oczyszczeniem i uzdrowieniem krwi narodu“²⁾. Zaiste mniej krwawym, niż bóg — Marx, był bóg najkrwawszej na świecie religii Meksyku, Huitzilopochtli, ten wymagał tylko 50,000 ofiar ludzkich rocznie.

Niestety, niema już Lenina, lecz żyją apostołowie jego nauki i prowadzą dzieło mistrza „z tak potężnym rozmachem i zachwalstwem intelektualnym i moralnym, z tak nieprawdopodobnym, wprost fantastycznym entuzjazmem, jakiego przykładu nie znają dzieje cywilizacji ludzkiej“³⁾. Ale czego dokonali? Na gruzach własności prywatnej stworzyli kapitalizm państwowy wraz z pańszczyzną niewoli i wepchnęli Rosję w otchłanie nędzy, o jakiej nie słyszano przed wojną, choć była ona wielka, bardzo wielka i ciężka,—a z nędzy tej powstało ludożerstwo. Czyżby to miało być sowieckim rajem i radością życia, tym „systemem jasnych prostych i swobodnych stosunków społecznych“⁴⁾, tym ideałem, który odurzone szumną frazeologią autora, a liczne, jak słyszę, zastępy obecnych i przyszłych wychowawców naszych dzieci wszczepiać będą w ich dusze?

Padolem płaczu jest ziemia i pozostanie nim. Choćbyśmy tu u nas, w Polsce, nie 50-ciu oficerów, jak w Taganrogu w r. 1918,⁵⁾ spalili w wielkich piecach fabrycznych, lecz wszystkich, ilu ich jest, i wraz z nimi wszystkich ziemian i przemysłowców, wszystkich kapitalistów aż do t. zw. „kułaków“ czyli tych, co pracą i oszczędnością zdołali uciuć jakieś marne 100 zł., krzyczące zbrodnie, które autor zarzuca rządowi burżuazyjnym—nie przeczę, że zdarzały się i zdarzają — trwać będą nadal

¹⁾ ib. s. 128—129.

²⁾ W. Spasowski, op. c. pr. s. 545.

³⁾ Spasowski, op. c. str. 543.

⁴⁾ ib. str. 544.

⁵⁾ Essay Bey, op. c. str. 124.

uprawiane przez nowych władców, pod panowaniem których podwładni nierównie więcej cierpieć będą, niż pod rządami burżuazji. Nic w tem dziwnego, stworzono bowiem nową atmosferę moralną, w której nastąpiło przewartościowanie wszystkich wartości; dotychczas uważano wolność za synonim postępu, niewolnictwo za rzecz pogrzebaną na zawsze, ale tryumfujący w Sowietach komunizm uznał wolność za przesąd burżuazyjny, niewolnictwo za wyraz i dowód postępu, a chaos w umysłach jest taki ¹⁾, że są Europejczycy, którzy uwierzyli, iż obcegi nałożone na myśl, nietylko na myśl, lecz i na wolę są szczęściem, a wolność — czemś, od czego uciekać należy.

Nędzy i niedoli ludzkiej nie usunie żadna moc, można to tylko łagodzić, umniejszać. Czy raczy wiedzieć autor „Wyzwolenia człowieka“, twierdzący, że kapłan jest najniebezpieczniejszym pasożytem, jadowitym pajakiem życia, że „każdym zdaniem, które wypowiada, nietylko błądzi, ale łże ²⁾, czy wie on, że ojcowie Kościoła, doktorowie Kościoła, wielcy pisarze katoliccy wychodzili stale z założenia, iż bogacz włodarzem jest u Pana Boga odpowiedzialnym za użytek, jaki z mienia swego robi. Bossuet określał Kościół jako miasto ubogich, w którym bogaci są tolerowani, nic ponadto. „Bogaci — pisał on — są w Kościele tylko dla ubogich; tych ubogich, których za nic macie, Bóg ustanowił swymi skarbnikami i poborcami, Bóg chce, aby składano w ich ręce wszystkie pieniądze, jakie mają wejść do jego skarbcza“. Siła socjalizmu — pisał za dni naszych ś. p. wielki biskup węgierski Ottokar Prohászka — polega nie na doktrynie Marxa, nie na jego materjalizmie historycznym, są to stare wyblakłe antydogmaty; nie polega również na organizacji choć niezaprzecznie umiejętnej i zwartej, rzeczywistym źródłem siły jego jest nędza proletariatu“... „Kościół uznaje świętość prawa własności, ale nie każdej; powstajemy przeciw straszliwej lichwie, którą uprawia plutokracja, nie możemy ścierpieć, aby wszystkie bogactwa świata miały być

¹⁾ Et le désordre est tel qu'il y a des Européens pour les croire.
Por. Coudenhove Calergi, „Staline“, Vienne, Hofburg str. 54.

²⁾ Op. c. str. 49.

zgromadzone w ręku kilku wybrańców; jest to przeciwne prawu natury i prawu własności".¹⁾

Nic łatwiejszego, jak wytykać Kościołowi rozmaite nadużycia, błędy, grzechy, nawet zbrodnie. Że religja inkwizytorów była zboczeniem moralnym, które objawiało się nietylko w katolicyzmie, ale i po za granicami jego, o tem pisałem nieraz. A jak energicznie i jak pięknie wystąpił niemal w przededniu śmierci swojej przyjaciel mój, jeden z najgłębszych nowoczesnych myślicieli katolickich, O. Lucjan Laberthonnière²⁾, przeciw przymusowi w rzeczach wiary. Przymus ten nauka chrześcijańska potępia bezwzględnie; niestety, obok nauki chrześcijańskiej bywały także przeistaczające ją interpretacje teologów: „Jeśli je odrzucacie, jeśli uznajecie przymus za rzecz sprzeczną z ewangeliczną misją Kościoła, głoscie to otwarcie i stanowczo, bez utajeń i przemilczeń, bez niedomówień, wyrzeczcie się wszelkiej solidarności z przeszłością, nad którą ciążyą błędy i bezceństwa; jeśli znajdziecie okoliczności łagodzące, to mówcie o nich, tylko nie zaprzeczajcie temu, że błędy i bezceństwa były, bo chodzi tu o sprawę niezmierniej wagi: o przyszłość chrześcijaństwa w świecie, a zatem i o przyszłość świata“.

* * *

W czerwcu odbył się w Warszawie zlot czerwonych harcerzy przy udziale gości, przybyłych z Niemiec i Czech; obecnych było kilku posłów, jeden z nich podniósł na maszcie sztandar czerwony, drugi witał młodzież, jako część międzynarodowego frontu robotniczego, walczącego z odwiecznymi ciemnosciami. Charakter uroczystości był taki, jak gdyby ojczyzną zgromadzonej młodzieży nie była Polska, ale Międzynarodówka, celem zaś — walka klasowa. Zaznaczając to, redakcja niestety, już nieistniejącego miesięcznika „Wal-

¹⁾ Por. M. Zdziechowski, „Fr. Ozanam a czasy obecne“ w Pax Nr. 10, 1933.

²⁾ „L'usage de la contrainte dans l'église“ w Pracach Polskiego Towarzystwa dla badań Europy Wschodniej Nr. IV Kraków, 1934.

ka z bolszewizmem" (1917, wrzesień), zwróciła uwagę na ogromne podobieństwo między naszymi czerwonymi harcerzami, a bolszewickimi pionierami. Piszemy o tem—dodawala—nie dlatego, byśmy chcieli napadać na P. P. S.; wręcz przeciwnie — piszemy z całą życzliwością i zwracamy się do światlejszych wodzów P. P. S. z gorącym apelem: zastanówcie się, w czyje objęcie pchacie młodzież robotniczą; oczyszćcie T. U. R. z jaczejek i osobników komunistycznych".

To ostatnie łatwe nie jest. Pomimo że są, jak słyszę, różnice jakieś między socjalistami i komunistami i bywały nawet walki uliczne między nimi, różnice owe i przez lupe dostrzec się nie dają, siłą zaś rzeczy, siłą żelaznego prawa logicznej konsekwencji, socjalizm toruje drogę komunizmowi, a komunizm—dyktaturze nie proletariatu, lecz tych co na proletariacie siedli, na nim siedzą i na nim swoje osobiste interesy obrabiają.

Jakież są skutki bolszewickich rządów tam, gdzie bolszewizm niepodzielnie panuje, w Rosji, zwłaszcza w zakresie życia młodzieży? W r. 1927 wyrwała się stamtąd dr. med. p. Kozicka, rosjanka, i wygłosiła odczyt publiczny w Baranowiczach. Straszny to był odczyt. Dzieci w Rosji już niema — twierdziła prelegentka — wszystko, co latami młode, nosi na sobie piętno zwyrodnienia. Zwyrodnienie to ma cztery źródła: zniszczenie rodziny, nędzę materialną, alkohol i syfilis. Między rokiem 12 a 14-ym dzieci w ogromnej większości są już zarażone chorobami wenerycznymi. Dzieci te piją na zabój, piją z niemi starsi, piją wszyscy, mężczyźni i kobiety, bo nie pić w kraju sowietów nie podobna, gdyż wódka tylko daje chwilowe zapomnienie tego, co się tam przeżywa i na co się patrzy, a zapomnienia szukają wszyscy w nieszczęśliwym przez Boga i ludzi przekętym kraju, którym rządzi zgraja łotrów. Naród cały — kończyła prelegentka — jest skazany na zagładę i o tem wie" ¹⁾).

Ale może wywody jej były wybuchem bólu, rozpacz, może nieświadomie przesadzała? O, nie; posłuchajmy, co mówił jeden z wodzów bolszewizmu, ten mianowicie, który aż do

¹⁾ Por. „Za Swobodu" (po ros.) 1928, Nr. 8.

roku 1927 był ministrem oświaty, niedawno zmarły komisarz Łunaczarski. W lutym 1 marca r. 1927 miał on w Akademii Komunistycznej Moskiewskiej dwa referaty o „nastroju dekadentckim i defetystycznym wśród młodzieży“¹⁾.

Ma się rozumieć, mówił on na wstępie o chwale komunizmu, jako nowego czynnika w budowie nowego świata. Ale czem się to dzieje, że właśnie w chwili największego tryumfu zaznaczają się tam — i to wśród młodych i najmłodszych — objawy dekadencji, świadczącej, że Rosję sowiecką zaraził duch niewiary, nie w Boga, rzecz jasna, lecz w nieomylność i trwałość tego, co się tam głosi i robi? Pan komisarz, zamiast tłumaczyć, tylko stwierdził fakt. Dekadencja młodzieży objawia się w dwóch postaciach: chuligaństwa i pesymizmu; chuligaństwo prowadzi do zbrodni, do szału zbrodniczości, jako zjawiska masowego; pesymizm prowadzi do masowych samobójstw. Mówią o tem cyfry, a język cyfr — wyznaje Łunaczarski — jest ścisły, suchy, wymowny. Na cyfry niema rady, nie da się im zaprzeczyć. W ciągu jednego roku było w Izbie Sądowej Moskiewskiej 70 spraw o zgwałcenie, 70 tysięcy o alimenty. Młodzież miała być nosicielką idei komunizmu, w tym duchu ją wychowano, ale nieubłagane cyfry wskazują, że właśnie wśród komsomolców, tych pieścuchów rewolucji, rekrutują się zastępy chuliganów i że Komsomol (Komunističeskij Sojuz Maładioži), nie tylko nie jest antidotum na truciznę chuligaństwa, ale działaniu trucizny tej sprzyja. Wszystko to, zdaniem Łunaczarskiego, świadczy, że zbliża się rewolucja przeciw istniejącemu, t. j. bolszewickiemu porządkowi.

Daj Boże, aby tak było; dotychczas tego nie widzimy. Narody i państwa Europy nienawidząc się wzajemnie i kłócąc, solidarne są w jednym, w podtrzymywaniu Sowietów. „Daremnie krzyczę Europie do uszu: obudź się — skarży się największy pisarz rosyjski, Mereżkowski — Europa nie słyszy i oślepla! Daremnie po wszystkich schodach włóczę swoje stare nogi, do wszystkich drzwi stukając; byłem u namiestnika Chrystusowego, widziałem biskupów, trącających się kielichem

¹⁾ „Upadocžnoje nastrojenje sredi maładioži“. Por. („Za Swobodu“) 1928, Nr. 17.

z bolszewikami na cześć Antychrysta; zlałem Wells'a, który pierwszy z Europejczyków jeździł do Moskwy i jadł i pił na bankiecie ludożerców, czekałem u Herriot'a w salonie na audjencję i wraz ze mną czekali tam komisarze bolszewicy, dobrałem się do samego Nansena, który kupił sobie koncesję nad Wołgą za 30 srebrników, zapłaconych niewinną krwią rosyjską. Załamał się już głos i brzmi jakby z pod trumny, ale nie ustaję w ostrzeganiu was, opamiętajcie się, każde dotknięcie bolszewizmu jest niebezpieczeństwem śmiertelnym, a wy ich dopuściliście do Genewy! jedno z dwojga: albo się zjednoczycie przeciwko nim, albo was pożre nieunikniona bolszewicka zaraza morowa“.

Zdaje się nam, że niebezpieczeństwo najazdu bolszewickiego minęło na zawsze i pozostaje nam tylko zaskarbić przyjaźń Sowietów uprzedzającą, uniżoną grzecznością i gotowością do spełniania ich życzeń czy rozkazów. Tak nie jest; najazd się przygotowuje, nastąpi straszne przebudzenie, niespodzianie nawałnica nowa spadnie, jak w w. XIII spadła nawałnica tatarska, której się nikt nie spodziewał

Czytałem niedawno rozprawę znakomitego wojskowego o strategii Czyngishana ¹⁾. Wykazywał w niej autor, że była ona przeciwieństwem opracowanej przez Niemców Clausewitza i Bülowa strategii czasów naszych, która, kreśląc plan ofensywy, wyraźnie oznacza jej cel i granicę, której przekroczyć nie wolno; wszelki bowiem rozmach prowadzi za sobą rozluźnienie związku wojsk nacierających z podstawą operacyjną i tem samem utrudnia dowóz żywności i amunicji. Strategia Czyngishana polegała na tem, że miał on swoją podstawę operacyjną nie za sobą, lecz przed sobą; brzmi to paradoksalnie, ale rozumieć to trzeba tak, że zanim nastąpić miał najazd, umiejętna propaganda musiała przygotować w upatrzonym na zdobycie kraju wszystkie drogi i ścieżki, korzystając ze wszystkich w nim niedomagań politycznych i społecznych, wszelkich wewnętrznych niesnasek, podjudzając jednych przeciw drugim, przekupując tych, obiecując tamtym i w ten sposób osłabiając,

¹⁾ Gen. Simanskij: „Ewolucja sztuki wojennej“ w gaz. „Za Swobodu“ 1928 luty i marzec

niszcząc odporność moralną ludności; gdy oznaki rozkładu były już widoczne, następował najazd, a podbite i zajęte obszary stawały się źródłem nie utrudnień, lecz przyływu nowych zasobów, nowych środków do powiększania armji.

Tejże zasady trzymały się Sowiety w r. 1920, ale się przerachowano tam co do chwili. Nadłamana była przez propagandę moralna moc narodu, lecz jeszcze niezłamana, gdy najechali.

Opowiadała mi znajoma moja, należąca niegdyś do P. P. S., dlaczego od socjalizmu odeszła. W lipcu 1920 r. opuściła Wilno, szukając przed falą bolszewicką schronienia w Warszawie. Tam udała się, jak w dym, do dawnych koleżanek swoich i kolegów z partji i jakże zdumiona była, widząc, jak z upragnieniem wyczekują bolszewików, jak niecierpliwie rachują dni i godziny. Pod tem wrażeniem obudziło się w niej uczucie patriotyczne; miłość ojczyzny zastąpiła nienawiść klasową. Sądzę, że wielu wówczas ewolucję podobną przebyło i że temu zawdzięczamy „cud nad Wisłą”. Najeźdźcy się cofnęli, ale bronni nie złożyli, ze zdwojoną gorliwością zabrali się do propagandy i w ten sposób przygotowują w duszach mieszkańców i obywateli naszego państwa podstawę operacyjną do przyszłego najazdu. Na szkołę, na dzieci i młodzież skierowane są ich wysiłki; jakże ciężkie i wielkie jest wobec tego zadanie nauczycielskie.

Przed kilku miesiącami zwrócił się do mnie z listem człowiek o wybitnej inteligencji, a zajmujący posadę zbyt skromną, ażeby mógł mieć to znaczenie i ten wpływ, jaki daje stanowisko wyższe w hierarchji urzędniczej czy społecznej. List ten silnie wywarł na mnie wrażenie głębokiem odczuciem i głęboką analizą grozy bolszewickiej. „Bolszewicy — pisał — są stroną atakującą; zwiększa to szanse ich zwycięstwa, choć silni są nie tyle siłą swoją, ile naszą słabością: my się tylko bronimy; bronimy tego, co jest, a że to co jest, jest wadliwe, przeto atakowi oprzeć się nie umiemy i ustępujemy krok za krokiem; nie mamy żadnego fascynującego hasła i jakby w przeczuciu nieuniknionej porażki, zawczasu szukamy katakumb, w których mogłyby się przechować resztki cywilizacji i człowieczeństwa. Umiemy tylko stękać: że bolszewicy są źli, bolszewicy są

okrutni i przebiegli, bolszewizm grozi nam zagładą, bolszewizm trzeba wytępić. Ale takie ujęcie sprawy jest jej zaciemnieniem wskutek obawy drażnienia żywiołów krańcowo czerwonych. Trzeba zrozumieć, że bolszewizmu, jako idei, doktryny, niema; są tylko bolszewicy, a są oni zgrają łotrów, którzy się chwycili idei komunistycznej. nią się posługują i jej esencję streściwszy w hasło *grab' nagrablyennoje*, z tem hasłem zwyciężyli i opanowali Rosję. Nie zwyciężyłaby jednak zgraja ta, gdyby nie była zcementowana fanatyzmem kilku manjaków w dobrej wierze przeświadczonych, że ze zniszczenia i chaosu, z mordów i okrucieństw, z kradzieży i grabieży wytryśnie jakiś świat nowy. Jak wilki i szakale idą za zwierzyną, tak bolszewicy idą za komunizmem. Komunizm jest dżumą, to czarna śmierć zdobna niekiedy w idylliczne marzenia i w błędne ogniki idealnego ustroju na ziemi, wabiące na bagienną topiel. Co mamy dżumie komunizmu przeciwstawić? Indywidualizm,—odpowiadał autor — wartość społeczeństwa zależy od wartości jednostek i autor radby widzieć powstanie jakiegoś związku indywidualistów, jakiegoś nowego rycerstwa społecznego, walczącego o prawa człowieka. Indywidualizm nie jest rzeczą nową, on tkwi w nas, jest naszą siłą żywą; odpowiednie jej nastawienie uczyni z niej siłę nową. Tylko pod sztandarem indywidualizmu znalazłaby się, zdaniem autora, wystarczająca liczba ochotników na krucjatę przeciw bolszewikom i tylko pod presją indywidualizmu zdobyłyby się rządy na energiczniejsze wystąpienia przeciw dżumie komunizmu.

Autor wezwał mnie, bym myśl jego poparł. Tego nie zrobiłem. Nie podzielam jego optymistycznego złudzenia, hasło indywidualizmu nie może być hasłem fascynującym w epoce powszechnej prostracji moralnej, za mało jest wyraźne i konkretne, aby pociągnąć mogło. Do wyrazu indywidualizm dodałbym przymiotnik „chrześcijański“. Idea to stara, to Civitas Dei, o której marzył największy z myślicieli chrześcijańskich, św. Augustyn, w chwili tak bardzo przypominającej naszą epokę, w przededniu ostatecznego upadku imperjum Rzymskiego pod ciosami barbarzyństwa zzewnątrz. Dziś, na chrześcijaństwo i kulturę chrześcijańską idzie barbarzyństwo wewnętrzne, wszystkie żywioły rozkładu we wszystkich krajach,

podsyćane z zewnątrz tą ogromną siłą, jaką jest masa rosyjska w ręku jej tyranów.

Taką Civitas Dei powinniśmy tworzyć my wszyscy, którzy wychowujemy czy to młodzież w uniwersytetach, czy dzieci w szkołach powszechnych.

Wychowywać zaś, to nietylko nauczać, „wychowywanie jest apostołstwem”—przytoczyłem na wstępie słowa X. Laberthonnière'a—i jego słowami skończę ten wykład. „Gdzie są i czy są — pyta on — wychowawcy tego apostołskiego typu? Nie wiem. Ale to wiem, że wszelka pedagogja oparta nie na ideale chrześcijańskim jest frazeologją pustą i kłamliwą i że do niczego w wychowaniu się nie dojdzie, jeśli ci, co koło tego chodzą, nie będą się czuli przez ideał wznoszonymi ponad ziemię (*soulevés de terre par cet idéal*) i jeśli, przewidując, wiedząc, że na wysokość tę wzbić się nie zdołają, niezmordowanie jednak usiłować będą choć cokolwiek do niej się zbliżyć ¹⁾.

¹⁾ „Théorie de l'Education“ por. str. 106—107.

XVI.

NAUKA I UCZENI W ROSJI SOWIECKIEJ

Najgroźniejszym, najniebezpieczniejszym wrogiem naszym był Carat, dopiero po nim Niemcy. Carat runął, niema go. Powinnibyśmy radować się, tryumfować. Nie, powodu do tryumfu niema, skoro jedno zło zwalone zostało przez drugie nierównie straszniejsze i potężniejsze.

Rozumieliśmy to wszyscy w r. 1920, gdy hordy czerwone szły na Warszawę; dziś nietylko rozumieć przestano, ale Sowiety stają się przedmiotem uniżonej, podlej czci. Nie wiem po raz który powtórzę tu słowa Arcybaszewa, że „wszystko na świecie ma granice swoje, jedno granic nie ma: podłość człowieka”. Instynkt podłości czyli czołobitnego tarzania się przed złem leży gdzieś na dnie duszy każdego z nas i nie każdy umie go stłumić. Im wstrętniejszą jest postać, w jakiej objawia się zło, im zuchwalej i okrutniej depce ono po ludziach i trupach, tem bardziej imponuje, zginają się przed niem kolana w perwersyjnym jakimś uwielbieniu. Pewien poeta wileński pisze hymn na cześć „wielkiego apostoła” Lenina. Co to ma znaczyć? Czy nie przypomina to perwersji erotycznej, dla której rozkoszą jest być poniewieranym, bitym, czuć na sobie dziką chamską rozpasaną przemoc? Czy perwersyjna rozkosz myśli brutalnie wciśniętej w obcęgi i wyrzekającej się wolności, wolnych orlich lotów w górę, a wysławiającej rok, „który się począł 16 lat temu w Moskwie”, czyli kajdany swoje, niewolę, nie jest w istocie swojej negacją Piękna, a kultem Szatana, szatańskiego pierwiastka w człowieku, w historii, we wszechświecie?

Ale czy mamy się dziwić młodym, a chorym na zanik sumienia, skoro w poważnych gazetach poważni ludzie zwiastują, z powodu paktu z Sowietami, nową erę historyczną, w której dwa sprzeczne i wzajemnie się wykluczające systemy polityczne i ekonomiczne mają się połączyć dla jakiegoś niewiadomego celu. W tychże gazetach korespondenci z Moskwy opowiadają o niebywałym rozkwicie nauki w Sowietach, o coraz wyższym poziomie cywilizacyjnym, na który Sowiety „windują swoją zacofaną ojczyznę“.

Poczuwam się do obowiązku wniesienia protestu przeciw kłamstwu o rozkwicie sowieckiej nauki. Sowiety energicznie się przygotowują do wojny; w tym celu potrzebują wydoskonalonych narzędzi niszczenia; nie przeczę, że mogło tam się znaleźć kilku wybitnych techników. Ale nauka, o ile się nie da do tego specjalnego celu zużytkować, przedstawiciele jej i cały świat naukowy, cała inteligencja, czyli ci wszyscy, co chcą własnym mózgiem myśleć, skazani tam zostali na śmierć, albo doraźną, albo powolną.

Powołać się mogę na kolegę mego z lat szkolnych prof. Massoniusa, który ma to wielkie przede mną pierwszeństwo, że ze światem sowieckim zetknął się bezpośrednio w więzieniach Mińska, Bobrujska i Smoleńska. „Chodzi im — pisze on w znakomitej rozprawie swojej o bolszewictwie ¹⁾ — o rozbicie inteligencji, o zupełne strącenie jej na niziny społeczne; bolszewictwo jest w swej istotnej głębi walką z inteligencją — i to walką głęboką i radykalną“. Inteligencja jest im nienawistna, jako taka, bez względu na poglądy, jakie wyznaje, konserwatywne czy rewolucyjne. Człowiek bowiem inteligentny, choćby zaciekłym był wrogiem istniejącego porządku, „choćby całość kultury dzisiejszej uważał za niewartą niczego oprócz olbrzymiego ładunku pyroksyliny“ — człowiek ten cenić jednak będzie mądrość wielkiej myśli naukowej, odczuje piękno wielkiej poezji i sztuki, pojmować będzie wolność i żądać jej dla siebie i innych; więc precz z inteligencją, „kopnąć ją, sponiewierać, zdeptać“. Drogę do tego wybrano trafnie, utrudniając

¹⁾ Prof. Marjan Massonius: „O bolszewictwie“ (Poznań, 1921) Księgarnia św. Wojciecha, por. str. 15 i 70 — 75.

życie do ostatecznych granic: „niech się stanie tak ciężkie, tak nieznośne, że wyczerpana bezowocną walką, przez pół sparaliżowana, osłupiała inteligencja gotowa będzie na wszystko za kromkę spleśniałego chleba, za jaki taki spokój i bezpieczeństwo osobiste“.

Pisał to prof. Massonius w r. 1921, terror zaś w stosunku do nauki i jej przedstawicieli wzrastał się od tego czasu i wzrasta się z rokiem każdym, niemal z każdym dniem. Mam przed sobą list od prof. Prawocheńskiego, napisany zapewne w porozumieniu z Rosjaninem, prof. Spiczakowem, który szczęśliwie wydostawszy się z Sowietów przed laty 8 - iu, otrzymał w Krakowie katedrę ichtyologii na wydziale rolniczym. Są oni w korespondencji z prof. Czernawinem też wybitnym zoologiem, który katedrę tę zajmował do niedawna w Moskwie. Skazany na 10 lat katorgi na Sołowkach, zbiegł z pod Archangielska i przez lasy i moczary Karelji przedostał się do Finlandji. Podał on imiona 70 - iu uczonych, których zamęczono albo skazano na katorgę. Znajduję w tej liczbie mego znajomego, historyka Tarle; był jednym z najświetniejszych prelegentów w Petersburgu, żadna z sal uniwersytetu nie mogła zmieścić niezliczonej ilości jego słuchaczy; obecnie rozpoczął 60 rok życia, inni przekroczyli tę datę, wielu ma przeszło lat 70. Najznakomitszy z historyków rosyjskich, Płatonow, który przed kilku laty miał możliwość wyjazdu za granicę, a nie chciał rozstać się z ojczyzną, został uwięziony, w więzieniu przesiedział koło dwóch lat, poczem zesłany do Samary, zmarł tam w roku zeszłym w nędzy i w rozpaczach nad losem obu córek swoich, uczonych pracowniczek w Bibliotece Publicznej w Petersburgu, które poszły na katorgę, za to, że córkami jego były. Fizyka światowej sławy Łazarewa, skazano na 10 lat katorgi; w drodze zmarł, może z wycieńczenia, może rozstrzelany; żona jego odebrała sobie życie.

Podany przez prof. Czernawina spis 70 - iu męczenników nauki gazety rosyjskie emigracyjne przedrukowały, ale żadna z gazet europejskich, żadna gazeta polska. Spis ten jest niepełny; prof. Czernawin wymienił tych tylko, których los był mu dokładnie znany. Spis zupełny mógłby podać prezes Aka-

demji rosyjskiej, Karpiński, nie poda go, bo gdyby podał, skazanoby go także na rozstrzelanie, czy na katorgę.

Główna wina skazańców polegała na tem, że w swoim czasie nie podpisali wystosowanego do uczonych zachodnio-europejskich pisma, zawierającego obronę sowieckich władz przeciw zarzutowi terroru. W więzieniu przed i w czasie sądu poddawano ich wyrafinowanym katuszom: głodzono, nad łóżkiem wisiała lampa elektryczna ze światłem tak silnem, że nie mieli możności zaśnięcia. Ale najgorsze było to, że wiedzieli, iż równocześnie więziono ich żony i dzieci, aby wymóc od nich zeznania ich obciążające.

Utarł się w Sowietach zwyczaj i zapewne już się stał obowiązującym prawem, że skazanie męża automatycznie pociąga za sobą ukaranie żony. Więc jeśli skazano go na rozstrzelanie, żona dostaje 10 lat katorgi; w razie 10- iu lat dla męża żona ma 5 lat katorgi i t. d. w tej proporcji. Jeśli winy żony nie ma, to odpowiada najbliższy krewny, choćby nie był wmieszany w sprawę i odmienne, nawet komunistyczne miał poglądy. Jednym z następstw takiego stanu rzeczy są często, według prof. Czernawina, w gazetach sowieckich spotykane deklaracje podawane przez synów i córek uwiezionych czy podejrzanych rodziców i oświadczające, że nie mają i nic wspólnego z rodzicami mieć nie chcą. Są to t. zw. asekuracje przed możliwością aresztu i zesłania, czynione nieraz za wiedzą i namową rodziców, pragnących w ten sposób uchronić dzieci swoje od utraty posady, jeśli ją mają.

Na zakończenie przytoczę, wtrząsający szczegół opowiedziany też przez prof. Czernawina w liście prywatnym. Nie dotyczy on bezpośrednio prześladowania nauki i elity naukowej, ale rzuca straszne zaiste światło w otchłanie nieskończonej rozpacz, w których ginie inteligencja w Rosji — i nietylko rosyjska inteligencja. W tym bowiem wypadku chodzi o Polkę. Męża jej, inżyniera, skazano i wywieziono do jednego z obozów koncentracyjnych, jej wyznaczono inne miejsce zesłania. Zapytała w G. P. U. czy może liczyć na to, że ją wkrótce przeniosą tam, gdzie jest jej mąż. „Zobaczy go pani za lat 10“ brzmiała brutalna odpowiedź. Z siłą nadludzką, którą daje rozpacz bez granic i bez nadziei, rozerwała ona w obecności

urzędników własnymi palcami gardło swoje, pękła arterja i niebawem wskutek upływu krwi nastąpiła śmierć.

Jaka szkoda, że nie byli przy tem obecni ci, którzy w myślach, czy marzeniach swoich z lubieżną uniżonością kładą się plackiem przed „najpotężniejszym Komsomołem“; możeby się w nich obudziły jakieś ludzkie uczucia...

Wspomniany wyżej list prof. Prawocheński pisał do mnie jako „do jednego z tych nielicznych, co mają odwagę publicznie mówić prawdę o Sowietach“. Do czego dożyliśmy, jeśli mówienie prawdy o Sowietach poczytywane bywa za akt odwagi. Czcigodny kolega mój miał nadzieję, że dzięki wpływowi memu jakaś korporacja, czy instytucja naukowa da wyraz współczuciu swemu dla męczenników nauki i kultury w Rosji i napiętnuje oburzeniem i pogardą tę hańbę ludzkości, jaką jest Sowiecka Rosja. Nadziei tej nie miałem, nie mam.

XVII.

POLSKA A PRAWOSŁAWIE ROSYJSKIE

Ze wspomnień i wrażeń.

Pamięci księcia Grzegorza Trubeckiego poświęcam.

W chwili, gdy przystępowałem do pisania szkicu niniejszego, otrzymałem żałobną wiadomość o nagłej śmierci księcia Grzegorza Trubeckiego, młodszego brata obu już nieżyjących, równie głębokich jak świetnych przedstawicieli myśli religijno-filozoficznej rosyjskiej—Sergjusza i Eugenjusza Trubeckich. Grzegorz Trubecki, z zawodu dyplomata, był posłem w Serbji w pierwszych latach wojny światowej, potem dyrektorem kancelarii dyplomatycznej przy Głównej Kwaterze. Dyplomacja nie oderwała go od zagadnień religijnych, któremi się interesował niemniej gorąco, niż bracia jego. Dzięki temu poglądy jego na politykę nosiły znamię tak rzadkiej u dyptomatów podniosłości. W pierwszych latach pierwszej rewolucji rosyjskiej porzucił był chwilowo służbę dyplomatyczną i wspólnie z bratem swoim Eugienjuszem, redagował „Moskowskij Jeżenedielnik“, którego byłem współpracownikiem w zakresie spraw polskiej i katolickiej. Od tego czasu pozostawałem ze zmarłym w stałym przyjacielskim stosunku. Zagadnienia religii były zwykłym przedmiotem naszych rozmów ustnych i piśmiennych. Ostatni raz widziałem go w listopadzie r. z. Spędziłem wieczór u niego w Clamart, koło Paryża, mówiliśmy o stanie Cerkwi rosyjskiej w Sowietach i w Polsce. I teraz, pisząc, doznawałem nieraz wrażenia, że z nim rozmawiam — i dlatego imię jego, jednego z najszlachetniejszych Rosjan, jakich spotkałem w życiu, na początku szkicu tego stawiam.

Jedną z rzeczy najpiękniejszych w literaturze politycznej pod względem szlachetności i podniosłości myśli jest instrukcja, którą Napoleon III napisał w formie listu otwartego do marszałka Mac Mahon, mianując go namiestnikiem Algieru. Znajdujemy ją w V-ym tomie pism Cesarza; obejmuje sto z górą stronic druku¹⁾. Narody panujące—czytamy tam—mają wobec narodów podwładnych obowiązki wielkie i trudne, panowanie swoje uważać powinny za posłannictwo i usprawiedliwiać je, stwarzając w krajach podległych warunki bytu lepsze, niż te, jakie były, zgodne z religją, tradycjami, obyczajami i kulturą podwładnego narodu. Z tego stanowiska poddawał Cesarz surowej krytyce wszystkie systemy rządzenia, jakie przedtem kolejno następowały po sobie w Algierji, szczegółowo zaś wyłożywszy zasady, jakimi nowy namiestnik kierować się ma w dziedzinie administracji, samorządu, sprawiedliwości, oświaty, gospodarstwa, walki z lichwą i t. d., wyrażał w końcu życzenie i nadzieję, że przyjdzie chwila, w której Arabowie ujrzą w rządach francuskich interwencję Opatrzności w celu ich podniesienia moralnego i materialnego; Algier stanie się atrakcją dla Arabów z innych części Afryki i Azji.

Podobną myśl głosił w ostatnich latach wieku zeszłego Borys Cziczeryn w III tomie swego „Kursu nauki o państwie“, stawiając, jako zasadę, że naród panujący powinien nie tylko wyświadczyć narodowi czy narodom podwładnym zupełną sprawiedliwość, ale powinien moralnie wznieść się nad nimi, zlewając na nie nowe, nieznane im przedtem dobrodziejstwa; w ten sposób węzłem mocnym przywiąże je do siebie.

Jakież piękne i zarazem wdzięczne dla siebie zadanie miałyby Polska, stosując zasadę tę do swoich obywateli rosyjskich i do prawosławia! Wobec straszliwego męczeństwa, przez jakie przechodzi prawosławie w państwie Sowietów, Cerkiew rosyjska w Polsce ciążyć do dziczy sowieckiej, oczywiście, nie może, a natomiast mogłaby się stać na naszym gruncie pożytecznym ze stanowiska państwowego czynnikiem. Jakby politykę naszą w tej sprawie osądził ś. p. Borys Czi-

¹⁾ „Oeuvres de Napoléon III“. Paris. Plon. 1869.

czerin, tego nie wiem, ale oto co mówił do mnie w r. 1925, w Paryżu, ks. Grzegorz Trubecki, a w słowach jego czułem rzeczywistą troskę o przyszłość: „Czy się zastanawiacie nad tem. co robicie? Uciskacie prawosławie, jakgdybyście zapomnieli o tem, jak zgubnie to wpłynie na przyszłe, po upadku bolszewizmu, ukształtowanie się naszych wzajemnych stosunków“. Słowa te tem silniejsze zrobiły na mnie wrażenie, że ten, który je wygłaszał, był szczerym przyjacielem narodu naszego, czego składał dowody przed wojną, w stosunku zaś do katolicyzmu nie tylko był wolny od wszelkiej niechęci, ale pełen rzetelnego uznania. Nic dziwnego, miał szczęście znać osobiście kardynała Mercier: „Ktokolwiek — pisał o nim we wspomnieniu pośmiertnym — zbliżył się do niego, ten ulegał błogosławionemu czarowi świętości, którą promieniał...“ „Mnie się zdaje, że świat bez niego osierociał“.

Słowa ks. Trubeckiego dotyczyły spraw, związanych z kwestją autokefalji prawosławnej w Polsce, której tu poruszać nie zamierzam. Sądzę jednak, że powodów do troski i niepokoju jest dziś nie mniej, raczej więcej, niż wówczas. Biskupi nasi wystąpili z żądaniem zwrotu koło 750 niegdyś katolickich, albo unickich, dziś prawosławnych świątyń; równocześnie zaś i to w chwili, gdy ze szpalt urzędowych pism sowieckich sypią się na nas grubiańskie obelgi, agenci zaś sowieccy w sejmie i poza nim szerzą wywrotową propagandę, urzędnik, zajmujący wysokie stanowisko, oświadczył w interviewie, że „byłoby szaleństwem ze strony Polski uczestniczyć w jakiegokolwiek akcji, mającej na celu obalenie obecnego rządu w Moskwie“ i że niepożądane i niewłaściwe są antykomunistyczne i antysowieckie wystąpienia niektórych organów prasy polskiej. Co to miało znaczyć?

Kwestji udzielenia czynnej pomocy emigrantom rosyjskim, czy jakimkolwiek innym przeciwnikom rządów sowieckich w ich walce z ciemnością, u nas nie stawiano i nikt o tem, o ile wiem, nie myśli. Jeżeli więc samo przypuszczenie czegoś podobnego napętnia taką obawą, to czyż nie oznacza to, że właśnie Rosja sowiecka, nie zaś jakaś inna, jest pożądanym dla nas sąsiadem, z którym, choć nie proszeni o to i pogardliwie odpychani, zawiązać chcemy najprzyjaźniejsze stosunki.

I jakgdyby na potwierdzenie mego przypuszczenia, po dniach kilku pojawił się w „Gazecie Polskiej“ (21 gr. 1929) pod adresem emigracji rosyjskiej artykuł, w którym ze zdumiewającą otwartością postawiono wszystkie kropki nad i w wywiadzie udzielonym przez owego urzędnika. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w prasie naszej spotkał coś równie bezczelnego, jako cynizm i perfidja. „Musimy się rachować z opinią sowiecką (sic) — dowodzi autor, którego pokrótce streszczam — bolszewicy w krwawych walkach ugruntowali władzę swoją; władzę tę przyjęły szerokie masy ludowe, my zaś, przyjmując to do wiadomości, uszanować powinniśmy wolę narodu, który chce mieć nad sobą swoich dzisiejszych władców, nie zaś jakichś tam carskich generałów. Nie chcemy i nie mamy prawa wtrącać się w jego sprawy wewnętrzne i gdyby, przypuścmy, zwalenie rządu sowieckiego było w naszym interesie, a w Europie powstał antysowiecki blok, my do niego nie przystąpimy nigdy; dajemy tem dowód istotnego szacunku dla narodu rosyjskiego i to nasze stanowisko oceni i dzisiejsza i przyszła Rosja“. Te służalcze zapędy swego współpracownika drukowała gazeta, uchodząca, słusznie czy nie, za półurzędową, w chwili gdy z rewelacyj Biesiedowskiego dowiadywał się świat, że każde poselstwo sowieckie jest nietylko ogniskiem propagandy, o czem wiadano — ale także kuźnią spisków i zamachów, i że w kuźni Warszawskiej przygotowywano wysadzenie cytadeli i roztrząsano sprawę zamordowania marsz. Piłsudskiego. D. Filosofow pisze, że rewelacje te zadały cios śmiertelny dyplomacji sowieckiej. Mnie się zdaje, że odwrotnie, wzmocniły one, prznajmniej u nas, znaczenie jej i powagę: brutalna bezwzględność imponuje, jako dowód siły, i odtąd z tem gorliwszą czołobitnością śpieszyć będą na ul. Poznańską ci, których p. poseł łaskawie „na kawior“ zaprosić raczy.

Nie dziwię się przeto, gdy z ust Rosjanina, patrzącego na umizgi naszych sowietochwalców, słyszę, że Polska spekulować chce na nieszczęściu Rosji i nie zdziwiłbym się nawet, gdyby któryś z nich wygłosił, że tym wspólnym celem, który dziś łączy Polskę z Sowietami, jest walka z prawosławiem. Tego jednak nie słyszałem; w każdym razie widoczne jest w prasie rosyjskiej zdenerwowanie, nawet w artykułach publi-

cystów poważnych. Obok zaś tego dostrzegamy stałą tendencję, gdy mowa o przeszłości, do minimizowania prześladowań, jakich Kościół katolicki w Polsce doznawał ze strony rządu rosyjskiego. W organie zaś metropolji prawosławnej w Warszawie czytaliśmy niedawno artykuł, po którym znawca rzeczy rosyjskich Edw. Paszkowski, któremu nikt nie zarzuci jakichś antyrosyjskich uprzedzeń, słusznie zapytywał w „Czasie“, czy jest on dowodem bezbrzeżnej ignorancji, czy też tchnieniem *istinno ruskich* tęsknot. Sądzę przeto, że chcąc bezstronnie ocenić chwilę obecną we wzajemnych stosunkach katolików i prawosławnych w Polsce, należy pamiętać o przeszłości i dlatego, mając czytelników rosyjskich na względzie, przypomnę tu niektóre szczegóły i rzeczy, na które sam własnymi oczami patrzałem.

W połowie zeszłego stulecia jeden z najznakomitszych przedstawicieli t. zw. słowianofilstwa rosyjskiego, Jerzy Samarin, nazwał Polskę „ostrym sztyletem, który świat zachodnio-katolicki wbił w samo serce Słowiańszczyzny“. Słowa te znalazły żywy oddźwięk w szerokich sferach społeczeństwa rosyjskiego, żywszy jeszcze w rządzie. W epoce powstania polskiego publicysta z ogromną powagą i wpływem, a daleki od słowianofilskiego mistycyzmu, Katkow, wyraził się, że z dwojga złego — katolicyzm czy nihilizm — gorszem jest katolicyzm — i do dziś dnia pogląd ten błąka się po pismach kierunku eurazjatyckiego. Niedość jest jednak powiedzieć o sztylcie polskim, że jest ostry. Sztylet ten pochodzi z Zachodu, który słowianofilstwo uznało za zgniły, więc, w zgniliznie tej umoczony, grozi on gangreną zdrowemu ciału Rosji. Ma się rozumieć, że z tego stanowiska patrząc, najniebezpieczniejszymi wydają się ci, co z powołania i obowiązku szerzą naukę katolicką, czyli księża. Każdy z nich ma w sobie jad, którym zaraża wszystko, czego dotknie. Wyrazy *jad. jadowitość* w stosunku do duchowieństwa katolickiego grasowały w terminologii oficjalnej za panowania Aleksandra III, któremu najbliżsi jego doradcy, Katkow i Pobiedonoscew, umieli wpoić przekonanie, że niema zadania pilniejszego nad ochronę narodu od owego jadu.

Księża katolickiego postawiono na równi z notyfikowa-

nym przestępcą i z prostytutką, t. j. pod ścisłym dozorem policji. Internowano go w jego parafji, której granic nie wolno mu było przekroczyć pod groźbą surowych kar. Nie mógł odwiedzić swego najbliższego sąsiada, proboszcza przyległej parafji, nie miał, w razie choroby, prawa wyjechać do najbliższego miasteczka dla zasięgnięcia porady lekarskiej, jeśli miasteczko to w innej było parafji. Proboszcz z Rakowa, skąd pochodzę i gdzie rodzice moi mieszkali, ś p. X. Eustachy Karpowicz, wezwany do umierającej matki, wniósł natychmiast podanie do gubernatora; pozwolenie nadeszło po upływie dziesięciu miesięcy; matka jego już oddawna nie żyła.

Jeden z wujów moich, przybywszy w nasze strony dla odwiedzenia licznych krewnych, ciężko zaniemógł i zażądał spowiedzi. Było to nie u nas, lecz o cztery mile od Rakowa, w parafji, obsługiwanej przez protegowanego przez rząd księdza infamisa, który wprowadzał tam do nabożeństwa język rosyjski. Nie chciano go wezwać i zwrócono się do mego ojca. Ojciec mój porozumiał się z proboszczem naszym, ks. Świderskim ¹⁾ i o późnej wieczornej godzinie, gdy wszyscy we dworze i miasteczku ułożyli się do snu, zawiózł go, przebranego do niepoznania, na miejsce i natychmiast po spowiedzi odwiózł. Była to wycieczka forsowna, koło 60 wiorst w ciągu 4—5 godzin, ale chodziło o to, aby przededniem być w domu, z obawy, że w przeciwnym razie wiadomość o tej zagrażającej porządkowi publicznemu swawoli dojsćby mogła do władz.

Ś. p. przyjaciel mój, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, X. Wł. Knapiński, w doskonałej rozprawie o przepisach paszportowych dla księży ²⁾ opowiedział z właściwym sobie humorem odyseę między Warszawą a Częstochową pewnego księdza, który, otrzymawszy od bezpośredniej władzy swojej 4-tygodniowy urlop, zapragnął czas ten spędzić w Częstochowie. Po długich i mozolnych staraniach wyjednał zezwolenie od policji. Szczęśliwy, wsiadł do wagonu, ale w Skierniewicach,

¹⁾ Ks. Wincenty Świdorski należał do najzacniejszych i najgorliwszych kapłanów w kraju. Był później profesorem seminarjum w Petersburgu. Zmarł tamże, jako kanonik kapituły metropolitalnej Mohylewskiej.

²⁾ „Das polnisch-russische Staatskirchenrecht“ (Leipzig, 1890, Kasprowitz).

korzystając z 10-ciu minut postoju, wysiadł, ażeby się przejść po peronie. Podchodzi żandarm: „Wasz pasport“. — Ksiądz mu paszport pokazał, żandarm obejrzał i zwrócił. W owych czasach spotkanie żandarma pachniało zawsze czemś niedobrem. Ksiądz pośpiesznie wrócił do wagonu z mocnem postanowieniem nie opuszczania go aż do samego kresu podróży. Niestety, w Piotrkowie przycisnął go głód, wyszedł do bufetu; znowu podchodzi żandarm, obejrzał paszport i ogarnęła go wątpliwość. Nie było tam powiedziane, czy ksiądz miał prawo wysiąść w Piotrkowie; wysoki rząd łaskawie przymknął oczy na to, że w wagonie mogą przygodni towarzysze podróży ulec zgubnemu działaniu księdzowskiego „jadu“, ale czy wolno to jego działanie rozszerzyć na salę restauracyjną? Żandarm udał się z paszportem do wyższej władzy. Po paru godzinach wrócił z paszportem i wizą, ale tymczasem odszedł był pociąg, ksiądz czekać musiał na następny do późnej nocy. Wreszcie przybywa do Częstochowy koło 3-ej rano. Na dworcu czeka telegraficznie zawiadomiony o jego przybyciu żandarm i, zabrawszy paszport, wręcza mu pokwitowanie. Dotarłszy nareszcie do upragnionego celu, z uczuciem ulgi odetchnął nasz ksiądz. Działo się to 4 września 1889 roku. Trzy dni minęły spokojnie. Ale oto 7 września zjawia się u księdza policjant z rozkazem natychmiastowego wyjazdu. „Dlaczego?“ — „Jutro zaczynają się uroczystości odpustowe, w paszporcie nie powiedziano, że wolno księdzu w nich uczestniczyć“.

Co robić? Ksiądz wyjechał do znajomego proboszcza o wiorst kilka, ażeby tam czas odpustowy przebyć. Przyjechawszy, posyła paszport do zameldowania w urzędzie policyjnym. Ale stamtąd natychmiast go zawiadamiają, że miejsce, w którym się zatrzymał, nie jest wymienione w paszporcie; niech więc, nie zwlekając, wraca do Częstochowy. „Ale kiedy mnie właśnie stamtąd wyprawiono“. — „Pozostaje księdzu wrócić do stałego miejsca pobytu, t. j. do Warszawy“. Tak też biedny ksiądz robi; ale poczekawszy w Warszawie dni kilka, jedzie z powrotem do Częstochowy, bo odpust już tam minął. Na dworcu, jak tamtym razem, melduje swój paszport żandarmowi... „Jakiem prawem ksiądz znowu się tu pojawił, pozwolenie dano na jednorazową podróż; proszę najbliższym

pociągiem jechać z powrotem". Zrozpaczony ksiądz musiał do Warszawy wrócić, innego wyjścia nie było, ale nie dał za wygrane. W Warszawie, w urzędzie policyjnym, opowiedział swoje przygody i tak tem komisarza ubawił, że ten, nie pociągając go do odpowiedzialności za nielegalną powtórna wycieczkę, wystarał się o nowy paszport. Ksiądz znowu po raz trzeci odjechał, przybył do Częstochowy 19 września, więc ma jeszcze 11 dni do końca urlopu, 23-go przychodzi do niego policjant: „Proszę dziś jeszcze do Warszawy wracać”. — „Co się stało?” pyta przerażony ksiądz. „Jutro rano przyjeżdża tu djececzjalny biskup z Włocławka, na pobyt zaś w Częstochowie w czasie wizytacji biskupiej należy mieć specjalne zezwolenie, którego ksiądz nie posiada”.

Słowem, prześladowanie duchowieństwa dochodziło do absurdu, który w końcu rozśmieszał więcej, niż oburzał. Przytoczę jeszcze przykład. Według zwyczaju, obowiązującego w kościołach katedralnych, każdy z kanoników i prałatów kapitulnych ma z kolei swój tydzień, to znaczy, że w niedzielę celebruje sumę i nieszpory, w dniie powszednie odprawia ostatnią mszę przy wielkim ołtarzu. W czasach przedwojennych każda kapituła miała swego delegata w Petersburgu, w t. zw Kolegium katolickim, delegatem Wilna był prałat Biedrzyński. Przesadnie ostrożny i wskutek tego może niekiedy zanadto ustępliwy w owej smutnej epoce „rozpolaczania” (czyli rusyfikowania) katolicyzmu, był dzięki temu dobrze widziany przez rząd i udekorowany kilku orderami. Gdy jednak przybywał na wakacje do Wilna i chciał swoją kolej w swojej katedrze odbyć, władze administracyjne zakazywały mu spełniać to, co było jego prawem i obowiązkiem, sam wyraz „msza śpiewana” napełniał zabobonnym jakimś strachem przemądrych, stróżów bezpieczeństwa państwowego. Z Wilna udawał się zwykle prałat na kilka tygodni wypoczynku do swego siostrzeńca w Rakowie, wspomnianego wyżej X. Karpowicza. Tam widywałem go codziennie, odprawiającego z budującą pobożnością mszę św., ale nie wolno mu było mieć mszy śpiewanej, ani celebrować w niedzielę, ani spowiadać, ani wygłosić kazania, choć znany był jako dobry spowiednik i dobry kaznodzieja; wszystko to było ze stanowiska rządu zakłóceniem

porządku publicznego. Oficjalnie uzna na *blahonadieżność* nie ochraniała prałata od szykan policyjnych. Uważano ją bowiem, o ile nie była, czy przynajmniej nie graniczyła z apostazją, za przykrywkę, którą kapłani politycy zasłaniali swoją „jadowitość“.

Z szeregu gubernatorów Mińskich, którzy się przedemną przesunęli, jeden staje mi teraz w pamięci; dobrze wychowany, uprzejmy, wolny, jak się zdawało, od szczególnie złośliwych uprzedzeń do Polski i Polaków, był nieubłaganie twardy w stosunku do duchowieństwa i wogóle do katolicyzmu. Walkę z tym groźnym potworem uważał za misję, którą mu Bóg powierzył. Gdy po śmierci ojca mego delegacja mieszczan rakowskich przyszła do mnie z prośbą, bym wyjednał u niego zezwolenie na pogrzeb uroczysty, t. j. z chorągwiami i śpiewami, prośbę tę spełniłem niechętnie, wiedząc, że będzie to daremne — i rzeczywiście na telegram mój nadeszła odpowiedź odmowna. Uczynny w każdej innej okoliczności, gubernator ów nie odważył się postąpić w tym wypadku niezgodnie z tem, co za swój święty obowiązek służbowy poczytywał.

Są to wszystko rzeczy małej wagi; przechodzę do ważniejszych. Ze stanowiska rządu „gangrena“ katolicka była szczególnie groźną dla państwa w gubernjach bezpośrednio graniczących z Rosją rdzenną, czyli na Litwie i Białej Rusi. Tam zamierzono doszczętnie wytępić katolicyzm. Po roku 63 rozpoczęto systematyczne zamykanie i zabieranie kościołów, zwłaszcza murowanych. W Mińsku kościół bernardynek oddano mnichom prawosławnym, kościół benedyktynek — prawosławnym mniszkom, kościół dominikanów przerobiono na koszary dla wojska, kościół bernardynów na archiwum. Pozostała tylko była katedra wraz z kościołkiem na cmentarzu za miastem, na t. zw. Złotej górze. Bezskutecznie starano się odtąd o zezwolenie na budowę nowej świątyni, dopiero po ukazie o tolerancji z r. 1904 ś. p. Edward Woyniłłowicz wystawił własnym kosztem okazały kościół na ul. Zacharzewskiej. — W najbliższym sąsiedztwie Rakowa zabrano obydwie kościoły murowane w Iwieńcu i murowany kościół w Dubrowach, prócz tego kościół drewniany w Wołmie, a to w celu dokuczenia właścicielowi Wołmy, marszałkowi szlachty p-tu Mińskiego, Leonowi Wańkowiczowi.

Licząc na swoje stosunki w Petersburgu, marsz. Wańkowicz napisał był memoriał o stanie kraju naszego i podał go ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych, hr. Wałujewowi, używającemu opinii człowieka liberalnego, „Der edle Wałujew“, tak go charakteryzowano w głośnych wówczas „Bilder aus der Petersburger Gesellschaft“. Ten odesłał memoriał gubernatorowi Mińskiemu, gubernator zaś uznał za najstosowniejsze ukarać śmiałego autora w sposób, któryby odstraszył innych od naśladowania jego przykładu, więc zabrać rozkazał kościoły w obu jego majątkach: Wołmie i Śmiłowiczach i w dodatku całą parafję Wołmiańską zapisał na prawosławie, pomimo oporu ludności. W oporze swoim dzielni Wołmianie do końca bohatersko wytrwali, do cerkwi nie chodzili, parocha nie wzywali, śluby błogosławili najstarsi w wiosce, spowiadali się potajemnie w Rakowie; stąd ciągle zatargi proboszczów rakowskich z parochami w Wołmie, których gorliwość uśmierzać musieli łapówkami. Wreszcie synowie i wnukowie „nawróconych“ doczekali się ukazu 1904 roku i natychmiast gremjalnie wrócili do wiary przodków, którą pokryjomu wyznawali.

Po zaborze kościołów zakazano stawiać nowe i nie wolno było naprawiać tych, co pozostały. Dotyczyło to Litwy i Rusi. Wbrew temu, co twierdzą dziś w prasie rosyjskiej, nie słyszałem ani o jednym zezwoleniu na naprawę, a tembardziej na budowę nowego kościoła. Należało więc czekać, aż się rozwała, poczem ludność łatwiej dałaby się namówić do przechodzenia na prawosławie. Że do tego zmierzała polityka rządu, świadczy słynna historia z kościołem w Krożach. Starożytną tę i piękną świątynię kazał w r. 1891 zamknąć wraz z klasztorem zaciekły wróg katolicyzmu, Wileński gen. gubernator, Orzewski. Krożanie wnieśli wówczas podanie o przeniesienie parafji do kościoła klasztornego, parafjalny bowiem drewniany kościółek na cmentarzu ze starości się rozpadał. Zdawałoby się, że sprawiedliwość, zdrowy rozsądek, wreszcie zmysł państwowy powinny były nakazać Orzewskiemu przychylić się do prośby Krożan; nic podobnego. Na rozkaz jego przybył z Kowna gub. Klingenberg z licznym orszakiem policji, ażeby kościół zrównać z ziemią. Krożanie w kościele się zamknęli, broniąc dostępu. Wezwano kozaków. Ci, uzbrojeni w nahajki i rewol-

wery, wdarli się do kościoła, nastąpiła walka, byli ranni i zabici, miejscowy lekarz dr. Landsberg opatrzył 20-tu rannych. Uciekających kozacy gonili, bijąc najhajkami po głowach, poczem pojmany, między nimi był starzec stuletni, odprowadzono do urzędu gminnego; tam kozacy siekli w dalszym ciągu, od 25 do 45 uderzeń na osobę. Dziesięciu zmarło od ran, dwanaście kobiet i dziewczyn zgwałcono. Sprawa oparła się o Sąd w Wilnie; bronili podsądnych Krożan najznakomitsi adwokaci z Petersburga, ks. Urusow, Andrejewskij, Żukowskij, Turczaninow. Pomimo to Sąd skazał 36 ciu na katorgę lub więzienie, polecając ich jednak łasce monarszej; równocześnie prezes Izby sądowej, Stadolskij, obiektywnie przedstawił całą sprawę w liście do ministra sprawiedliwości, wymownie kończąc, że czuje się Rosjaninem aż do szpiku kości i że właśnie dlatego tem bardziej i do głębi duszy poruszył go gwałt, jakiego dopuściły się władze wobec ludności. Car ułaskawił 32-ch, czterem zaś złagodził kary ¹⁾).

Wobec tego, że nawet najzjadlejsi z rusyfikatorów nie byli do tego stopnia zaślepieni, aby uwierzyć, że katolicyzm da się całkowicie w gubernjach litewsko-białoruskich wytępić, chwycono się innego sposobu. Powstał pomysł „rozpolaczenia“, czyli zrusyfikowania katolicyzmu i w r. 1869 car Aleksander II łaskawie zezwolić raczył, aby nabożeństwo dodatkowe (kazania, śpiewy, modlitwa za cara po sumie) odbywało się w języku rosyjskim. Zezwolenie było oczywiście rozkazem i administrator djecezji Wileńskiej, obejmującej wówczas gubernje Wileńską, Grodzieńską i Mińską, prałat Piotr Żyliński, podjął się wykonania woli carskiej. Ale robił to leniwie, podpisał sam i zażądał od podwładnego duchowieństwa podpisania stosownej deklaracji, którą u nas w mowie potocznej nazywano „rytuałem“, księży zaś, co ją przyjęli, czyli księży rzą-

¹⁾ Sprawa Krożańska obszernie opisaną została w broszurze „Proces Krożan przed Izłą Sadową Wileńską“ (Kraków 1896). Por też głośną rozprawę grafa Leliwy: „Russko-polskija odnoszenja“. Wydał ją ś. p. hr. Antoni Tyszkiewicz, napisał ś. p. mec. Tadeusz Wróblewski. Wreszcie bezimienna broszura „Wierotierpimost' w Rossii“ (Kraków 1897); autorem jej był X. Wł. Knapiński, ja zaś polski tekst opracowałem w języku rosyjskim.

dowych — rytualistami. Rachując się jednak z opinią publiczną, Żyliński środków przymusowych nie używał i „rytualizm“ jego ograniczał się do tego, że celebrując w dniu galowe, po sumie po rosyjsku za cara śpiewał.

Znalazł się natomiast w osobie osławionego Ferdynanda Sęczykowskiego znany ze złego życia kapłan-karjerowicz, który nic do stracenia nie mając, zaprzedał się rządowi i z furją politykę rusyfikacyjną prowadził. Mianowano go wizytatorem kościołów gub. Mińskiej z obowiązkiem wprowadzenia języka rosyjskiego. Pozatem był katechetą naszym w gimnazjum Mińskim; musieliśmy z rosyjskimi książkami do nabożeństwa na mszę jego chodzić, po rosyjsku nas spowiadał, wymagał, abyśmy na pamięć, jak Ojciec Nasz, umieli cały katechizm o czci dla cara, t. zw. „cesarzówkę“. Główną tezą jego wykładów była tożsamość katolicyzmu z prawosławiem, bo jedna tylko jest prawda i jedna prawdziwa wiara, więc nie może być różnicy między wiarą prawosławną a katolicką i nie byłoby jej, gdyby katolicy odziedziczonej po przodkach wiary nie zeszpecali głupimi inowacjami; np. przypodobać się chcąc swemu Papieżowi, uznali dziecińskiego staruszka za bezgrzesznego (nieomylny po ros. niepogrieszimyj) i „bezgrzeszność“ tę ogłosili, jako dogmat. Wykłady o sakramentach kapłaństwa i małżeństwa polegały na opowiadaniu tłustych dykteryjek, na które lubili przychodzić uczniowie prawosławni, aby się uweślić i wyśmiać; w taki sposób „uświadamiał“ on tych z nas, co jeszcze „uświadomieni“ nie byli. Władze rządowe ceniły i wyróżniały tego kapłana, demoralizatora młodzieży, do takiego stopnia, że ministrowie, mianowicie minister oświaty hr. Dymitr Tołstoj i minister spraw wewn. Timaszew, w czasie bytności swojej w Mińsku, zaszczylili go odwiedzinami. Ale gorszącymi wybrykami kompromitował on sprawę, której służył i kompromitował rząd; musiano go wydalic wreszcie z Mińska, życie swoje marnie zakończył gdzieś w Turkiestanie. Niejaki Żyrkiewicz napisał o nim, jako męczenniku idei rosyjskiej, panegiryczne dzieło dwutomowe. Tak ogromnej rozmiarami pracy nie mamy ani o Göthem, lub Schillerze, ani o Mickiewiczu.

Słowem próby „rozpolaczenia“ katolicyzmu zawiodły. W r.

1883 rząd rosyjski poszedł do Canossy, odnowił stosunki z Watykanem, zerwane od czasu powstania, i zawarł konkordat. Nie było to jednak rozwiązaniem sprawy, ani oznaczało zaprzestania ucisku. Księża pozostawali nadal internowani w parafjach swoich, biskup zaś, zwiedzający djecezję swoją, wyglądał, według trafnego wyrażenia Tadeusza Wróblewskiego¹⁾, nie na zwierzchnika duchownego z władzą i powagą, lecz na przestępcę politycznego, otoczonego policją liczną, a nie opuszczającą go ani na jedną chwilę.

Nie odstąpiono również od zamiaru zniszczenia resztek Unji, która istniała jeszcze na Podlasiu. Do wykonania zamiaru przystąpiono w r. 1876 z pomocą kozaków, drogą takich gwałtów i tortur, jak np. kilkugodzinne pławienia opornych w stawach, zimą, przy mrozie. Nazywało się to „miłosnem zjednoczeniem z Cerkwią-Macierzą“. „Zjednoczenie“ było pozorne; Jezuici krakowscy uwijali się po Podlasiu z godną podziwu śmiałością i poświęceniem, przebrani za kupców wędrownych, spowiadali, chrzcili, dawali śluby. Gdy dochodziło to do wiadomości władz, śluby zrywano, rozłączano małżeństwa, mężów zsyłano np. na Ural, lub Sybir, żony na południe Rosji, dzieci najczęściej odbierano. Prześladowanie i niszczenie Unji zachwiało u największego z rosyjskich filozofów i teologów, Włodz. Sołowjewa, jego wiarę w posłanictwo Moskwy, jako trzeciego Rzymu; odtąd coraz głębiej pochłaniała myśliciela tego i proroka wizja bliskiego upadku Rosji. Losem nieszczęśliwych zesłańców gorąco się opiekował prałat prof. Chotkowski w Krakowie, wspierając ich pieniężnie tajemnymi drogami. Przypominam sobie piękną chwilę w Krakowie. Było to w maju 1891 czy 1892 roku; przybyła pielgrzymka ze Śląska, wędrowkę po mieście rozpoczęła od wysłuchania sumy w Kościele Marjackim. Po ewangelji na ambonę wstąpił prałat Chotkowski; należał do najlepszych kaznodziejów naszych. Zaczął od tego, że za czasów Nerona pierwsi chrześcijanie zbierali się, aby wzajemnie sobie opowiadać o męczennikach swoich i tem wzmacniać siebie na duchu. I my — mówił — mamy obecnie męczenników tam w Syberji, albo na Uralu,—w katordze, czy na

¹⁾ „Russko-polskija otnoszenja“.

zesłaniu; będę wam o nich opowiadał. I wyjąwszy z teki otrzymane stamtąd listy, czytał je i komentował; wrażenie było potężne.

Zaciekłym tępicielem Unji był archirej chełmski Eulogjusz. Cierpienia i łzy okrutnie prześladowanych unitów ciążyą na jego sumieniu. Człowiek ten wyznawał jakoby poglądy liberalne w rzeczach, dotyczących stosunku rządu do społeczeństwa i, dzięki temu, posiadał w czasach pierwszej rewolucji sympatje opozycji rosyjskiej, która również zaznaczała przychylną swoją względem naszych żądań. Uznanie jej dla Eulogjusza usposabiało mię nieco sceptycznie do niej i otwarcie to wyznałem w rozmowie z jednym z najznakomitszych teologów rosyjskich, który zarazem wybitnie zajmował stanowisko w ruchu wolnościowym. „O Eulogjuszu — powiedział z uśmiechem — mówić nie będziemy“. W uśmiechu tym czytałem następujące słowa: „Nic nas nie obchodzą wasze gadania i krzyki; biskup Eulogjusz spełnia to, co jest jego obowiązkiem“. Inaczej obowiązek swój pojmował w epoce powstania polskiego słynny historyk Cerkwi rosyjskiej, a ówczesny archirej w Wilnie, Makary. Ten nahajek kozackich nie stawiał na jednym poziomie z krzyżem i Ewangelją i „nawróconym“ przez kozaków pozwalał wracać do wiary, którą przedtem wyznawali

Eulogjusz przebywa obecnie w Paryżu, stoi na czele znacznej części Cerkwi rosyjskiej na emigracji. Czy wie on, że jak imię Murawjewa, przezwanego *Wieszariem*, jest dla Polaka symbolem deptającej Polskę Rosji carskiej, tak jego imię, wraz z imionami Hurki i Apuchtina, wywołuje w myśli każdego z nas obraz tej złości i nienawiści, tego, po rosyjsku mówiąc, „czelowiekonienawistniczestwa“, które postawiło sobie za cel zniszczenie Polski katolickiej. Jak Eulogjusz z Paryża, tak Antonjusz z Serbji, chcieliby samowładnie rządzić całą Cerkwią emigracyjną i, choć wzajemnie się dziś ekskomunikują, są, jak przypuszczam, zgodni ze sobą w tem, co ich przed wojną łączyło, t. j. w nienawiści do katolicyzmu i Polski, jako narodu katolickiego. Dodajmy, że w Moskwie rządzi Sergjusz, który złożył hołd bolszewizmowi. Eulogjusz, Antonjusz, Sergjusz — to dzisiejsza Cerkiew rosyjska. Wszyscy

trzej uosabiają prawosławie w postaci, w jakiej Polska przywykła je widzieć, t. j. jako narzędzie eksterminacyjnej, antykatolickiej i antypolskiej polityki, której przykłady i szczegóły przytoczyłem wyżej. Wszystko to wytwarza atmosferę ogromnie utrudniającą uregulowanie kwestji. Nie wypływa stąd, ażebyśmy atmosferze tej poddać się mieli, przeciwnie, dla dobra Kościoła i dla dobra Polski powinniśmy umieć ponad nią się wznieść.

2.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że należę do tych bardzo nielicznych Polaków, którzy nietylko bez uprzedzenia patrzą na prawosławie, ale umieją ocenić i odczuć piękno chrześcijaństwa wschodniego. Zawdzięczam to temu, że za młodu, w latach uniwersyteckich, w Dorpacie, poznałem pisma pierwszych słowianofilów rosyjskich. Pod głębokim wrażeniem wykładów prof. Wiskowatowa zabrałem się do czytania i studjowania Chomiakowa. Porwał mnie szeroki rozmach jego myśli, olśniło ujęcie idei Kościoła i jego zadań. Katolicyzm — nauczał on — to jedność bez wolności, w protestantyzmie mamy wolność bez jedności; tylko prawosławie daje jedno i drugie w harmonijnej syntezie. Z tego stanowiska, t. j. z wysokości Kościoła, a pod Kościołem rozumiał on wyłącznie prawosławie, gromił on inne chrześcijańskie wyznania, jako odstępstwa od prawdziwej wiary. Słowom jego oczywiście nie uwierzyłem na ślepo, bo w takim razie musiałbym na wiarę jego przejść. To, co głosił, brałem nie jako rzeczywistość, ale jako ideał, jako wyraz tego, czem prawosławie powinno być, czem mogłoby być, stojąc na gruncie nauki Ojców Kościoła Wschodniego. Uderzyła mnie również analogja między prawosławno-rosyjskim mesjanizmem Chomiakowa i jego przyjaciół, a zabarwionym myślą katolicką mesjanizmem Mickiewicza i Krasińskiego. Temu odkryciu poświęciłem artykuł, który się pojawił w świeżo założonym petersburskim „Kraju“ w r. 1882. Surowo osądzili tę jedną z pierwszych prób pióra młodego studenta ludzie starszego pokolenia. „Przespasowiczyl samego Spasowicza“ wyraził się jeden z nich. Oburzał ich sam pomysł zestawienia tego, co najwyższe i nam najdroższe w ide-

alizmie polskim, z jakimiś tam fantazjami moskiewskimi; upatrywali w tem dowód zaniku uczucia patriotycznego w młodem pokoleniu.

Z artykułu tego wyrosła później książka ¹⁾, nader przychylnie oceniona przez człowieka tak dalekiego od Rosji, tak, niechętnie względem niej usposobionego, jak Stanisław Tar-nowski.

„Słowianofilstwo — pisałem tam, zamykając uwagi moje o doktrynie tej — zbyt bezwzględnie idealizowało dziejowe podstawy, na których rozwijała się Rosja i zbyt słabo i powściągliwie wskazywało na niedoskonałość ich w rzeczywistości“. Na tem samem stanowisku wobec słowianofilstwa stał wówczas wielki Włodzimierz Sołowjew. Publicysta rosyjski Chirjakow opowiada we wspomnieniach swoich, drukujących się w Warszawie w gaz. „Za swobodu“, o wrażeniu, jakiego doznał, zobaczywszy pierwszy raz Sołowjewa. Było to na pogrzebie uczonego rosyjskiego, Grota. Nagle wchodzi do cerkwi i staje wśród staruszków, członków Akademji, a kolegów zmarłego, człowiek młody, wzrostu słusznego, a tak wybitnie całą osobą swoją odmienny od ogółu ludzi, że „mimo-woli zapytałem siebie: kogo to widzę, człowieka czy „pół-boga?“ Dwa razy w życiu spotkałem Sołowjewa i temi samemi słowami mógłbym własne wrażenie określić.

Z urodzenia, wychowania, stosunków i sympatyj towarzyskich należał Sołowjew do słowianofilów, ale jego umysł krytyczny i serce gorące nie dały się otumanić frazesami; prędko się przekonał, że pierwotne romantyczne słowianofilstwo przeistaczało się w ciasny i złośliwy nacjonalizm. I na słowianofilskim gruncie idei Kościoła powszechnego i wiary w posłannictwo Rosji stojąc, dochodził do wniosku, że Kościół powszechny, to nie zamknięty w wyłączności swojej Wschód albo Zachód, ale jedność Wschodu z Zachodem i innej drogi do urzeczywistnienia jedności tej niema, jak uznanie prymatu Papieża. To właśnie powinno stanowić dla Rosji jej najpilniejsze zadanie. Ale choć czuł się katolikiem, nie czuł się Sołowjew katolikiem rzymskim, miał uprzedzenie

¹⁾ „Mesjaniści i Słowianofile“. (Kraków, 1888).

do ducha Rzymu, zarzucał religijności rzymskiej przewagę racjonalizmu. Pogląd swój na papieństwo, na Papieża, jako głowę Kościoła, na posłannictwo Rosji w sprawie unji Wschodu z Zachodem, wyłożył on na podstawach swego systemu filozoficznego w książce „La Russie et l'Eglise Universelle”. „Żaden dotychczas katolik — mówił o niej St. Tarnowski — nie uzasadniał idei papieństwa z taką wymową i taką siłą”.

Zachwycony książką, zapragnąłem poznać jej autora. Z drżeniem młodzieńca, mającego stanąć przed mistrzem, szedłem po schodach hotelu Europejskiego w Petersburgu, gdzie stale wówczas Sołowjew przebywał. Jakże miłe zdziwiony byłem jego serdeczną uprzejmością, a więcej jeszcze tem, że przeczytał już był w przekładzie rosyjskim, zaciekawiony tytułem oraz recenzją Pypina, moich „Mesjanistów i Słowianofilów”. Od lat najmłodszych pochłaniały mój umysł zagadnienia religijne i w rozmaitych epokach rozmaite dręczyły mię wątpliwości. Zadziwi to może czytelnika, że większe, niż do naszych teologów, czułem zaufanie do Sołowjewa i zapytałem go w ciągu rozmowy, co mam czytać, aby głębiej wejść w istotę katolicyzmu i głębiej się w nim utwierdzić. Wskazał na symbolikę Möhlera. Poszedłem za jego radą, nie znalazłem jednak u znakomitego teologa niemieckiego tego, czego szukałem; więcej pokarmu i podniety duchowej dawały mi pisma samego Sołowjewa. Wielki ten myśliciel był wielkim poetą w teologii, na wskroś przejętym tak obcą Zachodowi ideą Duszy Świata, która od Boga odpadła i do Boga mozolnie się podnosi, a my wszyscy w niej jedno jesteśmy. Zapatrzony był w wieczysty jej pierwowzór, w mądrość Bożą, *Sofję*, którą, jako istotę żywą, wielbił, albowiem *prior omnium creata est sapientia*, pryncypem jest świata, ideą, w której mocą twórczego Słowa począł się świat, jakby niewieścim pierwiastkiem w Bogu, Pięknem w samem w sobie, przedwiecznem odbiciem oblicza Bożego...

Myśl jego niosła go ku dalekim, cudownym brzegom wielkich nadziei i wielkich pożądań (*W biereg nadziejdy i w biereg żelanij*); mocno się trzymając ziemi, rzeczy i spraw doczesnych, przeobrażała je, rozświeclając blaskiem niezmiennego Piękna:

Krylja duszi od ziemi ustremlajutsia,
No nie pokinut ziemi...

Z licznych jednak przyjaciół, zwolenników, wyznawców, jakich miał Sołowjew, żaden w stosunku swoim do Rzymu nie poszedł za nim aż do końca, t. j. aż do aktu zaparcia się własnej przeszłości dziejowej w imię idei Kościoła Powszechnego, natomiast wszystkich, czy prawie wszystkich, cechowały wobec katolicyzmu uczucia życzliwości i uszanowania. Kwestja unji dla nich nie istniała; nie o połączenie Kościołów im chodziło, ale o połączenie dwóch światów: wschodnio prawosławnego i zachodnio katolickiego. „Kościoły — pisał jeden z nich — łączą się ze sobą we wzajemnem dążeniu ku sobie i przenikaniu się dwóch typów religijnego życia i doświadczenia; więc niech każdy prawosławny, pozostając w prawosławiu, ukocha katolicyzm i uzna to, co w nim jest prawdą — i niech każdy katolik to samo zrobi w stosunku do prawosławia“. Z pism uczniów Sołowjewa, a tembardziej z pism samego Sołowjewa, choć nie jedno może w nich razić wychowañców Rzymu, idzie prąd ożywczy, któryby dobroczynnie mógł działać na chrześcijaństwo Zachodnie. *Ex oriente lux* Nie potrafię patrzeć przeto na nich, jako na odszczepieñców, są to *fratres separati*, od których niejednego nieraz nauczyć się możemy. Z tą myślą uczestniczyłem w czasach przedwojennych w kongresach, poświęconych sprawie Unji, które się odbywały w Velehradzie Morawskim. Myśl tę, bawiąc w Rzymie w r. 1904, poruszyłem w rozmowie ze znakomitym benedyktyńcem, opatem z Silos w Hiszpanji, Dom Guépin, autorem cennej monografji o Józefacie Kuncewiczu. Słuchał uważnie. „Pierwszy raz — powiedział — słyszę coś podobnego z ust Polaka; wszystko, co pan mówi, musi pan napisać i musi to dojść do wiadomości Ojca Świętego przez ręce kardynała sekretarza stanu, do którego wprowadzę pana, a potem będzie pan miał posłuchanie prywatne u Jego Świętobliwości“.

Memorjalik napisałem, u kard. Merry del Val byłem, Papież przyjął mię bardzo łaskawie, audjencja trwała stosunkowo długo, przebieg jej wkrótce potem opowiedziałem ¹⁾,

¹⁾ Por. M. Zdziechowski „Pestis perniciosissima“, Kraków, 1905.

w końcu wspomniałem o memorjale. „Lo studieró“ — uprzejmie odpowiedział Papież. Ale na tem się skończyło. Nic dziwnego. Czy mógł mieć jakikolwiek skutek memorjał o charakterze teoretyczno-informacyjnym? Żadnych wniosków konkretnych nie stawiałem i trudno je było stawiać. Dom Guépin spodziewał się, że w odpowiedzi otrzymam pismo z błogosławieństwem papieskim dla pracy mojej pisarskiej i publicystycznej. Pismo takie byłoby wskazaniem na przyszłość i jakby zejściem z owej naiwnie zarozumiałej i wyniosłej, choć w gruncie życzliwej, protekcyjnej postawy wobec Wschodu, którą następującemi słowy moglibyśmy wyrazić: „Wyrzeczcie się waszych błędów, a my was do jedności z nami przyjmujemy i wspinałomyślnie pozwolimy wam zachować wasz obrządek“. Przecie taką była treść encykliki Leona XIII w sprawie Unji Kościołów. Pomimo tak niepospolicie wybitnej inteligencji swojej, Papież ten naiwnie sobie wyobrażał, że pismo jego będzie początkiem nowej epoki w stosunku prawosławia do Rzymu. Ś. p. arcybiskup Symon opowiadał mi, w jakim był kłopotcie, gdy na audjencji począł go Papież wypytywać, co o encyklice mówią w Rosji — w nadziei, że biskup pocieszy go, opowiadając o wstrząsającym wrażeniu, jakiego doświadczyli, czytając ją, i jak pod wrażeniem tem zapragnęli zbliżyć się Kościoła katolickiego hierarchowie Cerkwi rosyjskiej. Biskup nic podobnego nie miał do opowiedzenia, encyklika nie wywarła i wyrzeć nie mogła najmniejszego wrażenia.

W r. 1905 zaproszony przez Sorbonę, wygłosiłem tam kilka wykładów o myśli religijnej rosyjskiej¹⁾; uczęszczali na nie niektórzy znakomici tej myśli przedstawiciele, jak ś. p. ks Grzegorz Trubecki, Berdiajew, Mereżkowski i także kilku francuskich teologów i publicystów katolickich; zaznajomiłem jednych z drugimi, zawiązały się między nimi stosunki bliższe, których wyrazem stały się, po moim wyjeździe, wspólne międzywyznaniowe zebrania dyskusyjne. Ujawniła się na nich, jak mi z obu stron opowiadano, różnaitość w odcieniach myśli katolickiej, dochodząca niekiedy tak daleko, że niektórzy

¹⁾ „Le dualisme dans la pensée religieuse russe“, w zbiorowym dziele „L'âme russe“ (Bloud et Gay „Cahiers de la nouvelle journée“).

z pośród najwybitniejszych uczestników katolików czuli się duchem bliżsi Wschodu, niż rygorystycznego neotomizmu, który na zebraniach owych głosił J. Maritain.

* * *

Oto garść wspomnień, które nasunęła mi sprawa rewindykacji kościołów. Prowadzą one do wniosku, że osoba metropolity Eulogjusza nie jest jeszcze synonimem prawosławia. Za czasów rosyjskich prawosławie wydawało się nam „carsławiem“, znaleźmy je tylko z tej strony, t. j. jako kult cara, który namiestnikiem jest Boga na ziemi, a wykonawcą woli tego namiestnika jest oberprokurator Synodu, w którego rękę duchowieństwo przeistacza się w bezwolne, ślepe narzędzie narodowego i wyznaniowego fanatyzmu. Ale były w prawosławiu wyższe, szlachetniejsze pierwiastki, z którymi miałem sposobność się zetknąć i których rozwój byłby pożądanym dla nas tak ze względów religijnych, jak narodowych i państwowych.

Tych wyższych pierwiastków niepospolicie sympatycznym uosobieniem był dla mnie ś. p. Grzegorz Trubecki. Nie mogłem nie uszanować w nim głębokiego przywiązania do wiary oraz gorącej pobożności. Teraz, pod wrażeniem jego przedwczesnej śmierci, przeglądam jego korespondencję ze mną i ze wzruszeniem odczytuję niektóre listy. „Idea Kościoła — pisał w jednym z nich z r. 1908 — jest dla mnie żywą tajemnicą, czemś tak wielkim, że uchyla się z pod wszelkiej próby logicznego jej formułowania. Jest Kościół jeden, powszechny i są Kościoły, jako formy, które idea przybiera. Podobnie promienie słońca rozmaicie się odbijają w rozmaitych środowiskach, przez które przechodzą. Nastąpił rozdział Chrześcijaństwa na Wschodzie i Zachodzie, potem Wschód się rozpadł na Kościoły narodowe. Są to wszystko formy zmaterjalizowane, zastygłe, domagające się nieustannego naprawiania i na tem polega życie w Kościele. Z tego stanowiska należy patrzeć na rozdwojenie w nim, jako na zło relatywne, jako na ogniwo między jednością pierwotną a wyższą syntetyczną jed-

nością, której powinniśmy torować drogę, pracując każdy w obrębie swego Kościoła“.

W „Moskiewskim Jeżeniedielniku“ umieścił Trubecki, będąc jego redaktorem, szereg artykułów moich o nowoczesnych kierunkach myśli katolickiej. „Są one — pisał do mnie po ich przeczytaniu ¹⁾ — idealizacją katolicyzmu, to co potencjalnie w nim jest zawarte, jako zaród, bierzesz pan jako rzeczywistość“. „Ale proszę nie myśleć — pisał dalej — że to, co tu mówię, jest krytyką, zarzutem z mej strony; rozumiem bowiem, że potencja nieskończenie jest ważniejszą od aktualności, wszak w nasieniu istotę jego stanowi zaród, który prędzej czy później przebije skorupę. W ten sposób patrząc, musimy uznać idealizację, jako przewidzenie tego, co się spełnić ma — i jednego tylko dla siebie tu żądam: pozwól pan mnie, członkowi Kościoła Wschodniego, patrzeć z tego samego stanowiska na mój Kościół, w którym też potencjalnie zawarty jest Kościół Powszechny“. „Wschód i Zachód powinny dążyć do jedności i zjednoczenia; to nastąpi, ale musi je poprzedzić żywa świadomość, że mistycznie stanowiliśmy zawsze i teraz stanowimy jedno w sakramencie Eucharystji“. „Kościół — plastycznie się wyrażał w innym liście — są więzieniami dla Chrystusa, zadaniem zaś i obowiązkiem każdego członka Kościoła przetwarzać więzienie w żywy ołtarz“.

Ostatni raz dotknął Trubecki kwestji tej w jednym z listów z 1928 roku z powodu przemówienia, które wygłosiłem na jubileuszu prawosławnego arcybiskupa Wileńskiego, O. Teodozjusza: „Serdecznie cenię chrześcijański, braterski stosunek pana do Kościoła naszego. Chociaż wskutek ułomności jednej i drugiej strony przerwała się łączność, wierzę, że pomimo to istnieje nadal jedność ontologiczna, czyli, że w istocie swojej Kościół jest zawsze jeden, albowiem dwóch Kościołów nie może być, a ten jedyny Kościół obejmuje Wschód i Zachód Łaską Bożą, zawartą w sakramencie Ciała i Krwi. Czy połączenie nastąpi kiedy, jak? — tego my grzeszni wiedzieć nie możemy. Sądzę, że będzie ono nie początkiem, lecz raczej zakończeniem wielkiego podniesienia i wstrząśnienia re-

¹⁾ Słowa autora przytaczam w skróceniu.

ligijnego na świecie. Ale należy to do sfery marzenia; teraz zaś widzimy i czujemy zbliżanie się powszechnego potopu, grożącego rozkładającej się cywilizacji“... „Gdy pomyślę o mojej nieszczęśliwej ojczyźnie, stają przedemną Sodoma i Gomora; jeśliby się znalazło tam 10-ciu sprawiedliwych, Bóg zmiłowałby się nad obu miastami. Nie 10 ciu, lecz wielu, wielu sprawiedliwych zostało w Rosji, ich modlitwy Rosję zbawią“.

Tak się przedstawia wschodnia koncepcja Kościoła w poglądach jednego z najszlachetniejszych jego przedstawicieli. Sądzę, że nawet ten, kto ją odrzuci, nie będzie mógł nie uznać jej wzniosłości. I nie była ona odosobnionym poglądem Grzegorza Trubeckiego, ma swoją głęboką podstawę duchową w tej kontemplacji, którą z pojęciem Wschodu łączymy i która w swem zapatrzeniu się w rzeczy wieczne unika ścisłych określeń tego, co myśl ludzką przekracza i mową wyrazić się nie daje. W koncepcji tej widzimy jedyną, choć daleką i powolną drogę, którą Wschód mógłby w poczuciu braterstwa zbliżyć się do Zachodu. Zwycięstwo jej leżałoby w interesie Kościoła katolickiego i zwycięstwo temu powinnyby państwo dopomóc, otaczając Kościół wschodni opieką swoją, zwłaszcza w zakresie wychowania kleru.

Niestety, na przeszkodzie, obok wzajemnych uprzedzeń, stanęła w r. 1930 sprawa rewindykacji kościołów. Oczywiście, podjęta była w najlepszej intencji, pod naciskiem sumienia, nakazującego żądać zwrotu tego, co przez nieprzyjaciela zabrane zostało. Żądanie to było teoretycznie słuszne, ale czy słuszne było w każdym poszczególnym wypadku? Tylko sąd mógłby to rozstrzygnąć, a rozstrzygałby z punktu widzenia prawa pisanego, czyli bez uwzględnienia potrzeb życiowych.

Tymczasem sama liczba świątyń, których zwrotu zażądano i których lwia część, czyli przeszło 650, przypada na djecezje Pińską i Łucką (na Wileńską 90), spowodowała łatwo zrozumiałe przerażenie wśród ludności prawosławnej. Zastanówmy się nad skutkami tego, które już wówczas były widoczne i które jeszcze nastąpią. Za przerażeniem i powszechnem rozgorczeniem niechybnie pójść musi mobilizacja do walki z katolicyzmem

wszystkich sił w prawosławiu, bez względu na różnice polityczne, społeczne i narodowościowe, dzielące jego wyznawców na nieprzyjazne sobie obozy; dalej ułatwi to elementom wywrotowym, bolszewickim w państwie i poza granicami państwa antypaństwową i antypolską agitację i, choćby państwo stłumiło objawy niezadowolenia i oporu, zostawi to po sobie posmak nienawiści, który utrudniać będzie współżycie katolików i prawosławnych, a uniemożliwi wszelką pracę nad unją. Z tego stanowiska biorąc sprawę, silnie wyraził się metropolita Szeptycki, nie wolno nawet pozorem jakimś dać odczuć ludowi, że „zada mu się gwałt, że mu odbiorą te wiejskie cerkwie, w których on się chrzczył i modlił i koło nich chował swoich umarłych. Wszak w ich murach skupia się to, co w ludzie jest najsilniejsze, a częstokroć najbawienniejsze wobec rozszalałych agitacyj, owa wiara ojców“¹⁾).

W zrozumieniu niebezpieczeństwa biskup Łoziński ogłosił w dn. 3 grudnia 1929 r. „List do prawosławnej ludności diecezji Pińskiej“, w którym ludność tę uspokoić usiłował, wyrażając przekonanie, że do rozwiązania sprawy ku zobopólnemu zadowoleniu „wystarczyłoby spokojne rozważanie okoliczności i przyjazna rozmowa“. Niestety, do tego nie doszło i biskupi musieli przeto wytoczyć powództwo, „lecz nie w tym celu, aby coś cudzego pochwycić, albo zatrzymać, ale w celu wyjaśnienia i wykonania sprawiedliwości“. Mogą być bowiem wypadki wątpliwe, które tylko sąd rozważyć może i wydać orzeczenie. W razie zaś korzystnego dla strony katolickiej orzeczenia, „nie należy wygrania sprawy utożsamiać z egzekwowaniem wyroku sądowego“... „Nie pozwolimy sobie nikogo krzywdzić, nawet chcemy z praw swoich zrezygnować, aby, gdzie się da, uniknąć niepotrzebnego zażalenia lub zasmucenia was“.

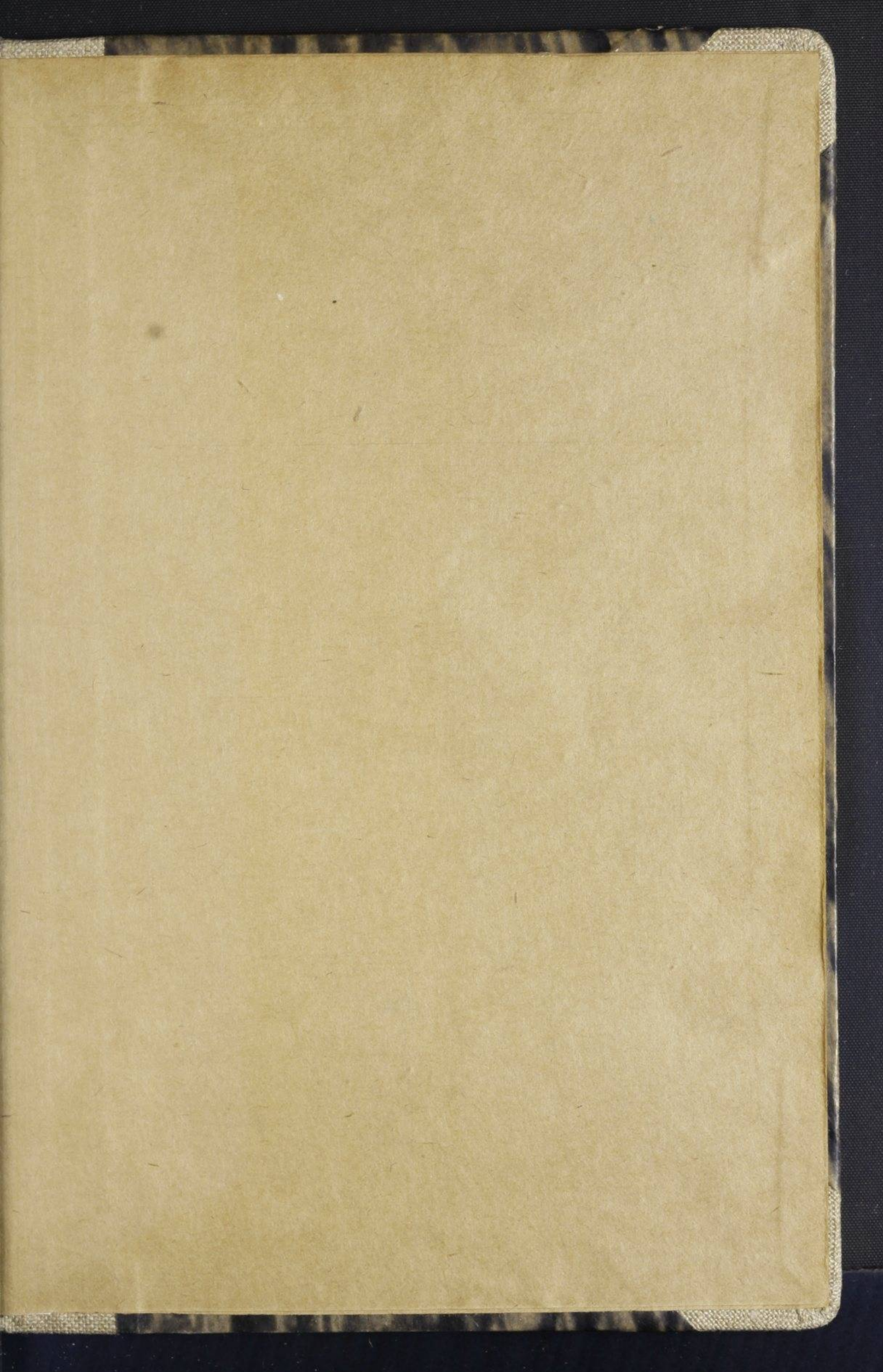
List ten chcielibyśmy uważać za punkt zwrotny we wzajemnych stosunkach obu stron, za próbę jakby przeistoczenia sprawy w „demonstrację prawniczą“ i postawienia jej na drodze „spokojnego rozważania i przyjaznej rozmowy“.

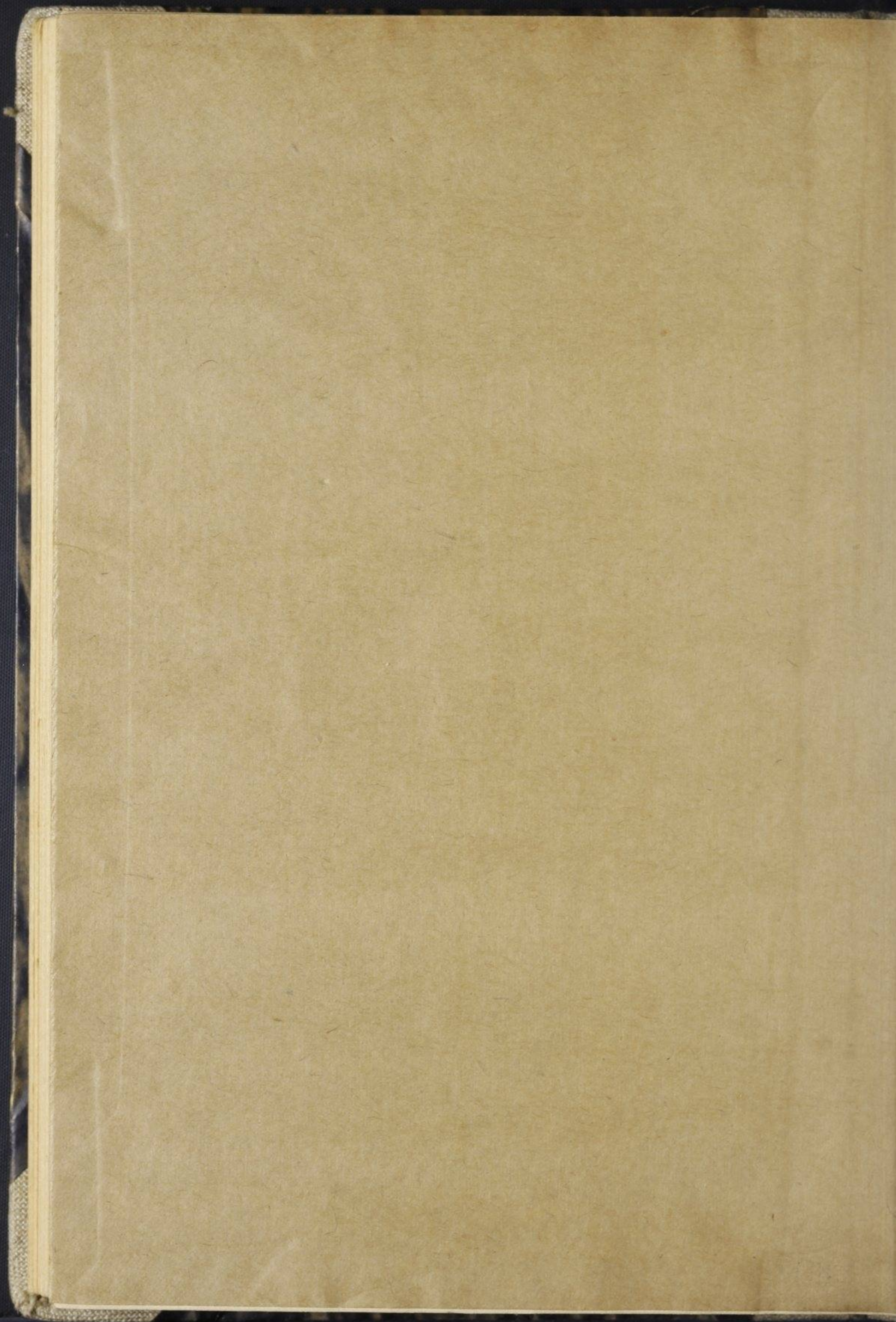
¹⁾ W wywiadzie ze współpracownikiem „Dnia Polskiego“.



SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa	VII — IX
1. Włodzimierz Spasowicz	1
2. Ze Starego dworu	4
3. Konserwatyzm a demokracja	10
4. Ugodość w nowej postaci	22
5. Bolszewizm	26
6. Arcybaszew i kwestja rosyjska w Polsce	30 ✓
7. Sowiety, a półbolszewizm polski	40 ✓
8. Polska a przyszła Rosja	45 ✓
9. „Tropiet małego przed większym“	49
10. O honor w Polsce	55 ✓
11. Dwie rewolucje	64
12. Duchowa podstawa walki z bolszewizmem	73
13. O końcu historii	85 ✓
14. Kryzys kultury	102 ✓
15. Zagadnienie wychowawcze w dobie obecnej	118
16. Nauka i uczeni w Rosji sowieckiej	134
17. Polska, a prawosławie rosyjskie	139





CM



582116

BIBLIOTEKA
NARODOWA